

Olha Kobylanska
W NIEDZIEŁĘ RANO
ZIELE ZBIERAŁA





W NIEDZIELĘ RANO
ZIELE ZBIERAŁA

Tytuł oryginału

W nedilu rano zilla kopała...

Olha Kobylańska

**W NIEDZIEŁĘ RANO
ZIELE ZBIERAŁA**



Tłumaczyła
MARIA DOLIŃSKA

WYDAWNICTWO, LUBELSKIE

Projekt obwoluty, okładki i karty tytułowej
JERZY KOSTKA

ISBN 83-222-0163-X

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1981

Nie chodź, nie chodź, Hryciu, och, na wieczornice,
Bo na wieczornicach same czarownice.
Kocioł ziół gotują na ogniu słomianym,
Zdrowie ci odbiorą, Hryciu nasz kochany.

A jedna dziewczyna, ta z czarnymi brwiami,
Wiedźma to prawdziwa, wiedźma nad wiedźmami,
Ziele znaleźć umie na każde cierpienie,
A kocha cię, Hryciu, kocha, och, szalenie!

W niedzielę o świcie ziele wykopała,
Cały poniedziałek w stu wodach płukała,
We wtorek je długo warzyła, warzyła,
W środę zaś Hryceńka jadem napoiła.

Nastał oto czwartek — nasz Hryceńko martwy,
A już w piątek rano Hrycia pochowano.
W grobie przy granicy leży jego ciało,
Wiele po nim dziewcząt płakało, płakało.

I parobcy wszyscy Hrycia żalowali,
Czarnobrewą wiedźmę strasznie przeklinali.
Nie ma i nie będzie już takiego Hrycia,
Za cóż go zgubiła ta zła czarownica!

W sobotę od rana matka córkę biła:
„Czemuś, wiedźmo, Hrycia jadem napoiła?
Czyś nie wiedziała, że w złej to ziela mocy,
By umarł Hryceńko, nie dożył północy?”

„O, matulu moja! Nie żałuję winy —
Dwie nas Hrycio kochał, dwie kochał dziewczyny!
Więc taka mu za to, taka mu zapłata,
Z czterech zbita desek ciasna, ciemna chata!”

Dawno to było. Dlatego nikt nie zna nawet nazwy miejscowości, w której rozegrały się opowiedziane tu wydarzenia. Tyle tylko wiadomo, że w górach.

W kotlinie, wśród wznoszących się majestatycznie gór, kryła się dość duża wieś. Porosłe były te góry starymi, nieprzebytymi lasami...

U stóp jednej z nich, zwanej Czabanycią — przy niej właśnie przycupnęła nasza wieś — toczyła się z szumem po dużych i ciężkich kamieniach wartka i spieniona rzeka. Okrążając górę zdawała się brać ją w objęcia. Ze szczytu Czabanyci zstępowały ku niej świerki rosnące gęsto, rzędami i zatrzymywały się nisko w dolinie, tuż nad rzeką.

Stały tu z rozpostartymi zielonymi skrzydłami i strzelającymi w górę wierzchołkami i szumiały. Głośny w dolinie plusk i huk burzliwej rzeki był tu jakiś inny, szczególny. Na niewidzialnych skrzydłach unosił się w powietrzu spokój i tęsknota, coś kołysał do snu i przejmowało smutkiem. Miarowy i ostrożny, tu cichy, tam stłumiony do szeptu, ale zawsze jednakowy szum, wciąż szum...

Tęskno drzewom na szczytach.

Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie to samo. Wszędzie morze zieleni, wciąż jednostajne rozkołysanie. Na tamtej górze świerki gęstymi rzędami pięły się wytrwale z doliny w górę. A na tej znów, rozpostarłszy ramiona, pędziły w dół. I wszędzie tak samo. Latem i zimą, w piękną pogodę i podczas ulewy — wciąż to

samo. Ta sama melodia, ten sam rytm. Jednakowe kołysanie, jednakowy szum...

Niedaleko rzeki, sięgając swym ogrodem aż do Czabanyci, stała tu wraz z zabudowaniami i młynem chatka znanej w całej okolicy bogatej wdowy Iwanychy Dubychy.

Szumiała rzeka, huczał młyn, szumiały sosny i wszystko to naraz, dniem i nocą naraz. Zieleniły się świerki rzucając gęste cienie na chatę znanej bogaczki, pobożnej i surowej gospodyni Iwanychy Dubychy.

Wspaniale rozkwitały w jej ogrodzie kwiaty od czasu, kiedy wyszła za mąż. Kwitły do późnej jesieni — już jako dziewczyna rozmiłowała się w kwiatach. Kiedy owdowiała i została sama z jednym dzieckiem, tak się do nich przywiązała, że jej ogród, przy chacie zresztą niezbyt już duży, wydawałby się jej bez kwiatów gorszy niż pustynia. Pyszniły się w nim zwłaszcza swoją czerwienią duże, zimujące w ziemi maki, jakich prócz niej nie miał nikt we wsi.

Do tej otoczonej górami wsi ku wielkiemu zdziwieniu jej mieszkańców przybyli raz na kilka dni Cyganie. Nie pojedynczo, lecz całą gromadą, od razu kilkoma wozami. Przejeżdżali przez wiele miast i wsi i wracając z Węgier rozbili na kilka dni swoje namioty właśnie tutaj, niedaleko węgierskiej granicy, u stóp Czabanyci, w pewnej odległości od wsi.

Mieszkańcy wsi, z natury bynajmniej nie tchórzliwi, zaniepokoiли się trochę ujrzawszy tych czarnych, nie proszonych gości. Od dawna opowiadano o Cyganach różne historie, nie budzące do nich sympatii. Bodaj sama legenda o nich, zresztą nie wszystkim znana, że ich przodkowie odmówili przytułku Pannie Marii, gdy uciekała z Dzieciątkiem i świętym Józefem, uspo-

sabiała do nich raczej wrogo. Wiadomo było przy tym, że Cyganie mieli w górach liczne kryjówki, skąd napadali nocą na podróżnych, ograbiali ich i zabijali gromadząc w ten sposób różne bogactwa. Potem tak samo zagadkowo, śpiesznie i potajemnie jak się zjawiali, tak również znikali. Dokąd, co i jak — nikt dobrze nie wiedział. Kiedy przybywali, palili nocą duże ogniska zawiadamiając wiejską gromadę o swojej obecności. W dzień wałęsali się po wsiach w pojedynkę. Tu zebrali, tam pytali, czy nie ma kotłów do naprawy, zbierali w górach czarodziejskie zioła, wróżyli lub wygrywali na skrzypcach czy cymbałach na kawałek chleba lub jakąś starą odzież... Wreszcie, jako się już rzekło, napadali na podróżnych; a wszystko to z jakimś pośpiechem, jakby mimochodem.

Przybywszy tym razem do wsi u stóp Czabanyci, prosili o pozwolenie na tygodniowy pobyt. Odmówiono im, pozwolono na pobyt o połowę krótszy. I w ciągu tych paru dni wydarzyło się właśnie to, co pozostało w pamięci ludzkiej na długo. Przyjechało pięć wozów pod zakopconymi, podartymi płachtami, z bud wyglądały odstraszająco czarne i kudłate głowy starych i młodych Cyganek i cygańskich dzieci. Obok i z tyłu, za wozami zaprzężonymi w konie i osły szli Cyganie, rozglądając się ciekawie dokoła i łyskając czarnymi oczami.

Jak się już rzekło, rozbili namioty niedaleko od wsi i rzeki, u stóp Czabanyci i tego samego wieczoru rozpalili duże ognisko.

Trzeciego dnia po ich przyjeździe podniosła się w jednym z namiotów wrzawa, która trwała dwa dni. Właśnie na trzecią noc po ich przyjeździe młoda Mawra, żona Radu, obecnego przewodnika Cyganów, powiła syna. Ujrzawszy, że dziecko jest dziwnie białe, ojciec, zarzucając Mawrze zdradę, obsypał ją wyzwi-

skami i pogrózkami i brał się do bicia. Stara matka nieszczęsnej kobiety, która zgodnie ze zwyczajem cieszyła się wśród Cyganów powszechnym szacunkiem ze względu na swój podeszły wiek, broniła córki dzikim krzykiem i wrzaskiem miotając się między nią i Radu, gdy tymczasem mężczyźni, prawie wszyscy, wzięli stronę zdradzonego męża i ich przywódcy: pohańbiła czystą krew cygańską już w swoim pierworodnym, bodaj nie doczekała do rana — wykrzykiwali i klęli wraz z rozwścieczonym ojcem, który płonął gniewem i żądzą zemsty i wygrażał pięścią stojąc wśród Cyganów zebranych przy namiocie przestępczyni i powtarzających za swoim przewodnikiem wciąż te same słowa; „Już w swoim pierworodnym!...”

— Skąd się wziął ten biały pies? — wpadał Radu od czasu do czasu do położnicy, co na pół przytomna leżała w wozie na poduszkach i łachmanach, tuląc i osłaniając niemowlę przed dzikim i wściekłym spojrzeniem błyszczących oczu męża, to znów drętwiejąc ze strachu przed tym, co mogło stać się w każdej chwili. Wolałyby umrzeć, niż doczekać czegoś podobnego. Wolałyby umrzeć, ale co z tego! Mdlejąc ze strachu nie otwierała nawet ust...

A sam Radu, o wiele od niej starszy, wystrojony w jakiś granatowy ubiór z dużymi srebrnymi guzikami i pomponami, z grubą, posrebrzaną laską w rękę, znakiem swego przywództwa w tej niewielkiej gromadzie, powtarzał wciąż to samo:

— Skąd się on wziął? Ale nauczę cię, kto to taki Radu, pokażę ci, czyją byłaś żoną! — i szarpał biedaczkę za włosy, aż jęczała z bólu. — Poczekaj, pokażę ci. Trzeciego dnia nie będzie twoich kości pod tym namiotem, a to przeklęte (wskazywał na dziecko) rzucę za trzecią górę. Umyśliłaś sobie wyjść za mnie i potem pohańbić i mnie, i całą gromadę? Giń, suko,

jeżeli nie wiedziałaś, jakie cię szczęście spotkało i jak się ma zachowywać żona raja *. Widzicie, jakiego syna urodziła po trzech latach małżeństwa! — splunął przez zęby i roześmiał się. — Twoje szczęście, że twój ojciec to Andronati, a matka jest najstarsza wiekiem w gromadzie, bo nawet trzy dni nie trzymałbym cię w swoim namiocie. I tak zresztą — tupnął ze złością nogą, znowu splunął pogardliwie i wyszedł z namiotu...

Mawra zatopiła szczupłe, smagłe palce we włosy, a z jej młodych piersi wyrwał się jęk rozpaczony i żalu. Po chwili znowu umilkła przymykając pełne bólu oczy, z których toczyły się gorące łzy. Duże srebrne monety zdobiące czarne włosy Cyganki zsunęły się nagle na czoło i nadały przedziwne zabarwienie jej ciemnej, jak z brązu odlanej twarzy...

Była spokojna i jasna letnia noc, wznosiły się ku niebu olbrzymie, pokryte lasem bryły gór, których najwyższe szczyty zdawały się rozplýwać w poświacie księżyca i przejrzystym nocnym mroku...

Radu stanął między swoimi Cyganami. Byli tu sami mężczyźni, leżeli i siedzieli wokół dużego ogniska paląc fajki i rozmawiając o ostatnim wydarzeniu... Kobiety i dziewczęta krząły się tymczasem przy drugim, mniejszym ognisku gotując strawę, bawiły i karmiły dzieci, kładły się z nimi na spoczynek rozprawiając z nie mniejszym ożywieniem o dalszym losie młodej i pięknej Mawry, której zazdrościły od dawna srebrno-złotego naszyjnika, jakim ją obdarzył biorąc za żonę przywódca Radu, i która zarabiała najwięcej ze wszystkich wróżąc prostym ludziom i panom, a po trzech latach pożycia urodziła teraz swemu mężowi *białego syna o niebieskich oczach!*... Tfu!

* Raj — przywódca.

Jak się rzekło, Radu stanął między swoimi ludźmi i cisnął kapelusz o szerokim rondzie na ziemię nie mówiąc ani słowa.

— Radu — odezwał się stary Andronati, ojciec dwudziestoletniej przestępczyni. — Radu, co chcesz zrobić? Wiem, że Mawra jest winna, wiem, co nasze prawo każe czynić z kobietą, która zdradziła męża, wiem, że jeżeli my nie ukarzymy, jej grzech, może jeszcze gorzej, ukarze ją sam. Ukarze teraz czy po dwudziestu latach, a może jeszcze później, ale musi ją ukarać. Co chcesz zrobić? Mawra jest winna. — I powiedziawszy to pochylił się kornie do nóg młodego przywódcy.

Radu nic nie odpowiedział, tylko zerwał swój granatowy spencer na piersiach i zdjął z szyi mały woreczek.

— Zróbcie miejsce! — krzyknął. — I uważajcie!...

Cyganie w milczeniu zrobili przywódcy miejsce i otoczyli go zaciekawieni. On zaś niczym król nocy z gniewem i dumą potrząsał głową, z której spadały mu na ramiona długie, czarne kędziory, znak, że jest wolnym człowiekiem. Sięgnął w końcu do woreczka i nabrawszy garść połyskujących dukatów rzucił je, podobnie jak przedtem kapelusz, na ziemię i zawołał:

— Po raz pierwszy temu...

Znowu sięgnął po dukaty i zawołał:

— Po raz drugi temu... A to po raz trzeci temu, co w dwa dni usunie mi zdrajczynię sprzed oczu, a razem z nią jej białe szczenię!...

Zapanowała wśród Cyganów cisza, ale nie na długo, przeszedł szmer po gromadzie, jakby zabrzączały najniższe struny basowe lub zaszleściły liście. Wszyscy wiedzieli, że kara za wiarołomstwo była u nich bardzo ciężka, ale nic podobnego jak owej nocy nie wydarzyło się dotąd w gromadzie. A tyle było bójek i

rozbojów! Ale żeby sam raj wstał i kazał usunąć swoją żonę, płacąc za to szczerym złotem — nie, różnie bywało, ale nigdy dotąd coś takiego. Mogła to wymyślić tylko zawzięta, szalejąca z zazdrości głowa, głowa Radu.

Nie wiedzieli w pierwszej chwili, co mówić i robić. Zbyt byli zaskoczeni tym strasznym żądaniem przywódcy. Milczeli więc na razie. Aż wstał stary ojciec Andronati, wysoki, chudy, brodaty Cygan, pierwszy wśród nich muzykant, nawet w tej chwili ze skrzypcami w ręku.

— Poczekaj, Radu... — zatoczywszy ręką łuk unióś ją w górę. — Poczekaj, Radu. Jest Bóg nad nami wszystkimi, wszyscyśmy jego dzieci, i biali, i Cyganie, Radu i Mawra. O jej losie...

Przerwało mu straszne przekleństwo, co się wyrwało z ust Radu, ale Andronati mówił dalej:

— Byłeś, Radu, jedynakiem u swego ojca, przywódcy w Siedmiogrodzie, a Mawra jest moją jedynaczką, jedyną córką sławnego muzykanta Andronatego z puszczy. Pobraliście się. Dlatego jesteś dla mnie tym samym, co Mawra, a ona — tym samym, co ty. Nie pozwolę Mawry usunąć czy zgładzić, jak tego chcesz, chociaż wiem, że nasze zwyczaje każą surowo sądzić za zdradę małżeńską i męczyznę, i kobietę. Ciebie też bym nie pozwolił zgubić, gdyby ktoś nawet słusznie tego żądał. Będziemy Mawrę sądzić inaczej, po dobremu, po ludzku. Pozwól jej pozostać tylko jeszcze trzy dni między nami, prosi cię o to dla samego siebie ojciec Andronati! — Powiedziawszy to skłonił się młodemu przywódcy.

— Tak mnie zdradzić, bodaj do rana nie dożyła! — wyrwało się znowu przekleństwo z ust męża, w którym aż się wszystko kotłowało.

— Może nie dożyje — powiedział stary Andronati.

— Znadto nastajesz na jej życie. Może sama odejdzie od nas na wieki, a złote dukaty zostaną przy tobie.

— Niech idzie, niech idzie! — podniosła się wrzawa wśród Cyganów. — Taki wstyd dla nas — pierwszy syn, pierwsze dziecko. A co będzie dalej? Precz z nią, sama tego chciała! — zawołał ktoś w gromadzie. — Precz!

— Nie, zabić ją trzeba, żeby z drugim nie zrobiła tak samo! — syczał Radu. — Zabić!

— Po trzech dniach nie będzie Mawry między wami — znowu odezwał się Andronati. — Los jej przesądziło samo dziecko, które rozszarpalibyście na kawały, gdyby Mawra została z nami. Każdy by je bił. A tak... usunie się sprzed oczu wam i Radu.

— Sam ją zabijesz? — zapytał drugi w gromadzie grajek, cymbalista.

— Sam.

— To bierz złoto!

— Nie, wam je zostawiam. Zabierzcie sobie. Jesteście wszyscy młodszy ode mnie. Mnie go nie trzeba. Mawra jakby nie była odtąd moją córką. Na chleb dla siebie i swojej żony zarobię. — Dumnie podniósł w górę rękę ze skrzypcami i pogroził pięścią młodszemu od siebie przywódcy.

— A szczenie twojej córki? — zapytał ten prostując się z dumą i obrzucił wrogim spojrzeniem nieustraszonego teścia. — Nie trzeba mi go. Zabiję, rozdepczę jak zmiję!...

— Nie martw się o dziecko, biorę je na siebie, bo... — urwał nagle, gdyż jak mara stanęła między nimi matka Mawry, która wynurzyła się z jakiegoś namiotu. Straszna, z rozwichrzonymi włosami, z naszyjnikiem ze srebrnych monet, co błyszczały na jej piersi w księżycowym świetle, upadła od razu do nóg Radu i mężowi.

— Przebaczcie Mawrze jej grzech, nie gubcie młodego życia, bijcie, katujcie, ale pozwólcie jej żyć! — krzyczała rozpaczliwie wyciągnąwszy błagalnie ręce. — O, Mawro, Mawro, cóżes uczyniła? Co cię spotkało? Jaki zły wiatr cię owiał? Z której strony? Na dolinach czy w górach? Mawro, córko moja, serce moje, Mawro! — krzyczała przeraźliwie. — Kąpałam cię, córuniu, w ziołach przy świetle miesiąca, co noc się modliłam o twoje szczęście. Kiedy byłaś małym dzieckiem, miodem cię żywiłam, przed złym okiem strzegąc... pókiś za mąż nie wyszła, pilnowałam cię jak przed ogniem. Ale przyszła zła godzina i z nią twój wróg... i teraz... och, ratujcie, zmiłujcie się, bodaj na kilka dni mi ją dajcie, bodaj do puszczy pozwólcie dowieźć, a potem zabijajcie razem ze mną... — i uderzyła głową o ziemię.

— Odejdź, stara! — krzyknął Andronati. — Po coś tu przylazła! Żeby oberwać? Już zapomniałaś? Nie licz na swoją siwą głowę. Wynoś się stąd, powiadam. Wynoś się, nie widzisz, że radzą tu mężczyźni. Radu i gromada sąd teraz sprawują. Powiedz swoje ostatnie słowo, a ja powiem swoje! — zwrócił się znów do przywódcy. — Pozwól Mawrze zostać z nami bodaj cztery dni, niech wstanie na nogi, żeby ojciec po raz ostatni zagrał jej tu, między wami... i pożegnał się z nią. Potem... przebac albo rób, co chcesz, naczelniku. — I znowu skłonił się w pokorze.

— Nie przebaczę Mawrze, nie chcę jej więcej widzieć na oczy. Nie będziemy mogli z sobą żyć! — powiedział Radu z zawziętością. — Sama zawiniła.

— Sama, sama — szeptało dokoła przypochlebnie. — Sama jest winna!

— To twoje ostatnie słowo, Radu? — zapytał Andronati, a stara matka znowu podniosła lament szarpiąc swoje siwe włosy.

— Ostatnie.

I znowu jak poprzednio rzucał garście złota powtarzając:

— Po raz pierwszy temu...

— Po raz drugi temu...

— Po raz trzeci temu, co w cztery dni uwolni mnie w jakiś sposób od przeklętej wiarołomnej. Słyszeliście, com rzekł?

— Słyszeliśmy.

Wstał wtedy ze swego miejsca muzykant Andronati i powiódł dokoła dziwnym wzrokiem. Straszonym ogniem płonęły jego czarne oczy. Wziął skrzypce pod pachę i rzekł:

— Idę. Wrócę pojutrze wieczorem. Będziemy znowu razem. Bądźcie zdrowi.

Nachylił się nad żoną, co leżała na ziemi, zda się, nieprzytomna z żalu, i krzyknął:

— Czego wariujesz? Idź do Mawry. Nikt się nie waży jej tknąć, pojutrze wieczorem opuści nas, a ty mi za nią odpowiadasz. Odchodzę, lecz wrócę. Pojutrze wieczorem zbierzcie się tu wszyscy jak dzisiaj i czekajcie. Andronati niczego złego z sobą nie przyniesie. Radźcie tymczasem, kto weźmie złote dukaty za Mawrę. Idę...

I poszedł.

Trzeciego dnia wieczorem wrócił.

Znowu kręgiem siedzieli Cyganie przybrawszy różne pozy, a wśród nich Radu, blade i drżący z niepokojem jak demon. Bił się przed chwilą ze starą matką swojej chorej żony, wypchnęła go stara z namiotu Mawry.

Niesłychana to rzecz wśród Cyganów, żeby kobieta podniosła rękę na mężczyznę! W dodatku matka Maw-

ry, wiarołomnej żony! Ale nauczy ich wszystkich. Wszystkich. Starych i młodych. Bronić kobiety, co męża zdradziła? Nauczy ją, starą i...

Kiedy tak siedzieli, pojawił się Andronati ze swoimi skrzypcami. Oddał je cymbaliście, co przyszedł z nim razem, wyjął dużą butlę z gorzałką i postawił ją w środku koła.

— Pijcie, ile chcecie, bracia! — zawołał. — Pijcie, nie żałujcie sobie. Andronati żegna się dzisiaj ze swoją Mawrą, zapamiętajcie ten wieczór! Mawro! — krzyknął i uderzył się pięścią w pierś. — Mawro! — taki żal go nagle ogarnął, że głos mu zadrżał. — Nie godzi ci się jeszcze, zazulko, nie godzi ci się znaleźć między nami. I nie jesteś tam sama. Jest tam przy tobie matka i wszystkie wasze żony, bracia moi... Niechaj nie wie, że jutro ostatni dzień będzie z nami. Ale Andronati — mówił patrząc w stronę namiotu córki — żegna się z tobą, zazulko, w obecności swoich towarzyszy i twego męża, przywódcy naszego, żegna się tak, żeby zapamiętali. — Głos znowu mu zadrżał i załamał się. — Dorzucicie gałęzi do ognia — krzyknął, by opanować to drzenie — niech się rozpali i oświetli całą górę, niech strzela płomieniami i mówi: Mawra żegna się z Cyganami. Pijcie, nie żałujcie sobie! Rozdmuchajcie węgle, podtrzymujcie płomień, niech już dzisiaj oświetli długą drogę dla jej duszy. Pijcie, bracia! Pijcie, muzykant Andronati was zaprasza. Pijcie, nie żałujcie sobie. Kto wie, gdzie się wkrótce znajdziemy... i czy Andronati będzie jeszcze z wami. Nie będzie wśród was Mawry... nie będzie też Andronatiego... Wszystko... jak komu sążone. Pięknie się jej życie układało... Pijcie!

Chodzi Andronati, zaprasza, nalewa, tylko sobie jakoś zapomina nalać. Wyciera tylko wciąż dłonią łyżę z oczu.

Radu leżał na ziemi wsparłszy głowę na rękę, w swojej zaciętości nie odzywał się do nikogo, jakby był tu sam jeden. Pierwszy wychylał raz po raz gorzałkę, którą mu podawał Andronati w małym srebrnym pucharu, co od dawna przechodził z jednego rodu na drugi i bardzo był ceniony. Myślał o Mawrze niemal odchodząc od zmysłów. Co mu teraz po niej? Kłamliwe jest jej serce. Kiedy ją brał, zapewniała, że go kocha, a potem go zdradziła. W dodatku z kimś spoza gromady. Już się nawet domyśla z kim. Tam, w małym węgierskim mieście, do którego czasem przychodzili... jej ojciec często zarabiał grając na skrzypcach, a ona wróżyła i śpiewała, niekiedy tańczyła... Był tam jeden młody bojar, co hojnie sypał groszem za cygańską muzykę, a czasami z innymi bojarami pędził na koniu koło ich namiotu na pusztę. Z nim. Ale już mu na niej nie zależy. Cóż, że ładna, że umie najlepiej wróżyć — mimo że młoda, mimo że córka sławnego wśród Cyganów Andronatiego, nie chce jej już za żonę. Rzucił swoim ludziom złota, niech z nią zrobią, co chcą. Zabiją albo gdzieś wyrzucą. Nic go to nie obchodzi. Byle się zemścić, byle zesłała mu z oczu. Żywa czy martwa — mniejsza o to. Inaczej dobrze się to między nimi nie skończy. A przez nią swojej gromady nie porzuci... żeby nie widzieć więcej Mawry. Słowem ona musi zejść mu z oczu. W jaki sposób? Wszystko jedno. Nic go już Mawra nie obchodzi. Chyba... żeby ją jeszcze zbił, a zresztą, nic go już nie obchodzi...

Nie obchodzi go? Gdy to pomyślał, jego chmurne spojrzenie ukradkiem, jakby przypadkowo padło na namiot, w którym była winowajczyni, i wbiło się weń. Nie obchodzi go?

Przeklęta! Zdradziła, jego zdradziła. Pierwszego cygańskiego przywódcę nad przywódcami.

Dokoła ludzie pili i głośno rozprawiali. O Mawrze i także o nim. To się z sobą zgadzali, to znów spiera-
li. Tu i ówdzie przysiadły się także kobiety. Musiał
z nimi pić, mimo że paliła go gorycz i czuł w pier-
siach ogień jakby od płonących z trzaskiem suchych
gałęzi świerkowych...

Tak, ogień miał w piersiach, ale musiał być obecny
przy wszystkim. Sam musiał wszystko wykonać. Dla
siebie, dla ludzi i Andronatego, którego bardzo sza-
nowano.

Wszyscy się nagle ożywili. Andronati po raz ostat-
ni obchodzi krąg, częstuje, nalewa gorzałkę, nie osz-
zczędza, wszystkim aż się przelewa z czarek; potem
bierze skrzypce.

Wystąpił wreszcie do przodu i zawołał:

— Ludzie! Bierzcie w ręce cymbały i fujarki czy
skrzypce! Mawro! — zwrócił się w stronę namiotu,
w którym była jego córka. — Mawro! Pożegnaj się z
Radu. Jutro o tej porze nie będziesz już nasza — i
przeciagnał smyczkiem po strunach. Nisko pochylił
nad skrzypcami głowę, jakby usłyszał w ich wnętrzu
ukryty i brzmiący tylko dla niego rozkazujący głos,
i — zagrał.

Popłynęła tęskna melodia.

Łkały skrzypce, dzwoniły cymbały, trylowały fu-
jarki, a królowała nad tym wszystkim jedna jedyna
struna skrzypiec Andronatego. O, te skrzypce! Ude-
rzyły w lament rozsypując wezbrane smutkiem tony,
wdarły się w krąg Cyganów opowiadając o Mawrze,
o Radu.

I znowu ta tęskna melodia...

Jak mała pszczołka drżały skrzypce i skarżyły się,
przeszywały serca budząc smutek i żal, przejmowały
ból.

Andronati grał dojnę.

— Mawro! — wołał z rozpaczą od czasu do czasu, nie posiadając się z żalu. — Mawro! — przytupując nogą grał i kołysał się całym ciałem jak szalony. — Mawro, twój ojciec gra... Andronati gra dla ciebie po raz ostatni tu, wśród Cyganów, jutro może go już nie usłyszysz! Mawro!

Radu leżał twarzą do ziemi, opanowany jedną tylko myślą. Zdradziła go. Zdradziła go i nie dotknie jej więcej, chyba żeby zabić. Nie potrafi inaczej, nie pozwoli mu jego natura. Nie potrafi. Tony skrzypiec były, zda się, tylko w jedną jego zbołałą i dyszącą zemstą duszę, przeszywały ją raz po raz jak żądła os, jątrzyły. Białe dziecko urodziła, od obcego, od obcego mężczyzny. Jęczały rozdygotane skrzypce, skarżyły się cymbały: jakiegoś cudzaka... Pograżony w tych rozmyślaniach, nękany bólem i zazdrością, niemal tracił rozum. Jakieś białe dziecko... po trzech latach małżeństwa z nim... Mawro! Bądź przeklęta za twoją zdradę, wszystkie biedy na twoją głowę!

Spoza wysokiej, pokrytej lasem góry wychynął księżyc w pełni i znieruchomiał.

— Radu! — jakby doleciał nagle do niego głos Mawry i rozbite skrzypce Andronatego znalazły się nagle przy jego głowie. — Radu! — Przywódca ocknął się, obok niego padł na ziemię Andronati.

— Mawro, Ma-a-wro! Żegnamy się z tobą na wieki, na... wieki — jęczał muzykant i po dłuższej chwili milczenia dodał: — Śpijcie, ludzie, śpijcie! Jeszcze jedną noc prześpi przy nas, a jutro, kto z was zechce, zrobi z nią koniec. Kto wziął dukaty, niech zabierze także jej duszę lub ją samą. Tak, Radu?

— Tak — sucho zabrzmiał głos przywódcy.

— A potem — z powrotem na pusztę, na szeroką, bezgraniczną.

— Uha, pusztą! Uha! — wrzasnął dziko muzy-

kant. — A dzisiaj jeszcze śpijcie. I z wami stary Andronati. — Usiadł podwinąwszy pod siebie nogi, zatopił palce we włosy, gorzko zapłakał. Musiał się rozstać ze swoją Mawrą, innego wyjścia nie było. Kara za zdradę musiała być wymierzona zwłaszcza kobiecie, a tym bardziej żonie przywódcy. Sam wiedział najlepiej, że popełniła przestępstwo i że spędza ostatnią noc między Cyganami. — Śpijcie, ludzie!... — namawiał i upraszał. — Śpij, Radu. Wszystko zamarło dokoła. Jak postanowiono, tak niech już będzie. Księżyc świadkiem, brat księżyc, co nas nigdy nie opuszcza. Śpijcie, ludzie, śpij, Mawro, śpij, Radu, młody, osierocony nasz przywódco. Wyście dzieci moje. Bądźcie wszyscy cicho, niechaj Mawra po raz ostatni prześpi się smacznie wśród was. Śpijcie. Śpij, Mawro. Śpij, Radu. Czeka nas puszcza, szeroka, głucha puszcza. Cicho... cicho... śpi Mawra, śpi... cicho... śpi...

Zaległa cisza.

Ludzie spali.

Tej samej nocy koło pierwszej godziny młoda i piękna żona przywódcy Radu, Mawra, opuszczała ze swoim białym synem na zawsze jego namiot, schodziła mu z drogi.

Cygani i Radu spali jak zabici i tylko dwaj mężczyźni wyslizgnęli się spomiędzy nich z kocią zręcznością — stary Andronati i jego wierny przyjaciel, cymbalista, który nigdy się z nim nie rozstawał. U-mówili się obaj, że nie będą pili jak inni, a kiedy wszyscy usną, wyniosą Mawrę z dzieckiem z namiotu i w ten sposób wyrwą ją z rąk Radu, ocalą od śmierci lub w najlepszym razie — jakiegoś kalectwa. Wyroki przywódcy cygańskiego były niekiedy straszne, więc naradzili się we dwóch nie wtajemniczając

więcej nikogo i postanowili, że wyniosą Mawrę z taboru jeszcze przed upływem czterech dni i ocalaą od biedy i śmierci. Jeżeli znajdzie się poza namiotami, będzie, jak sądzili, uratowana. Mawra była mądra i zmyślna, pewnie da sobie w życiu radę, a może kiedyś znowu się spotkają. Jej dziecko Andronati podrzuci jakiemuś bezdzietnemu bogaczowi... może tam, w jednej z wsi za Czabanycją, i wszystko będzie dobrze. Lepsze to niż śmierć lub kalectwo na całe życie. Radu mścił się niekiedy kalecząc swoich wrogów, tego właśnie bał się stary muzykant.

Kiedy wszyscy rzeczywiście mocno posnęli po gorzałce, do której Andronati dosypał usypiającego ziele — właśnie to ziele zbierał dwa dni w górach — stary muzykant z przyjacielem wyniósł Mawrę wraz z dzieckiem z namiotu.

Nie zginie jego młoda i piękna jedynaczka niby jakiś zwierz, lecz będzie żyć. Żyć wśród dobrych ludzi. Świat jest wielki, a Bóg żywi wszystkich, więc ją też wyżywi. Nie może pozostawać przy Radu — ledwie się Mawra podniesie, zacznie się na niej mścić i mścić się będzie całe życie. Odziedziczył tę swoją złość po ojcu, siedmiogrodzkim przywódcy cygańskim, zły jest i mściwy, chociaż piękny jak ten jasny miesiąc i ponad wiek mądry.

Mawra, którą Andronati również napił ziele, spała jak zabita i nic nie czuła, gdy ją wynoszono z namiotu. Tylko księżyc i gwiazdy widziały, co się dzieje, nikt więcej.

Uginał się stary Cygan pod brzemieniem swego nieszczęścia, szcząkał zębami wynosząc córkę. Lepiej zostawić ją jednak na łasce obcych ludzi, niż zobaczyć ją martwą lub okaleczoną na wieki. Może ją

jeszcze kiedyś w życiu zobaczy, odnajdzie prędzej czy później, byle nie była kaleką, co gorsze jest od śmierci.

Szli u podnóża Czabanyńcy brzegiem szumiącej rzeki, która pieniała się i kotłowała w swoim łożysku, a fale jej raz po raz uderzały z całym rozpędem o olbrzymie głazy. Szli oddalając się coraz bardziej od swoich namiotów, aż znaleźli odpowiednie miejsce; było dość daleko od wsi, ale wiedzieli z pewnością, że bywają tu ludzie.

Za wsią, w pobliżu młyna owdowiałej niedawno bogaczki Iwanychy Dubychy ułożyli Mawrę pod wysokim, rozłożystym świerkiem i odeszli.

Cyganie uważają świerk za święte drzewo, chroniące ich przed śmiercią. Będzie na razie jedyną osłoną nieszczęśliwej kobiety, póki nie zlituje się nad nią jakaś dobra dusza. Obok śpiącej postawili muzykanci skrzynię z jej dobytkiem i dukatami, które pozbiierał z ziemi cymbalista i pozostawił teraz córce swego wiernego przyjaciela Andronatiego.

Odeszli.

Cymbalista odszedł pierwszy, żeby położyć się z powrotem na dawnym miejscu i nie budzić w nikim podejrzenia, Andronati później, gdyż wrócił na chwilę do córki.

Spała jeszcze. Wylewał nad nią przez chwilę gorzkie łzy, wypowiedział jakieś zaklęcie, co miało strzec w dalszym życiu od złego, zabrał jej białego syna i odszedł. Tulił go tkliwie, przemawiał i przeklinał zarazem tego wroga, co uwiódł jego matkę i doprowadził do tego nieszczęścia; oby nie dane mu było nigdy stanąć przed sądem boskim, oby tułał się wiecznie po świecie, oby udziałem jego była bieda i troska, zimno i głód...

Zastanawiał się, dokąd ponieść sierotę, i sam nie

wiedział. Do jakiego ojca i matki? Nie zna ich, nie widział, nic o nich nie słyszał i mimo to niesie. Czy podrzuci dziecko w szczęśliwą godzinę? Do końca życia będzie jednak przeklinać krzywdziciela. A straszne były jego przekleństwa, wszyscy się ich bali. Bo wszystkie się ziszczały.

Andronati szedł.

Szedł pod górę wąską ścieżką, co zaczynała się nieopodal młyna Iwanychy Dubychy, okrążała z prawej strony Czabanycę, znikwała niebawem w lesie i biegła w prawo nad brzeg głębokiego jak przepaść jaru, po którym toczył się jakiś szumiący strumień.

„Biała”, jak ludzie ze wsi nazywali tę ścieżkę, to się pięła w górę, to opadała w dół, w zależności od ukształtowania Czabanycy, wciąż na prawo od głębokiego i ciemnego jaru, co oddzielał Czabanycę od sąsiedniej skalistej góry, zwróconej do Czabanycy i jej Białej Ścieżki stromą ścianą porośłą lasem.

Biała Ścieżka biegła bądź przez gęsty las na skłonach Czabanycy, bądź przez piękne pastwiska i hale, zawsze jednakowo biała i wąska.

Skończyła się wreszcie. Jakby nagle przypadła do gościńca i rozplynęła się na tej drodze, co przecięła Białą Ścieżkę, nie puszczając jej dalej, i pochłonięła ją jak rzeka pochłania wąski strumień. Zaczynało szarzeć, kiedy Andronati dotarł do trzeciej wsi za Czabanycią, leżącej w pobliżu góry, co wznosiła się już na samej węgierskiej granicy.

Szedł niezbyt długo, ale zgrzał się i oblał potem. Przysiadł na skraju lasu i rozejrzał się. Lada chwila wszędzie słońce, świerki roztaczały orzeźwiający zapach żywicy. Świtało, ale wszędzie panowała jeszcze niezmacona cisza.

Wszystko jeszcze spało.

Stary ojciec z białym wnukiem na rękach szukał

czegoś bystrym wzrokiem tam w dole, we wsi. Nie znajdował i serce mu zamierało w piersiach.

Tam, w dolinie, za wsią pod Czabanycią, w pobliżu wartkiej rzeki, w lesie, gdzie stał tylko nie opodal samotny młyn hucząc wraz z rzeką, pozostawił chorą córkę jak dzikiego zwierza, żeby nie zabili jej bliscy ludzie, nie okaleczyli, a teraz trzyma tu na rękach jej nieszczęsnego syna, żeby go podrzucić obcemu bezdzietnemu bogaczowi, i jakoś mu się nie wie dzie.

Siwy mrok jakby umyślnie nie chce się rozwiać, żeby mu odsłonić we wsi drogę, którą powinien pójść, by dotrzeć do obójścia zamożnego gospodarza. A dzień wstaje, coraz już widniej.

Westchnął ciężko. Czego doczekał. Co mu jest sądzone! Wczoraj żegnając się z córką w swej pieśni rozbił z żalu skrzypce, pozostawił żonę i poszedł. Kiedy wróci, kto wie, czy zastanie ją jeszcze przy życiu. Tylko Cygan zna Cyganów, wie, co się dzieje, co wrze w cygańskiej duszy. Bo co znaczy cygańskie życie? Dziś jesteś tu, jutro tam, a pojutrze — może nie ma cię już na świecie. Przypomniała mu się nagle bajka, tysiącletnia chyba legenda o przyczynie wiecznych cygańskich wędrówek i bied. Kiedy byli jeszcze w Egipcie, nie udzielili u siebie przytułku Pannie Marii ze świętym Józefem i Dzieciątkiem i za karę tułają się i wędrują od najdawniejszych czasów po świecie. Czy skończy się kiedyś ta kara boska? — zastanawiał się.

Uśmiechnął się gorzko, bezwiednie. Prawdopodobnie, póki istnieć będzie cygańskie plemię, nie skończy się nigdy...

A teraz to, co uczynił z córką i z białym niewinnym dziecięciem, czy nie jest również karą, jakąś pokutą? Boże, zlituj się nad grzesznym narodem twoim, który

żałuje za grzechy. W biedzie i pokorze, cierpiąc od głodu i chłodu, żałuje za ciężkie grzechy swoje.

Szeptał do siebie i czekał.

Mgła wciąż wisi nad wsią, nie rozwiewa się. Może broni dziecku wstępu. A może przepowiada mu mglisty los w przyszłości? Słońce wszędzie lada chwila, rozbłyśnie, a mgła nie ustępuje.

Wtem... co to?

Z przeciwległej góry oddzielonej od niego tylko niewielką doliną dolatuje głos trembity.

Tak wcześniej?

Tak. To rzeczywiście głos górskiej trembity, która coś obwieszcza przeciągle i ze smutkiem, skarży się wyraźnie. Wydaje się Andronatiemu, że przytłacza go to smutne wołanie. Cicho dokoła, ani jedna gałązka nie drgnie na drzewie, a głos trembity niesie się nad wierzchołkami. W górę, ku niemu.

Słuchając tych dźwięków Andronati nie mógł powstrzymać łez. Nic dobrego nie wróżyła ta grająca z rana trembita. Andronati spojrział na słońce. Wysuwało się już spoza jakiejś góry, jakby skąpane we krwi, oślepiające. Mgła w dolinie rzedła. Wstał i poszedł w dół. Potem jeszcze raz wspiął się w górę. Niezbyt wysoko widać tam było na zboczu bogate, już na pierwszy rzut oka, obejście. Podobnie jak w lesie, wszystko tu było jeszcze pogrążone we śnie. Podszedł cichym krokiem do przyzby i ostrożnie złożył na niej śpiącego białego wnuka. Rozejrzał się.

Czy w dobrą godzinę zostawił tu chłopca? Kto wie!

Daj, Panie Boże, żeby w dobrą...

A co dalej... jakież będzie los dziecka?

Nic mu nie dało odpowiedzi na to pytanie. Wciąż było cicho dokoła. Najmniejszego ruchu czy szelestu, wszystko spało. Poranna mgła unosiła się z doliny w górę i zasłoniła mu widok.

Kiedy wrócił na drogę, spotkał niebawem jakiegoś czabana i zatrzymał go na chwilę.

— Czemu odezwała się trembita przed wschodem słońca? Mało, że się odezwała, ona łkała...

— Pewnie umarł jakiś bogacz. Biedak nie ma owiec i pastwisk, więc nie będzie po nim płakać trembita — odrzekł krótko czaban i zaczął schodzić spieszenie z góry.

— Ho-op! — zatrzymał go jeszcze raz Andronati oddalwszy się już o parę kroków.

Czaban zatrzymał się niechętnie.

— Czego?

— Czyje to obejście, ot, na tej niewysokiej górze, ze stogami siana koło chaty? — zapytał wskazując na gospodarstwo, w którym zostawił wnuka.

— To... pierwszego bogacza w naszej wsi. Nie znacie go?

— Nie. Obcy tu jestem.

— Mychajła Donczuka... — dodał czaban.

— A dzieci ma?

— Ani jednego. Za to setki owiec i stado koni. Tam... — nie dopowiedziawszy spieszenie rzuconych słów, czaban zrobił tylko ruch ręką, że niby ma bogacz wszystkiego pod dostatkiem, i zniknął między drzewami.

Poszedł również swoją drogą Andronati nie oglądając się więcej i wytarłszy oczy, do których cisnęły się łzy. Szedł wciągając w płuca świeże poranne powietrze przesycone zapachem żywicy. Trwały w bezruchu świerki, jakby rozleniwione i senne. Gdzieś wysoko, pod niebem zataczały kręgi dwa drapieżce wypatrując zdobyczy, by się pożywić.

Znalazłszy się na grzbiecie góry, z której zobaczył węgierską granicę, Andronati przypomniał sobie opuszczone obozowisko. Co się tam działo? Pewnie nic

dobrego. Wyobrażał sobie, w jaką złość wpadł Radu. Nie obeszło się pewnie bez bójki czy nawet zabójstwa. A może za wszystkich odpokutuje żona?

Nie, wszyscy się jej boją. Straszna jest i potężna mocą swych czarów. Jest poza tym w gromadzie najstarszą z kobiet, co chroni przed napaścią i nakazuje Cyganom szacunek dla niej. Także Radu, mimo że mściwy i popędliwy, nie odważy się wyrządzić jej krzywdy. Może ucierpiał jednak jego przyjaciel, który wróciwszy do namiotu, gdzie spali ludzie, zbudził Radu. Młody Cygan nie dowierzał cymbaliście, zarzucił mu, że uważa za przywódcę nie jego, lecz biednego muzykanta, Andronatiego. Tak czy inaczej, dobrze, że Mawrę udało się wyrwać z jego rąk. Nie wiadomo, co ją tam czeka między obcymi, zwłaszcza z początku, w każdym razie pozostanie przy życiu i nie będzie kaleką. I tak samo jej dziecko, mimo że jego ojciec nie jest Cyganem, nie zostanie zabite jak pies. Znajdą się dobrzy ludzie, zlitują się, nie zginą wśród nich ani matka, ani syn. A po pewnym czasie, jeżeli on, stary Andronati, nie zginie, odnajdzie ich i przyłączą się do innej gromady. A wtedy Radu też ochłonie już ze swego gniewu.

Biedna Mawro, jakie będzie twoje przebudzenie w lesie, pod świerkiem?

— Mawro! — krzyczała jego zboląca dusza, lkało ojcowskie serce i łzy znowu przesłoniły mu oczy. Szedł teraz niemal omackiem. Nigdy w życiu nie doznawał takiego bólu jak w tych ostatnich dniach. Oby była raczej umarła w dzieciństwie, niż miałyby zginąć teraz, zmarnować najpiękniejsze lata. — Dlaczego? — krzyknął w rozpacz i złamał ręce.

Kiedy wciągnął ją grzech w swoje sieci?

Przecież nie śmiała nawet palcem dotknąć obcego mężczyzny i mimo to zgrzeszyła... Ba, wie już kiedy.

Gdy zaczęła panom wróżyć i śpiewać przy wtórze jego skrzypiec tęskne pieśni, a chciwemu złota Radu przynosić dukaty od panów za wróżby i śpiew. Złakomił się wtedy wilk na jej piękność i młodość — do czego doszło! A co zrobi on, biedny Andronati? Dokąd wracać? Pójdzie chyba na pusztę i przyłączy się tam do jakiejś gromady, wezwie do siebie żonę. Tak, nic innego. A kiedyś... może po kilku latach przywędruje znów w te strony i zobaczy, jak się żyje wnukowi u bogacza. Po kilku latach, a na razie niechaj ma go Bóg w swej opiece. Jego i Mawrę.

Jeszcze długo wodził muzykant swym bystrym wzrokiem po wierzchołkach lesistych gór, które wylaniały się powoli z porannej mgły odsłaniając grzbieity słońcu, co weszło i jaśniało teraz olśniewającym blaskiem.

Obudziwszy się z rana Mawra ujrzała nad sobą zamiast zakopconej płachty namiotu zielone gałęzie świerkowe i domyśliła się, że znajduje się w lesie. W pierwszej chwili straciła głowę — nie było ludzi, nie było Radu, nie było ojca i matki, co jej nie odstępowali ani na chwilę.

Zaczęła wołać. Słaby jej głos budził tylko jakiś nikły oddźwięk w lesie i nikt nie przychodził na wezwanie. Leżała jakiś czas w oczekiwaniu matki, nasłuchiwała, czy nie idzie matka. Nikt nie nadchodził. Cisza była dokoła, szumiały tylko rozłożyste drzewa poruszające się jak skrzydła w przesyconym życiwicą powietrzu, tu i ówdzie zaszleściła wiewiórka wdrapując się błyskawicznie po świerkach. Sączyło się przez świerkowe gałęzie złote światło słoneczne, szumiała gdzieś w pobliżu rzeka i dolatywał huk młyna.

Była więc niedaleko jakiegoś młyna. Dlaczego jest tu jednak sama? Gdzie się podziała matka? Gdzie się podziały namioty? Czemu nie słyhać dokoła gwaru ludzkiego, nie słyhać głosu ojca, krzyku i rozkazów Radu, pobrzękiwania naprawianych kotłów miedzianych, nic? Dlaczego? Cisza i cisza, a ona, Mawra, jest tu sama.

Co się stało? Czy ją porzucono? O, Boże! Jak się to mogło stać? I matka ją opuściła?

— Mamo, mammo! — zaczęła krzyczeć w przerażeniu. — Mamo! — krzyknęła raz jeszcze, nieprzytomna ze strachu i wybuchnęła płaczem. Łkając głośno jak małe dziecko wzywała to matkę, to ojca. Nie doczekała się nikogo i wtedy dokonała się w niej nagle zmiana, jakby się jej oczy otworzyły. — To robota Radu — łkała żałośnie. Wyrzucił ją ze swego namiotu i odjechał. Zabrał wszystkich, ojca i matkę, zabrał wszystkich ludzi i pomknął jak wichor, swoim zwyczajem uciekł nocą. To jego robota. Obiecał, że zemści się za zdradę małżeńską, za białe dziecko, i zrobił, jak powiedział. — O-o-o! — szlochała głośno Mawra zatapiając palce we włosy i zanosząc się płaczem.

Po chwili przestała jednak płakać. Przypomniała sobie nagle dziecko i umilkła. Uniósłszy się z trudem zaczęła szukać koło siebie. Był węzeł z jej rzeczami, ze wszystkimi nawet drobnostkami, ale dziecka nie było. Na pół zemdlna ze strachu znowu upadła na ziemię. Wiedziała teraz — było tak, jak się od razu domyśliła. Radu ją wyrzucił. Zabrał wszystkich ludzi, zabrał rodziców i dziecko i odjechał potajemnie nocą.

Zaczęła krzyczeć i wołać. Wykrzykiwała imiona wszystkich ludzi, jakich знаła. Także ojca i matki, ba, nawet samego Radu. Nadaremnie. Nikt się nie

zjawił. Dokoła była wciąż ta sama cisza i samotność, szumiały sosny — i nic więcej. Nikogo i niczego.

Czoło jej zrosiły grube krople potu. Wciąż tkwiła w jej świadomości straszna myśl. Tato i mama, Radu i wszyscy inni porzucili ją za zdradę, za białe dziecko. Porzucili ją jak te łachmany, co miała na sobie, odepchnęli ją i odeszli. Znowu się rozszłochała. Zrozumiała już wszystko i wpadła w nieopisaną rozpacz. I znowu się ocknęła. Ale — dziecko!... Boże, Boże dobry i miłosierny, gdzie jest dziecko? Zabrali? Ukradli? Zabili? Co zrobili z jej dzieckiem?

Znowu wybuchnęła płaczem, płakała z całego serca, całym jej ciałem wstrząsało łkanie. Co teraz będzie? Gdzie jest jej dziecko? Po raz setny przeszukiwała leżące koło niej zawiniątka, rozglądała się, szukała dziecka — nie ma go. Nie może go nigdzie znaleźć. Na nic tu jej płacz i łkanie, na nic tu się zdadzą. Trzeba szukać inaczej.

— Tyś to zrobił, Radu! — woła i w rozpacz podnosi w górę swoje szczupłe ramiona. — Ty! Powiedziałeś, że zabijesz jak psa, i zabiłeś. Trzeba było zabić razem z dzieckiem także Mawrę. Bo... urwawszy w pół słowa, znowu wpada w rozpacz, szarpie włosy, bije się w piersi, rwie na sobie odzież, przestaje na chwilę, nasłuchuje i — nowy wybuch rozpacz, znowu to samo. Wszystko nadaremnie. Dziecka nie ma. Leżą tylko dokoła jej porozrzucane, porwane łaszki, otacza ją gęsty las, szumią drzewa.

Oslabiona wybuchem rozpacz i łkaniem położyła się i umilkła. Spod przymkniętych powiek spływają po jej bladych, wychudłych policzkach gorące łzy...

Stało się. Obiecał, że się zemści, i zrobił swoje. Dziecko zabił; ją porzucono i musi teraz umrzeć. Nie ma siły, żeby wstać i pójść za nimi, więc musi tu leżeć i umrzeć albo czekać, aż może przejdzie ktoś tę-

dy przez las. Może ktoś z Cyganów. A może wypędzono ich ze wsi... i zostawili ją tutaj tylko na razie, a potem przyjdą i zabiorą?

Może... Ale dziecko? Dziecko należy do niej. Nasłuchuje... Taka cisza, tylko ten leśny szum. Niedawno hurkocze chyba koło młyńskie, szumi jakaś rzeka, ale Bóg wie, gdzie to. Bóg wie, gdzie są ludzie.

Znowu zaczyna płakać, znowu woła. Próbuje wstać, ale stwierdza, że ledwie się trzyma na nogach. Jest jeszcze chora. Boże, co robić? Osuwa się na ziemię, tuli do niej twarz w ataku szalonej rozpacz. Nic nie wie, nie czuje, tylko żal i ból. Trawi ją jakiś wewnętrzny ogień, od którego zaczyna płonąć całe jej ciało.

Co tam ona sama, nie ma przecież dziecka. *Dziecka!* Zabili je! W oczach jej pociemniało, dzwoni w uszach, potem robi się jej tak słabo... gorąco... zapada się gdzieś... umiera.

Wtem ktoś potrząsa nią, podnosi.

— Nie śpisz już, kobieto? Nie śpij!

Z trudem otwiera oczy, patrzy, odzyskuje powoli przytomność. Pochyla się nad nią jakaś wysoka, niemłoda już kobieta czy może jakaś pani, otaczają ją jacyś ludzie, kobiety i mężczyźni.

Ta kobieta w czarnej chustce na głowie, blada i chuda, patrzy na Mawrę z litością i mówi:

— Wstawaj i chodź ze mną. Będziesz u mnie. Chora jesteś. Leżałaś tu więcej niż dobę. Moi ludzie zaprowadzą cię powoli do mego domu.

Mawra nie rozumie jeszcze dobrze, co się dzieje, ale słucha i usiłuje wstać.

Z ciekawością przyglądali się ludzie, zwłaszcza ko-

biety, nieszczęśliwej, porzuconej Cygance, która leżała jak duży postrzelony ptak o przedziwnych, niewypowiedzianie smutnych i czarnych jak noc oczach, a dokoła porozrzucane były jakieś łaszki, tu i ówdzie połyskiwał złoty dukat. Młoda i ładna Cyganka wyglądała wprost strasznie z bladą w tej chwili twarzą i spletanymi, długimi i czarnymi włosami, które rozsypały się jej na plecach i piersiach.

— Gdzie są nasi, Cyganie? — zapytała słabym głosem, z obcym akcentem.

— Widocznie cię porzucili — odpowiada wysoka, szczupła kobieta w czerni, która wyraziła chęć zaopekowania się Mawrą — widocznie cię porzucili.

Mawra otwiera szeroko oczy, kąciki jej ust drgają — pewnie się rozpłacze.

— Kiedy? — pyta.

— Chyba niedawno. Doszło między nimi do bójkii z powodu jakiejś kradzieży, jak mi opowiadano, kogoś przy tym zraniono, zdaje się, cymbalistę, a potem powsiadali wszyscy na swoje wozy i odjechali nocą, nikt tego nie widział. Ludzie znaleźli cię jeszcze wczoraj wieczorem, przyszli dziś z rana do mego młyna, ale nie mogłam zabrać cię do siebie wcześniej, dopiero teraz. W dodatku spałaś. Straszny spałaś snem, jakbyś była martwa. Co ci było?

— Nie wiem — odpowiada Mawra i ze zdziwieniem wodzi wzrokiem po obcych ludziach. Po chwili przypomniawszy sobie dziecko zalewa się znowu gorzkimi łzami. Płacze, błagalnie wyciąga do nich ręce i mówi coś w obcym, niezrozumiałym dla nich języku.

Przerywa jej niebawem Iwanycha Dubycha, gdyż była to właśnie ona, i podnosi ją z pomocą swoich ludzi.

— Dokąd pojechali moi ludzie? — pyta chora.

Nikt nie wiedział. Zdaje się, że na Węgry.

A gdzie się podziało jej dziecko?

Nie wiedzieli tego również. Miała dziecko?

Tak. Syna. *Białego*. To jej pierwsze dziecko. Jest żoną Radu, przywódcy Cyganów. Czy Cyganie zabrali dziecko z sobą? Ludzie nie wiedzieli. Po bójce Cyganie od razu odjechali nocą...

Więc może zabili jej dziecko?

Nikt nic nie wiedział.

O, pewnie zabili!

Chyba nie, ludzie nic nie słyszeli. Tylko tyle, że podczas bójki przywódca omal nie zabił jednego z Cyganów.

— O, Radu! — jęknęła Mawra załamując ręce i znowu się rozpłakała. — Pewnie zabił także dziecko.

Ludzie nie wiedzieli, nie sądzili jednak, by zabił niewinne dziecko.

— O, Radu! — jęczała Mawra, głośno szlochając. — W gniewie jest taki straszny.

Po chwili dodała:

— Pewnie ukradli mi dziecko i uciekli.

Może. Rzeczywiście nikt nic nie wiedział.

O, z pewnością tak musiało być, jeżeli zniknęli, jakby ich ziemia pochłoneła. Z pewnością ukradli. Zawsze tak robili... nie ma jej dziecka, więc to sprawa Radu.

— Może — odpowiadali ludzie.

Czy nikt nie widział tego dziecka?

Nikt nie widział.

Było *białe*.

Może. Ludzie nic nie wiedzieli.

— Białe było, białe! — niemal krzyczała Mawra.

Nie, nic nie wiedzieli.

Mawra płakała coraz żałośniej, a ludzie milczeli bezradnie. Może nie chcieli zdradzić jakiejś tajemnicy, może nic nie mówili, żeby nie zranić nieszczęsnej

złą wiadomością, a może rzeczywiście nic nie wiedzieli.

Krok za krokiem prowadzili ludzie młodą, porzuconą Cygankę do domu Iwanychy Dubychy, gdzie też została.

Dlaczego chciał ją Radu zabić czy, jak sądziła, zemścić się na niej w inny sposób, wyznała Mawra tylko Iwanysze Dubysze i ta zatrzymała ją przy sobie.

W dwa miesiące po śmierci męża Iwanycha Dubycha, mimo że już niemłoda, urodziła dziecko, małą Tetiankę, której dogląda teraz Mawra. Iwanycha, owdowiawszy, ma wiele pracy i kłopotów przy gospodarstwie i w młynie, więc musi się ktoś zajmować jej jedynaczką, nad którą matka wprost się trzęsie widząc w niej jedyne swoje szczęście. Mawra opadła z sił, nie może ciężko pracować, szukać swoich ludzi też nie jest teraz w stanie — perswadowała Iwanycha Cygance — więc niech zostanie u niej, jak długo zechce, bo przychodzą tu przecież różni ludzie, może usłyszy coś o swoim dziecku, dowie się czegoś. A może wrócą jeszcze jej ludzie po nią, więc przy młynie najprędzej o tym usłyszysz.

Mawra posłuchała i została.

Nie wytrzymała jednak długo w cichej wdowiej chacie u stóp Czabanyci. Kiedy wróciły jej siły, kiedy okrzepła, zaczęła wędrować po całej okolicy szukając dziecka i rozpytując się o swoich ludzi. Chodziła tak i błąkała się tygodniami, miesiącami, głodna jak wilczyca, aż wreszcie wróciła. Wychudła, blada, z bezkrwistymi ustami i ponuro patrzącymi smutnymi oczami. Znowu zamieszkała u Iwanychy Dubychy.

Jej gromada znikła, jakby się zapadła pod ziemię, po dziecku tak samo jak po Cyganach też nie było

śladu. Nikt nic nie wiedział. Nie wiedział i nie sły-
szał.

Mawra już więcej nie płakała. Wiedziała, że nic to
nie pomoże. Wypłakała wszystkie łzy. Tylko swoich
cudownych, pełnych smutku oczu nigdy nie podnosi-
ła śmiało na ludzi. Wstyd jej było. Mąż, rodzice, swoi
ludzie wyrzucili ją z gromady jak psa, na pośmie-
wisko obcym i na jej nieszczęście.

Czyż mogło być jeszcze gorzej?

Pozostała na zawsze, jak się zdawało, u bogatej
Iwanychy Dubychy i doglądała jej dziecka. Jej roz-
budzone uczucie macierzyńskie wymagało zaspokoje-
nia, więc stała się niemal drugą matką dla małej Te-
tiani, pokochała ją jak rodzoną córkę. Mawra uspo-
koila się z czasem, zapomniała o własnym dziecku.

Żyła tak pielęgnując cudze dziecko i trzęsąc się
nad nim, póki nie obudziła się w niej tęsknota i wro-
dzona potrzeba jej dziwnego ludu, by od czasu do
czasu zmieniać miejsce pobytu — ta przedziwna tę-
sknota kazała jej iść gdzieś w daleki świat.

Mawra zegnała się wtedy z dzieckiem zalewając
się gorzkimi łzami, z rękoma pokornie złożonymi na
piersiach kłaniała się nisko Iwanysze, całowała jej
kolana i ręce, i szła. Iwanycha Dubycha, która przy-
zwyczaiła się do Mawry i polubiła ją za szczere uczu-
cia, jakie Cyganka żywiła dla Tetiany, gniewała się
na nią — zgodnie ze swoim charakterem nic zresztą
nie mówiła, mówiły tylko jej oczy — nie puszczała
jej. Jako się rzekło, polubiła porzuconą Cygankę i
była jej ponadto wdzięczna, że zajmowała się dziec-
kiem rzeczywiście jak matka.

— Po co pójdziesz sama jedna w daleki nieznany
świat? — tłumaczyła. — Rozum straciłaś? Nie grzesz,
porzucając z taką łatwością kawałek chleba, ludzi,
co się do ciebie przyzwyczaili, i dziecko. Po co i na

co pójdziesz... i jaką drogą? Czy nie spotka cię znowu kara boska?

— Nie — odpowiadała zafrasowana Cyganka. Musi iść w świat. Ziemia się jej pali pod nogami. Jakby cały jej spokój uleciał gdzieś w dal i teraz wabi ją do siebie. Musi koniecznie zmienić miejsce — tłumaczyła się. Może spotka ojca i matkę, dowie się czegoś o nich, może zobaczy, może spotka bodaj kogoś jednego ze swojej dawnej gromady. Może szczęśliwa godzina połączy ją po latach z dzieckiem, z ojcem i matką, a może spotka się z samym Radu. Wie, kiedy Cyganie wędrują na Węgry i do Mołdawii, kiedy wracają. Umie odczytać ich znaki, które pozostawiają dla innych Cyganów na drzewach, przydrożnych kamieniach i gdzie się da.

Musi iść, coś nie daje jej spokoju. Jeżeli nie pójdzie, zachoruje z tęsknoty i smutku... Czuje, że zaczyna przez to chorować, musi iść... po co tu siedzieć? Pójdzie.

— Chcesz odszukać Radu, żeby cię dobrze pobił! — sucho pyta Iwanycha Dubycha przeszywając wzrokiem słuchającą ją w milczeniu Cyganek.

— Niech tam, nie boję się. Jeżeli nie znajdę, nie spotkam nikogo, wrócę. Nie mam na świecie nikogo prócz was, pani — Iwanychę Dubychę, odzianą zwykle w czerń, Mawra nazywała zawsze panią.

— A jak zostawisz dziecko? — pyta Iwanycha wskazując na małą Tetiankę, która kręci się poważnie między obu kobietami, jakby rozumiała, że jej piastunka odchodzi od niej może na zawsze.

— Oj! — jęknęła Mawra rozdzierającym głosem. — Bo jeszcze ciężej mi będzie na sercu. — Uspokajała się jednak po niedługim czasie i odchodziła.

Ludzie widząc ją odchodzącą z torbami wypełnionymi jakimiś ziołami i łachami śmiali się.

— Widzicie, Mawra już znowu idzie w świat — kpili. Idzie szukać sobie młodego Cygana. Smutno jej u wdowy.

Odgryzała się sypiąc przekleństwami i patrząc na nich pogardliwie swoimi pięknymi, czarnymi i pełnymi smutku oczami. I szła.

Kiedy po kilku miesiącach, a niekiedy nawet po roku takiej wędrówki wracała z powrotem pod Czabanyć, zmordowana i rozczarowana, łkała niepowstrzymanie z radości na widok Tetianki, która podrosła podczas jej nieobecności, dziecko zaś cieszyło się jeszcze bardziej, niż gdyby wróciła jej rodzona matka. Mawra znowu padała Iwanysze Dubysze do nóg jak przy pożegnaniu, całowała jej kolana i błagała:

— Weźcie mnie znowu do Tetianki, dobra gospodyni! Trzeba było słuchać was, pani, a nie swego cygańskiego rozumu. Nabiedowałam się wśród obcych, najadłam się krzyku i poniżenia i wróciłam, nie spotkawszy nikogo. Ani ojca, ani matki, ani o dziecku nic nie usłyszałam, ani o swojej gromadzie się nie dowiedziałam, ani o Radu — tyle tylko, że sprzedawałam ludziom cudowne zioła... to tu, to tam powróżyłam... i gościńce przyniosłam wam, pani, i swojej kochaneczce. — Mówiąc to rozkładała przed Iwanychą Dubychą i jej małą córeczką jakieś zwyczajne łakocie, którymi namiętnie lubiła się objadać.

W kilka lat po swojej ostatniej wędrówce w świat, kiedy Tetianka miała już dwunasty roczek, stanęła Mawra pewnego razu przed Iwanychą Dubychą i poprosiła, żeby jej pozwoliła wyprowadzić się od niej i zamieszkać w innym miejscu.

Zdziwiła się wdowa.

— Dobra jest pani dla mnie, gospodyni — tłumaczyła Mawra. — I pani, i ta nasza droga gołąbka, ale

ludzie ze wsi... tak mi dopiekają, kpią tu sobie ze mnie w młynie. — Mówiąc to wybuchnęła płaczem.

— Kpią sobie? — zapytała Iwanycha wiedząc zresztą dobrze, że ludzie ze wsi rzeczywiście używali sobie nieraz, podrwiwając z biednej Cyganki, zwłaszcza kiedy spotykali się w młynie z obcymi.

— Alboż sama pani nie wie? — zirytowała się Mawra; zapaliwszy swoją fajkę i głośno pykając nabierała niekiedy odwagi, żeby spierać się nawet z samą Iwanychą Dubychą. — Kto przyjdzie do obejścia — mówiła — kpi sobie ze mnie. „Długo będziesz jeszcze mąkę mielić w młynie? — przygadują mi. — Jeszcze długo chcesz koła obracać czarnymi oczami?” Niech w nich piorun strzeli! — przeklinała. — A najgorzej serce boli, kiedy o pani mówią i mojej córuni. „A dobrze obsypujesz chatę cygańskim zieleń — pytają — żeby bogacze przychodzili do jej córki już teraz. Niczego już sobie dziewczuszka i tylko patrzeć, jak wyrośnie”. A drugi mówi: „Gdzie tam obsypuje. Jakby to umiała, sama by sobie pomogła, żeby przyjechał czarny z namiotu bodaj na starej miotle i ożenił się z nią, bo już posiwiła i nadaremnie świeci oczami jak czarny kot spod pieca”. Takie rzeczy słyszę, pani gospodyni, sto razy słyszę od ludzi — z każdym rokiem więcej. Nie mogę już dłużej... I dla pani wstyd, że gadają tak o tej, co mieszka w pani chacie, co wyniańczyła i dogląda Tetianki. Kiedy się wyniosę z domu, przestaną gadać.

Iwanycha się rozgniewała. Nie bardzo wierzyła Cygance, wiedziała, że potrafi Mawra chytrze coś sobie umyślić, że języka w gębie nie zapomina, że umie się cdciać i ukłuc niczym osa każdego, co się odważy ją dotknąć jakimś słowem.

— Nie wierzę ci, Mawro — powiedziała w nadziei, że dowie się, jaka jest prawdziwa przyczyna posta-

nowienia, które powzięła piastunka jej córki. — Nie wierzę ci. Masz jakąś inną przyczynę po temu, żeby od nas odejść. Ode mnie i mego dziecka. Powiedz lepiej prawdę, nie kręć. Pewnie się dogadałaś z jakimiś Cyganami podczas swoich wędrówek i chcesz wracać na Węgry. Co?

Mawra zaprzeczyła. Nie chciała wracać do swoich. Jeżeli dotychczas nie znalazła ojca i matki, dziecka, nawet swego wroga męża i innych ludzi, teraz ich już nie znajdzie i nie zależy jej na tym. Nie chce wracać do swoich, co wyrzucili ją, kiedy była taka jeszcze młoda, jak psa, życie jej złamali. Chce spokoju i chce odtąd żyć po cygańsku. Właśnie.

— Jak właściwie? — znowu zdziwiła się Iwanycha Dubycha, która nigdy nie słyszała nic podobnego z ust Mawry.

— Właśnie tak — brzmiała odpowiedź. Jest tu jedyną Cyganką na całą wieś, na całą Czabanycię i chyba na całą okolicę za Czabanycią. Iwanycha Dubycha już jej nie potrzebuje do Tetianki, bo Tetiana za dwa, trzy lata będzie dorosłą dziewczyną. Mawra musi się więc zabrać do innej roboty, jak się godzi prawdziwej Cygance.

— Do jakiej roboty? — znowu pytała Iwanycha Dubycha. Czyż Mawra nie wybiera sobie sama roboty, jaka jej najbardziej odpowiada? Czy ją kto kiedy zmuszał do czegoś, czego nie chciała robić? Wylegiwała się na słońcu i wygrzewała, byle nie robić tego, czego nie lubiła, albo nabijała dziecku głowę bajkami. A zimą wchodziła na piec i wmawiała wszystkim, że jest chora — i któż ją kiedykolwiek zmuszał do czegoś?

— Tak, to prawda — odparła Mawra jakby nawet z żalem. — Do niczego jej tu nie zmuszano. Dlatego zawsze tu wracała jak do rodziny, mimo że nie ma

tu Cyganów. Ale teraz chce już mieszkać sama. Zupełnie sama. O tam, na Czabanyci, stoi pusta koleba nad samym przepastnym jarem, mieszkali w tej ziemiance jeszcze za życia gospodarza jego czabani. Teraz pastwisko, do którego należała kiedyś ziemianka, zostało sprzedane, ale w ziemiance nikt nie mieszka i wciąż jeszcze należy ta koleba do Iwanychy Dubychy. Mawra prosi o nią dla siebie i chce się tam przenieść na zawsze. Jeżeli pani gospodyni pozwoli i nie rozgniewa się, Mawra wyzna jej, że chce się tam zajmować wróżeniem. A na Czabanyci są jeszcze różne zioła, złe i dobre, co komu potrzebne. Mawra tymi ziołami bez wiedzy gospodyni niejednego już postawiła na nogi i wiele dobrego zrobiła. Będzie tam zbierać zioła i suszyć, dawać i sprzedawać, co komu będzie potrzebne, i mieszkać tam będzie. Zna bardzo dużo leków i umie wróżyć, jak mało kto wśród Cyganów — bo Cyganie też nie wszyscy znają się na ziołach, umieją wróżyć i zamawiać choroby. Ale ją uczyli tego od dziecka tato i mama. I tym zarabiała między panami... i przynosiła dukaty Radu... oby jego kości porozrzucało po całym świecie...

Kiedy zamieszka na Czabanyci, w kolebie nad jarem, będzie przychodziła w odwiedziny do pani gospodyni i Tetianki. Nie zapomni o nich! Czyż mogłaby zapomnieć! Mówiąc to rozplakała się. Ciągnie ją teraz do samotnego życia jak dawniej do wędrówek. Kiedy będzie tam sama, będzie leczyć ludzi i wróżyć im. Ludzie będą tam do niej przychodzić, bo tutaj wstydzą się. Niech się dowiedzą, kim była Mawra, córka sławnego muzykanta Andronatiego i żona samego Łukacza Radu. Tutaj, w dolinie, do młyna Iwanychy Dubychy przychodzą różni ludzie, nie dają Mawrze spokoju i kpią sobie z niej, kpią. Ale tam, na Czabanyci, w lesie, w cichej chatce nad jarem,

chłop inaczej patrzy na wróżkę. Wróżka jest tam panią. Wszystko potrafi zamówić i wszystkim pokieruje; jeżeli zechce, to postawi chorego na nogi... — mówiąc to Mawra wybuchnęła jakimś dziwnym śmiechem, przejmującym, zgryźliwym śmiechem, w którym dźwięczała ukrywana pogarda, jakby stał już przed nią chłop...

Iwanycha Dubycha milczała. Rozmyślała nad czymś, zastanawiała się. Jeżeli dobrze rozważyć słowa Cyganki, to Mawra miała rzeczywiście słuszość. Nie sposób było trzymać wiecznie w domu obieżyświata, jak nazywali ją ludzie, zwłaszcza że zajmowała się Mawra wróżeniem, zamawianiem i innymi niemiłymi Bogu czarami, przed którymi nieraz ostrzegał dobrodziej w cerkwi. Poza tym Tetianka już wkrótce dorosnie, zaczną przychodzić do domu poważni ludzie, a tu mieszka u nich wróżka Cyganka.

Z drugiej strony — jeżeli nie odda jej tej koleby na Czabanyci, Mawra może zabrać dziecko i powęrować gdzieś w świat, gdzie oczy poniosą, może z powrotem do swoich. A wtedy...

Myśl ta szczególnie zaniepokoiła poważną Iwanychę Dubychę i sprawiła, że ta uczyniła zadość prośbie Cyganki, pozwoliła jej zamieszkać w ziemiance na Czabanyci i zajmować się, czym zechce...

Trudno powiedzieć, kto więcej kochał małą Tetiankę, czy ona, matka, czy osierociąta Cyganka, która straciła własne dziecko, rodziców i męża, wszystko, do czego była przyzwyczajona, i która całym sercem, całą swą gorącą duszą przywiązała się do dziecka swojej dobrej opiekunki i chlebowawczyni.

Nikommu na świecie nie powierzyłaby Iwanycha Dubycha swojej Tetianki, tylko jednej jedynej Mawrze. Kto widział bezgraniczną i nie gasnącą miłość Cyganki do dziecka, które wyniańczyła i uważała niemal

za własne, byłby skłonny przypuszczać, podobnie jak Iwanycha Dubycha, że rozżalona Mawra mogła zabrać dziecko z sobą i pójść w świat, gdzie oczy poniosą. Dlatego nie mogła Iwanycha oprzeć się prośbie Mawry, która często przeprowadzała swój zamiar w taki czy inny sposób. A Tetianka przepada za smagłą nianią. Od dzieciństwa śpiewała jej piastunka do snu swoje smutne, monotonne, nie znane tu w okolicy pieśni. Kiedy dziewczynka trochę podrosła, opowiadała jej różne bajki, jakich we wsi też nikt nie znał i nie słyszał. W końcu dziecko słuchało ślepo wszystkich rozkazów Cyganki — cokolwiek by jej kazała, czy czegokolwiek by zażądała od Tetianki, dokądkolwiek by ją posłała i gdziekolwiek zawołała; we wszystkim się jej podporządkowywała, słuchała wszystkiego, co Mawra powiedziała — często nawet wbrew woli samej Iwanychy Dubychy.

Co prawda, Tetianka skończyła już teraz jedenaście lat, ale Cyganka chyba jeszcze wciąż ma na nią większy wpływ niż matka. Niech więc Mawra idzie z Bogiem do lasu nad jar, jak sobie życzy, niech tam mieszka, jak chce, a powoli dziecko się od niej odzwyczai i zwróci się, przylgnie całą duszą do matki, jak być powinno i czego Iwanycha w głębi duszy oczekuje od dawna.

Może będzie Tetiana posłuszniejsza, gdy Mawra odejdzie, bo strasznie ją Cyganka rozpieściła i dziewczynka nie zawsze postępuje tak, jak sobie życzy i każe jej poważna matka. Tetiana chce coś mieć, a ponieważ Iwanycha nie na wszystko jej pozwala, biegnie rozżalona do Mawry i szłocha, zalewa się gorzkimi łzami. Mawra wyciera zapłakaną białą twarzyczkę i jeżeli nie od razu, to później, ukradkiem czyni zadość prośbie dziecka. Tak jest we wszystkim i wszędzie. Na razie Tetiana większych żądań nie sta-

wiała, ale mimo to nie zawsze należało spełniać jej życzenia...

Dziewczynka zwierzała się przed Mawrą, radziła się jej i gdyby nie Iwanycha ze swoim trzeźwym rozumem i rozważą, Mawra zupełnie urobiłaby dziewczynkę na swoje podobieństwo.

Mimo całej swojej miłości do jedynaczki, mimo przeciążenia pracą w gospodarstwie, Iwanycha miała jednak oczy otwarte i znajdowała czas, by przyglądać się Tetianie i Mawrze, by czuwać nad stosunkiem, jaki się wytworzył między nianią i dzieckiem. Czy wyjdzie to kiedyś na dobre dziewczynie, jeżeli przyzwyczai się, że wszystko dzieje się zgodnie z jej wolą, nie inaczej?

Pewnie, że nie.

Przemyślała Iwanycha Dubycha wszystko dokładnie i wreszcie przemówiła:

— Nie w mojej to mocy, Mawro, zatrzymać cię przy sobie, jeżeli myślą już się gdzieś przeniosłaś. Idź z Bogiem na Czabanycię do koliby i mieszkań tam, jeżeli tego pragniesz. Przychodź do mnie po żywność, pomożesz trochę w gospodarstwie i wracaj do siebie. Ale pamiętaj — dodała z powagą i surowo — dziecka samego do ciebie na górę nie puszczę. Mam tylko ją jedną i jest dla mnie wszystkim. Zechcesz ją zobaczyć, zejdź do nas i zobacz się z nią. A jej samej nie puszczę.

— Boi się pani, że ją ukradnę? — z goryczą zapytała Mawra, a w jej spojrzeniu był teraz smutek i wyrzut. — Nie bój się, gospodyni, dla mnie jest także wszystkim na świecie i nie ukradnę jej.

— Kochasz ją, Mawro, ale ja też ją kocham. Dziecko to się w moją stronę zwraca, to w twoją. Zanadto ją rozpieściłaś. Ja zabraniam, a ty pozwalasz. To niedobrze i sama wiesz, że gniewałam się z tego po-

wodu na ciebie. Jest jeszcze dzieckiem, ale nie uznaje nic poza swoją dziecięcą wolą. Trzeba temu położyć kres. Póki będę ją mieć na oku, jakoś się jeszcze wszystko układa, ale jeżeli by się już zadomowiła u ciebie na górze, czym ja będę dla niej? Tyle chyba, że będzie się nazywać moją córką.

Mawra nie odpowiedziała od razu, nic nie mówiąc wytarła oczy i splunęła.

— Chcecie, pani, żeby miała już taki rozum jak wy — odezwała się w końcu — żeby pobożna była i surowa, wprost uchowaj Boże! Ależ to jeszcze mój ptaszek — i tyle. Niech się bawi i cieszy. Niech się śmieje i śpiewa, niech korzysta ze wszystkiego dobrego póki może i kąpie się w słońcu u swojej mamy...

— Wiem, że jest jeszcze dzieckiem — wciąż tak samo poważnie odparła Iwanycha Dubycha. — Ale czas już, żeby nim być przestała. Dosyć długo była twoja, Mawro — dodała. — Karmiłaś ją bajkami, pieśniami, zabawami, wbijałaś jej do głowy różne różności, jakby była czysto bojarskim dzieckiem. Niech się teraz zabierze do pracy. Przecież lepiej pamięta te twoje pieśni i bajki niż modlitwy, których ją ucze z rana i wieczorem.

Dumnie błysnęły czarne wspaniałe oczy Mawry, uśmiechnęła się.

— Bo opowiadałam jej najładniejsze bajki, jakie znam, uczyłam najładniejszych pieśni. A że jest dla mnie bojarskim dzieckiem, to prawda. Czy może nie, pani gospodyni? — zapytała i mówiła dalej z dumą, jakby o samej sobie: — Czyje pastwiska są najpiękniejsze na Czabanyci jak nie Iwanychy Dubychy? Czyje bydło takie jest gładkie i utuczone jak nie Iwanychy Dubychy? A śliczna czarnobrewa Tetianka, tak ładnie ubrana, czyż to nie córka Iwanychy Dubychy?

— Cicho bądź, Mawro! — przerwała jej Iwanycha Dubycha, surowo marszcząc brwi, gdyż nie lubiła, gdy jej schlebiano i wychwalano jej majątek, była bowiem skromna i pobożna, korzyła się przed Bogiem, jak może nikt inny nawet z wiejskich biedaków nie zapominała o Nim i o cerkwi. — Cicho bądź i pamiętaj: przychodź z koleby, jak powiedziałam, kiedy będziesz mogła, zabierz sobie żywność, zrób, co trzeba, popieść Tetiankę i wracaj. A ja w niedzielę czy święta, jeżeli niezbyt często, to bodaj czasem, kiedy będziesz mogła, przyjdę z małą do ciebie.

— A jak Tetiana wyrośnie i będzie już na wydaniu, wtedy niech już przychodzi, kiedy sama zechce — mimo wszystko wtrąciła Mawra.

— Jak Bóg pozwoli, że tak będzie, niechaj chodzi. A teraz nie puszczę jej. Pamiętaj, Mawro — dodała z przejęciem, niemal błagalnie — mój cały majątek to nie pastwiska na Czabanyci ani młyn nad wodą, lecz ona jedna, ona jest moim szczęściem. Muszę jej strzec...

— W drodze do mnie nie spotka jej nic złego — powiedziała Mawra już śmielej — pobiegnie po Białej Ścieżce od młyna do mnie na górę, poleci jak ptaszek i sfrunie w dolinę, będzie znowu przy was, pani.

Iwanycha Dubycha uśmiechnęła się.

— Jakoś to będzie, Mawro — powiedziała łagodnie — jakoś to będzie.

Mawra zadowoliliła się tym, czego dopięła, i sprawa skończyła się.

Czabanycia, wysoka góra częściowo porośnięta starymi lasami, należała do tych gór, na których rozciągały się wśród lasów najlepsze pastwiska będące własnością

cią kilku bogaczy, w tej liczbie także Iwanychy Dubychy.

Po tej stronie, gdzie biegła Biała Ścieżka i zieleniły się pastwiska bogatej gospodyni, w pobliżu szczytu Czabanycia wyłoniła ze swego wnętrza białą skałę, którą ludzie nazwali po prostu Białym Kamieniem. Spod tego Białego Kamienia widać było wszystkie otaczające Czabanycię szczyty i lasy, a wśród nich także wieś Tretiwkę, która leżała niemal przy samej węgierskiej granicy jako trzecia z sąsiadujących tu z sobą wiosek.

Od łagodnie opadającego zbocza Czabanyci, skąd było pół godziny drogi do obejścia i młyna Iwanychy Dubychy, biegła w las Biała Ścieżka, która, jak już powiedziane było przy sposobności, okrążała Czabanycię i kończyła się po jej przeciwległej stronie łącząc się z szeroką drogą, co prowadziła do innych wsi, także do Tretiwki...

Idąc tą ścieżką od młyna Dubychy w górę przez las, między jej pastwiskami i głębokim jarem, w którym szemrał wesoły strumień nigdy nie wysychając, docierał wędrowiec do koleby Iwanychy Dubychy — stał ten szałas w pewnej odległości od jaru, za kilkoma starymi świerkami.

Biała Ścieżka opasująca Czabanycię biegła nad samym jarem, z dala od koleby, do której nie docierała. Ale po co kolebie ta ścieżka, co mogła do niej doprowadzić czasem także nieproszonego gościa? Stała przyparta z jednej strony do jakiegoś kamienia niemal takiej jak ona sama wielkości, który chyba odłamał się ze szczytu Czabanyci, od Białego Kamienia, stoczył się w dół i zatrzymał w końcu za Białą Ścieżką nad przepaścistym jarem, by podeprzeć małą kolebę. Po stronie wschodniej koleba patrzyła spod świerków w samą przepaść z huczącym strumieniem

i dalej ponad nią na sąsiednią zalesioną górę. Samej koleby nie widać jednak prawie spoza szerokich, rozłożystych gałęzi starych świerków. Dlatego właśnie tak przypadła do gustu Cygance Mawrze, podsunęła jej myśl, że dobrze by było żyć tu samotnie i oddać się całkowicie wróżbiarstwu i leczeniu ludzi różnymi ziołami, co rosną na zboczach Czabanyci.

Początkowo służyła koleba za schronisko czabanom bogatego gospodarza Iwana Duba; przebywali tu nie tylko latem pasąc na halach bydło i konie, lecz niekiedy także zimą na żądanie gospodarza. Po śmierci Iwana Duba koleba stała przez kilka lat pustką, aż doczekała się teraz nowej mieszkanki w osobie Cyganki Mawry.

Pewnego pięknego letniego dnia sprowadziła się Mawra na Czabanycię. Dwunastoletnia Tetianka odprowadziła ją wraz z Iwanyczą Dubyczą niby to pomagając przenieść cygański dobytek, taki zresztą niewielki, że przeszły się dwa razy tam i z powrotem i wszystko już się znalazło w chacie nad jarem.

Tetianka wracała od Mawry Białą Ścieżką i płakała, a w jej małych uszkach kołysały się złote kolczyki w kształcie półksiężyca, które Mawra wypruła z jakiegoś starego łacha i włożyła dziewczynce na pamiątkę.

— Noś je, córeczko, i nigdy nie zdejmuj... — przygadywała Mawra z powagą wkładając dziecku kolczyki. — Złoto chroni przed złem i przyciąga złoto. Kiedy byłam małą, dostałam je od swojej matki, która je zdobyła gdzieś daleko w świecie za swoje wróżby. Noś je, będziesz piękna i wspaniała jak Turczynka.

— Jak *Turczynka* — powtórzyła tak samo poważ-

nie dziewczynka poddając się spokojnie operacji założenia kolczyków i słuchając z uwagą każdego słowa smagłej przyjaciółki.

Obiecały sobie, że będą się wzajem odwiedzać jak najczęściej, i rozstały się.

— Przychodź do mnie, Mawro, bo umrę bez ciebie! — jeszcze raz nakazała dziewczynka na odchodnym.

— Przyjdę, córeczko, przyjdę! — uroczyście przyrzekała Mawra wycierając łzy, które toczyły się po jej chudej twarzy z żalu za dzieckiem.

— Codziennie — nakazywała dziewczynka.

— To będzie niemożliwe — zabrzmiało w odpowiedzi — w każdym razie z początku. Bo zobaczyliby ludzie, że chodzę do was tak często, i kpiliby sobie, że „Cyganka wyszła drzwiami, a oknem wróciła...” Ale nie martw się, córeczko. Mawra kocha Tetiankę i nie zapomni jej — przyjdzie.

I dotrzymuje słowa, odwiedza Tetiankę, jak obiecała. Wprawdzie nie co dzień, ale dość często. Gorzej jest zimą. Matka córki nie puszcza, a Mawra przychodzi do niej tylko raz lub dwa w tygodniu. Napelnia swoje sakwy wszystkim, czym ją obdarowuje Iwanycha Dubycha, nacieszy się Tetianką, popieści ją i zadowolona wraca do swojej chaty.

A Tetianka, co już się trochę odzwyczaiła od Mawry, odwraca się z uśmiechem w zwilgotniałych oczach i tuli się do matki...

Szybko oswoiła się Mawra ze swoją romantyczną siedzibą i nie żałuje, że się tu przeniosła.

Po ludziach we wsi nie tęskni, bo dopiekli jej porządnie i chyba na wszystkie czasy. A starsze kobiety i młódki, dziewczęta i chłopcy, ba, niekiedy nawet

starzy gospodarze, znajomi i obcy, kiedy potrzebowali rady, leków lub zamówień znachorki i wróżki, odnajdywali do niej drogę i odwiedzali ją. A nikt tu nie przychodził z pustymi rękoma.

Jedna kobieta przyniesie mąki, druga mleka i chleba, trzecia trochę nafty, ten i ów pieniędzy na tytoń, słowem każdy ją czymś obdarzy. I dobrze się Mawrze żyje, biedy dotąd nie zaznała, zresztą wiele jej nie trzeba.

A Tetiana, coraz większa i ładniejsza, przybiega w pogodne poranki do swojej starej przyjaciółki i Mawrze się nie nudzi. Latem zbiera grzyby i jagody, zanośsi do miasta na sprzedaż — też coś jej z tego kapnie. W piątek i sobotę zebrze w sąsiednich wsiach, a niekiedy u bogaczy w mieście i nigdy nie wraca z pustymi torbami.

Wieczorem rozkłada swoją zdobycz na ławie i stole, co pozostały jeszcze po pastuchach i cieszy się. Z rana pilnuje bydła Dubychy. Jako się rzekło, wiele jej nie trzeba. Zimą dni są krótkie i długie noce, czas szybko mija. Wiosną i latem aż do późnej jesieni Mawra zbiera jeszcze zioła, sprzedając je ludziom potajemnie, wróży i tak oto pędzi swoje dni w lesie na Czabanyci.

Inaczej toczy się życie Iwanychy Dubychy i Tetiany w dolinie koło młyna. Iwanycha ugina się pod brzemieniem gospodarskich trosk, Tetiana rośnie i rozwija się, wygląda jak piękna leśna rusalka.

Zaczęła już dwudziesty rok życia. Wysoka jest, giętka, o białej twarzy. Zwracają uwagę szczególnie jej czarne, gęste brwi; zrosnięte nad nosem, strzelistymi łukami otaczają jej czarne, zadumane oczy. Wy-

gląda jak piękne bojarskie dziecko, co w milczeniu dziwi się wszystkiemu na świecie.

Kto koło niej przejdzie, spojrzy na młodą, piękną twarz z wysokimi łukami czarnych brwi nadających twarzy wyraz głębokiego zdziwienia, ten przystanie odruchowo na chwilę, by się jej lepiej przyjrzeć.

A ona...

Spojrzy swymi pełnymi zdziwienia oczami z góry — wysoka jest jak matka — a potem jakoś się zawstydzi, Bóg wie czego, i uśmiechnie. A jaka jest piękna, kiedy się uśmiecha. Ile łagodności i serdeczności przebija z uśmiechu tych młodych, niewinnych ust. Dusza jej jest czysta i biała jak gołąb, wszelkie zło jest jej obce. Bo skąd zło u Tetianki, jeżeli prócz lasu, młyna, swojej chaty ze świętymi obrazkami i starej niani Mawry, nic więcej nie widziała. Chyba nikt lepiej nie oceniał piękności Tetiany jak jej poważna matka. Patrzy na nią niekiedy i w duchu modli się do niej. Nie tylko do tego cielesnego piękna, lecz również do dobroci i czystości duchowej tej swojej jedynaczki. Nikt przecież nie zna i nie rozumie jej tak dobrze jak matka. Jaka pracowita, uczciwa i miłosierna jest jej córka. Boże, zmiłuj się nad nią, ześlij jej szczęśliwy los!

Boi się czasem o los tego dziecka, nad którym tak się trzęsie i na które młodzi ludzie czyhają niczym sępy. Widzi, jak się oglądają za Tetianą i obchodzą ją z daleka niby rabusie. Sama już nie wie, na kogo jeszcze czeka, stara się ją uchronić chyba dla jakiegoś anioła czy królewicza, co skądciś przybędzie i weźmie ją od matki pod swoją troskliwą opiekę.

Skąd mógł przybyć? Nie wie Iwanycha Dubycha. Serce jej jeszcze go nie zwiastuje. Z dołu, ze wsi — nie. W dolinie zna przecież wszystkich. Już kilka razy odprawiała swatów z niczym. Nie spodobali się

zalotnicy. Ani matce, ani córce. Ale może przyjdzie spoza tamtej góry, gdzie chowa się rzeka — trzeba poczekać, może pojawi się kiedyś na tratwie.

Może...

Trzeba więc strzec Tetiany i pilnować, żeby nie poszła za kimś, kto parą dla niej nie będzie. Dogląda jej Iwanycha Dubycha, pieści dziewczynę, niepokoi się o nią i modli o szczęście dla córki. Przyjdzie to szczęście. Tetianka jest dobra, miłosierna i pracowita — czyż nie nagrodzi jej Bóg za to szczęśliwym losem? Dobrych ludzi zły los omija.

Żyje Tetiana spokojnie u matki jak kwiatek na klombie. Nie widzi wiele i nie słyszy, przede wszystkim nie widzi nigdy zła. Nie widzi również swojej piękności, co olśniewa jak słońce wszystkich na nią patrzących; chyba tylko, kiedy się nachyli nad czystą wodą, zobaczy siebie. Ale...

Słowem, nikogo nie widzi i nie słyszy. Rzadko kiedy puszcza ją matka do wsi, do rówieśniczek. Mieszkają daleko od jej obejścia i młyna, Iwanycha boi się o córkę. Ma ją jedną jak jedną duszę i jedno serce w piersiach, więc też boi się wszystkiego. Ten, co go jej Bóg przeznaczył, sam skieruje się do młyna. Swoim głośnym hukiem ściąga ten młyn niejednego. Stanowi jakby odrębny świat, a Tetianka jest w nim panią. Któż się nią nie zainteresuje, nie zechce spojrzeć?

Jednego tylko nie broni teraz matka Tetianie i nigdy nie krępuje tu jej woli. Wolno jej chodzić do wróżki Mawry nad jar, kiedy zechce, i przechadzać się po lesie.

Idąc pod górę przez las Tetiana śpiewa pełnym głosem, jakby chciała wyśpiewać wszystko, co gra w jej duszy. Pogodne to i silne uczucie, naturalne i czyste. Przecież piękno wywodzi się wprost od Boga. Idzie po wąskiej Białej Ścieżce wciąż pod górę, raz po raz

schyla się, by zerwać dzwonek ze zwieszoną w zadumie główką, idzie wśród szumu świerków, między swoimi i cudzymi pastwiskami. Dobrze jej tutaj.

A stara Mawra. Oho, któż tak upilnuje dziewczynę jak ona! Już się jej wszyscy boją, bodaj samych jej strasznych oczu — potrafi ukarać samym ich błyskiem. Nie, nikt nawet złego słowa nie powie Tetianie.

A Iwanycha Dubycha, surowa i bogobojna, w niedziele i dni świąteczne bywa z córką w cerkwi — latem chodzą pieszo, zimą jeżdżą.

*

Młody Hryć, wychowanek bogatego Mychajła Donczuka z Tretiwki, położonej w pobliżu węgierskiej granicy, dowiedział się dosyć wcześnie, że nie jest jego rodzonym synem, lecz podrzutkiem, że go znaleziono pewnego razu na przyzbie owiniętego w płachtę. Wprawdzie jego gospodarze, czy ojciec i matka, jak ich nazywa, dobrze go żywią i ładnie ubierają, mimo to gospodyni, kiedy wpadnie czasem w złość, klnie go na czym świat stoi. W takich właśnie chwilach słyszy Hryć, że jest „nasieniem jakiegoś obieżyświata”, że zawitał pod spokojną strzechę dobrych ludzi w zakopconych „cygańskich” szmatach, żeby na nich ściągnąć zmartwienia i „zgryzotę”.

Hryć odczuwał wtedy taki ból, tak go mierzył cały ten górski świat dokoła, że gotów był iść, gdzie oczy poniosą, byle tylko nie widzieć tu nic i nie słyszeć. Nie tylko zresztą wtedy budzi się w jego sercu jakaś dziwna tęsknota do dalekich, innych krajów. Nie. Ta nieszczęsna tęsknota nie daje mu spokoju nawet wtedy, kiedy w domu jest cicho i gospodyni nie krzyczy.

Nie może długo wytrzymać na jednym miejscu — głównie przez to właśnie krzyczano na niego w domu i obrywał nawet cięgi. Każą mu czasem paść owce — dzień, dwa, czasem nawet cztery pasie je gorliwie i raptem ni z tego, ni z owego porzuca całe stado i wędruje w zupełnie inną stronę, gdzie nie ma ani paszy, ani wody. Albo przyłącza się do czabanów pasących bydło, do parobczaków z końmi... i trwa to jakiś czas, póki nie wróci wreszcie do domu, nasyciwszy się tą zmianą miejsca.

Pewnego razu już jako siedemnastoletni chłopiec wybrał sobie najlepszego z koni gospodarza i zaczął objeżdżać sąsiednie wsie. Szukali chłopca przybrani rodzice, martwili się — ten przepadł bez śladu jak kamień w wodę. Dopiero siódmego dnia znalazł go gospodarz; chłopak siedział spokojnie pod stogiem, przy koniach, bez kapelusza na głowie i strugał długą pasterską fujarkę.

— Ach, ty opryszku, gdzieżeś to uganiał cały tydzień na koniu? — chwycił go gospodarz za gęstą, czarną czuprynę i mocno potar mosił.

— Objechałem wszystkie wsie dokoła — odrzekł Hryć z niezmaconym spokojem i uwolnił swoją ładną głowę z silnych rąk gospodarza-ojca. — Pytałem o skrzypce.

— O skrzypce? — wykrzyknął gospodarz i aż oczy wybałuszył ze zdziwienia. — Alboż cię do skrzypiec wychowałem i trzymam? I wzięłeś na przejażdżkę najdroższego konia? Czekaaj, nicponiu, czekaaj! — wrzasnął na całe gardło. — Co też mu do głowy przyszło — skrzypce! Tfu!

— Nic się koniowi nie stało — spokojnie odrzekł Hryć — pilnowałem go i doglądałem. Patrzcie, aż błyszczą się w słońcu, taki jest utuczony i wypielegnowany. A skrzypce są mi potrzebne i wzięła mnie

chęć zajrzeć do sąsiedniej wsi. Nudno mi, tato, siedzieć na jednym miejscu, więc pojechałem. A nie tak wiele do zrobienia zostało w domu, sami wiecie. Więc pojechałem. Kiedy jest pilna robota, nie wykręcam się, a kiedy nie ma, to jadę. Tak!

Gospodarz ze zdziwienia aż zapomniał języka w gębie. Ręka jego uniosła się znowu, żeby sięgnąć do czupryny chłopca, ale zatrzymała się w powietrzu. Hryć spojrzał na niego takimi dziwnie smutnymi i szczerymi zarazem oczami, że gospodarz tylko splunął i zakląwszy pod nosem, odszedł.

Hryć uśmiechnął się odgarnąwszy z czoła swoje bujne, jedwabiste włosy, co mu opadły przy szamotaniu się z ojcem, i wrócił do swojego zajęcia. Ojciec wie swoje — myślał — a on swoje. Chciał koniecznie wystarać się gdzieś o skrzypce, nauczyć się na nich grać, żeby nie było mu tak tęskno i smutno, kiedy samotnie pasie bydło lub owce w górach, żeby go nie pędziło z miejsca na miejsce. Nie udało mu się. Wystruga sobie za to fujarkę i jak na niej zagra, wszystkie dziewczęta na tańcach otoczą go i będą słuchać, będą to płakać, to znów puszczać się w tan. U-ha! Co mu tam gospodarz...

Ale gospodyni-matka dowiedziawszy się, że jeździł Hryć przez siedem dni po wsiach na najlepszym koniu, zabrała się do niego inaczej. Kochała go zresztą i kiedy była w dobrym humorze, traktowała chłopca życzliwie, rozżołościwszy się jednak, ani myślała darrować mu przewinę.

— Włóczego! — rozkrzyczała się, kiedy wszedł do izby, i nie zastanawiając się długo, uderzyła go szeroką dłonią w twarz. — Włóczego! — wrzeszczała niepoohamowana w swojej popędliwości. — Myślisz, że po to jest ten czas boży, żeby go marnować harując na koniu? Popamiętasz tę przejażdżkę —

krzyczała i zamachnęła się, żeby uderzyć chłopca po raz drugi. — Popamiętasz! — Nie uderzyła jednak. Powstrzymała ją zmiana, jaka dokonała się nagle w chłopcu.

Jakby go zmija ukąsiła, z wyniosłą miną niczym jakiś bojar jednym skokiem znalazł się Hryc tuż przed nią i ścisnąwszy jej rękę jak kleszczami, wykrztusił:

— Nie jestem włóczęgą — mówił chłopiec załamującym się głosem, poruszony do żywego i urażony — nie jestem włóczęgą.. Jestem waszym synem. A jeżeli wyrzekacie się mnie i mówicie, że tylko waszym wychowankiem, to nie obrażajcie mnie. Za darmo waszego chleba nie jem, jak umiem, tak zarabiam. A że nie robię tyle, ile byście chcieli — cóż, zostawcie mnie w spokoju. Pójdę sobie i nie wrócę. Weźcie sobie na moje miejsce parobka, będzie dla was lepiej. Nie wszystko mam chęć robić i dlatego nie robię. I nie będę robić. Rozumiecie? Pamiętajcie, że parobkiem waszym nie jestem! Co u was zjadłem, to już odrobiłem. — Spojrzał z pogardą i trzasnąwszy z gniewem drzwiami, wyszedł. W jego ruchach i głosie tyle było dumy i siły, że gospodyni umilkła i pobladła.

— Tfu! — splunęła i przeżegnała się. — Co to takiego? Kogo mam w swoim domu? Sierotę, com go przygarnęła, czy popowskiego albo bojarskiego syna? Widzicie, jak mamę uhonorował, trzasnął jej przed nossem drzwiami jak przed Żydem, bo nie jest „włóczęgą” i żeby go nie „obrażać”. Mychajło, słyszeliście? — zawołała do gospodarza, który był dotąd w drugiej izbie, a teraz właśnie ukazała się w niskich drzwiach jego pochylona postać.

— Słyszałem — odrzekł. — I co?

— Co? — krzyczała żona. — Jeszcze pytacie? Widzicie, jak wam za wasz chleb dziękujecie!

— Nie przezywaj go tak wciąż włóczęgą. Wi-

dzisz, że taki się już urodził, nie może usiedzieć długo na jednym miejscu. Co z nim począć? Zabić go za to nie zabiję.

— Ja go nauczę! — krzyczała wciąż gospodyni.

— Nie, nie nauczysz. Sam już próbowałem. Biłem i nic dobrego z tego nie wyszło. Zobaczysz, teraz znowu się nie pokaże przez kilka dni. Diabli go wiedzą, co w nim siedzi, ale taki już jest.

— Wdał się w rodziców obieżyświatów, mówię wam — nie ustępowała gospodyni.

— Nie znaleźliśmy jego ojca i matki... — ujął się za chłopcem mąż (prawdę mówiąc kochał Hrycia i bronił przed żoną, chociaż pod jej nieobecność sam go beształ za wałęsanie się). Znaleźliśmy dziecko pod naszą chatą. Może to pańskie dziecko — nic nie wiemy. Dotkniesz go jakimś słowem, od razu się w nim gotuje i nie tak prędko go uspokoisz. On nie jest dzieckiem włóczęgów.

— A ja wam powiadam, że z pewnością. Owinięty był w zakopconą płachtę, co z tego, że leżały dukaty w węzełku.

— W zakopconą czy nie, teraz jest nasz. A skoro tak, nie dokuczaj mu. Widzisz, iż brak mu cierpliwości. Jeszcze rozżołości się kiedyś i odejdzie od nas.

Gospodyni umilkła, wzruszyła ramionami. Nigdy nie przyszło jej to do głowy i dlatego trochę się zaniepokoiła.

— Et, gadanie! — odezwała się raczej pojednawczym tonem, jakby nie zamierzała już więcej mówić o włóczęgowie Hrycia. — Przecież go wykarmiliśmy i głową sięga już prawie powały!

— Właśnie teraz. Może się teraz nająć gdzieś do pracy, a przedtem był mały.

— Aż, co tam — przerwała mu żona. — Dowiedźcie się jeszcze, Mychajło — powiedział mi onegdaj, że

zamówił sobie nowy wyszywany kozuch. Zaczyna już dziewczętom głowę zawracać.

— Alboż mu tego bronie? — odrzekł gospodarz. — Ładny, młody chłopak, więc zawraca.

— A na tańcach musi być za każdym razem.

— Niech tam. Młody jest, niech się bawi.

— A jutro wam powie, że chce się żenić. Kręcą się koło niego dziewczuchy, cały ich rój... Co wtedy zrobicie?

— Nie pozwolę i ziemi nie dam. Jeszcze za wcześnie na ożenek, niech jeszcze przy nas gospodaruje, żebym wiedział, komu kiedyś oddam ziemię...

— Phy, bardzo was będzie słuchać! — rzuciła żona. — Już go parę razy przyłapałam z Nastusią Krywyniukiwną. Do innych się zaleca, ale do niej wciąż się garnie.

Gospodarz uśmiechnął się.

— Wiem to od dawna. Mówił mi jej ojciec.

— Bo chciałby go na zięcia. Ale myślę, że Hryć jeszcze niejednej głowę zawróci, nim się ożeni — odpowiedziała żona.

— Póki nie natrafi na swoją — dorzucił gospodarz.

— Póki nie natrafi na swoją... — powtórzyła żona i umilkła.

— Stary Krywyniuk to dobry gospodarz, a Nastia jest pracowitą dziewczyną, wdała się w ojca. Niechby się kiedyś pobrali, jeżeli jest mu przeznaczona — odezwał się po chwili gospodarz.

— Dobra dziewczyna — jakoś niechętnie powiedziała żona. — Już teraz ma rozum jak stara. Dobra... — urwała.

— Właśnie dlatego dobra jest dla niego — odrzekł mąż. — Jemu tylko konie w głowie, a ona będzie miała na wszystko baczenie. Dlatego dobra...

Po sprzeczkach z rodzicami Hryć widząc czasem, że rację mieli oni, ale on również, bo sama natura kazała mu robić „coś takiego”, co doprowadzało do kłótni, wynosił się z domu i nie wracał, dopóki nie uspokoił się sam, no i gospodarze również.

A bywało tak często, wciąż przez ten jego dziwny charakter, co nie znosił żadnego przymusu; o byle co Hryć się obrażał i nade wszystko kochał wolność. Gdyby nie córka sąsiada Krywyniuka, Nastka, z którą się przyjaźnił i przed którą się użalał, gdyby nie ojcowskie konie, które kochał ponad wszystko, wreszcie owce, które kiedy był jeszcze małym chłopcem, słuchały jego głosu jak dzieci, byłby już dawno porzucił ojca i matkę i poszedł w świat. Siedzi tu jak na łańcuchu, a ludzie opowiadają, zwłaszcza pewien stary, siwy Cygan, który co kilka lat przychodzi z Węgier, wstępuje do ich domu po jałmużnę i żeby trochę odpocząć, otóż opowiada ten Cygan, że gdzieś tam daleko, za ich górami i lasami, jest inny świat i ludzie. Poszedłby tam, uczyłby się i został wielkim panem, żyłby tam, nauczywszy się przede wszystkim grać na skrzypcach. Często tak sobie rozmyślał Hryć, zwłaszcza kiedy już był młodym chłopcem; wałęsał się wtedy niepotrzebnie z owcami z miejsca na miejsce, a ojciec i matka go besztali. Ale teraz już mu się wąs sypie, już, jak powiedział ojciec ze śmiechem, „ma rozum pod nosem” i chyba się jakoś uspokoił. Kiedy matka rozzłościwszy się z jakiegoś powodu nazywa go „obieżyświatem” albo nawet „Cyganem”, Hryć się śmieje.

— Czyż mam, mam, czarne oczy i czyż sam jestem czarny, iż wam przypominam Cygana? Oczy mam niebieskie niczym niebo, jak mówią dziewczęta, a szczególnie Nastka Krywyniuk, dlatego się im podobam;

a wy, chociaż nie widzieliście mego ojca ani matki, robicie ze mnie Cygana. Grzeszycie, mammo!

I matka milknie, uśmiecha się udobruchana znowu; duszę by oddała za swego Hryćka, którego wszyscy jej zazdroszczą, bo taki ładny z niego chłopak i rozumny. W ogóle nikt nie potrafi gniewać się długo na Hrycia, który, jak mówi białolica Nastka, robi ze wszystkimi, co chce.

Dlaczego?

Może dzięki tej swojej rozdwojonej naturze, bo są w nim jakby dwie dusze, co budzą się od czasu do czasu i walczą z sobą. Jedna niestała, tęskna, pusta i zapalczywa, druga wrażliwa, dumna i dzielna. Pociąga Hrycia dobro, piękno, miłość, a przede wszystkim wolność, niczym nie skrępowana, bezgraniczna jak strzeliste lasy na szczytach, jak wartkie rzeki w dolinach. Jak ta rozległa puszcza, którą zna z opowiadań starego Andronatego (tak się nazywał ów stary Cygan) i która niekiedy ukazuje mu się nawet we śnie. Urodzony z niego drapieżnik i łobuz, mówi Nastka, co go kocha jak rodzonego brata, a może nawet więcej, jaki tam już jest. Z nią też najchętniej przestaje, kiedy się smuci albo kiedy mu wesoło na duszy. Jakoś się dzięki niej uspokaja.

— Czemu taki jesteś smutny, Hryciu? — pyta Nastka widząc, że chodzi chmurny i niezadowolony.

— Ciężko mi na sercu — odpowiada Hryć.

— To zagraj na fujarce albo na trembicie. Dla siebie i dla mnie, Hrycuniu! — prosi z przejęciem i tuli się do niego białolica Nastka. — Nikt we wsi nie gra tak jak ty, za serce chwyta twoje granie. — Wprowadza go tymi słowami jakby w jakiś inny świat. Żeby zrobić przyjemność jej i sobie zarazem, Hryć zaczyna grać.

Jedyne jego szczęście, powiada, to fujarka, trembi-

ta i Nastka. Jest tak rzeczywiście. Nikt w całej tej górskiej okolicy nie przemawia tak graniem do serca jak Hryć. Zwłaszcza kiedy gra na trembicie, to jakby gorąca modlitwa płynęła nad szczytami. A w letnie wieczory nikt tak nie wyśpiewuje jak Hryćko Donczuk. Krzątając się po obejściu i przy bydle śpiewa jedną pieśń po drugiej. Wszystkie albo bardzo smutne, albo bardzo wesołe, innych nie lubi.

Biegają za nim wszystkie wiejskie dziewczyny, ale on za żadną. Podoba mu się chyba tylko niebieskooka Nastka, chociaż to też nie wszystko, jak mówi innym chłopakom. Dopiero wtedy, kiedy pomoże mu Nastka „rozum odzyskać”, zapędzi go do pracy i nie pozwoli włóczyć się, przytuli ją i zapewnia, że kiedyś pośle do niej swaty. Z innymi dziewczętami gada, co prawda, ale śmieje się z nich tylko.

— Wy, dziewczuchy — mówi do Nastusi — wszystkie jesteście głupie.

— Poczekaj, Hrycuniu, poczekaj... — odpowiada spokojnie Nastka. — Na razie może głupie ci się wydajemy, ale kiedy spotkasz taką, co ci głowę zawróci albo może nawet da lubczyku, uważaj, żebyś sam nie stracił wielkiego rozumu.

— Przecież kocham już ciebie, Nastusiu — broni się Hryć i oczy mu się śmieją wesoło — ale rozumu jeszcze nie straciłem.

— Kto wie, czy nie straciłeś... — odpowiada dziewczyna i tak samo jak on patrzy mu otwarcie w oczy. — Bo kochasz mnie i przychodzisz do mnie, ale kiedy czasem odejdziesz, to wolisz z tydzień być przy koniu, zamiast ze mną. Alboż świadczy to o rozumie?

— A czyż nie byłem taki zawsze? — wciąż się broni Hryć.

— A może chodzisz z innymi dziewczynami, Hrycuniu, kto wie? — pyta Nastka. — Nie wiem. —

A mówi to bez wyrzutu w głosie, bez gniewu, spokojnie, jak dziecko.

— A czemu nie mam być przy koniach i nie chodzić z innymi dziewczynami? — pyta Hryć, raczej żeby się z nią podroczyć. — Wsiądź także na jednego z koni twego ojca, jedź ze mną i patrz, ile chcesz, jak Hryć z końmi rozmawia i tańczy z innymi dziewczynami. Zobacysz.

— Nie jestem ciekawa — odpowiada Nastka z dumą, w głębi duszy urażona jego obojętnością, czego nie pokazuje jednak po sobie. Po chwili spojrzawszy w jego szczerze oczy, co patrzyły na nią z ukrywanym uśmiechem, uśmiecha się również i mówi:

— Nie kpij, Hrycuniu, nie kpij sobie z dziewcząt, bo są również takie, co w nich nieczysta siła siedzi. Pamiętaj — dodaje z powagą — w młodości te ładne przyciągają do siebie... szczególnie czarnobrewę, a na starość, mówiła mi nieboszczka babka, krowom mleko odbierają i o północy wylatują na miotle kominem.

— A co mnie to obchodzi? — odpowiada Hryć. — Nie jestem krową i nie boję się ich. Wszystkie was kocham, i białe, i czarne, chociaż jesteście wszystkie na jedno kopyto, dobre, ładne i głupie. A Nastunię Krywyniuk najlepiej kocham. Ale jeżeli cię kiedyś zapomnę, Nastuniu, nie bądź wrogiem dla mnie.

— Czyż ci byłam kiedyś wrogiem, Hrycuniu? — pyta dziewczyna ze zdziwieniem i znowu patrzy mu otwarcie w oczy i tłumaczy cierpliwie: — Przecież sama ci powiedziałam, że urodziłeś się drapieźnikiem i bałamutem, przy niczym długo nie wytrzymasz. Nie jestem ci wrogiem.

— Nie mówię tego, kochana. Ty jedna na świecie jesteś dla mnie dobra i szczerą, jedna radzisz sobie ze mną, do domu mnie zapędzasz, do pracy, każesz

wracać do rodziców. Gdyby nie ty, dawno bym już... — zatoczył ręką łuk i wskazawszy gdzieś w dal, gwizdnął i uśmiechnął się.

Tak upajająco brzmią w uszach Nastki słowa pięknego chłopaka. Mówią jej o miłości i szczęściu, są dla niej wszystkim, czuje dziewczyna, że czymś go rzeczywiście trzyma przy sobie, panuje nad nim. Czym właściwie — nie wie.

Nie ma w tym wszystkim żadnego rozeznania. Wie tylko jedno, wie, że musi go nadal trzymać przy sobie, że go kocha z całego serca. Pogniewam się, zniechęcę — myślała niekiedy — to się rozzłości, odleci jak ptak i usiądzie na innym drzewie. Wtedy przepadnie dla niej.

Nastka nie gniewa się więc nigdy na Hrycia... Kocha go i tą swoją miłością przywiąże go do siebie na zawsze. A kiedyś się pobiorą. Gdzież jest na świecie siła — mówi sobie w duchu pełna szczerych uczuć Nastka — siła, której Hryć ulegałby bardziej niż jej? Ze wszystkich dziewcząt ją jedną kocha, sam przyznaje, że właśnie ona mu pomaga odzyskać rozum, zapędza do roboty i każe wracać do rodziców. A poza tym? Że czasem na tydzień lub dwa wyjeżdża ze wsi na koniu, to nic strasznego. Matka mówi, że może ktoś czar na niego rzucił... Z czasem samo przejdzie, nie trzeba mu tym dokuczać. Jest więc Nastka spokojna i spokojnie go kocha. Nic więcej nie wie. Zna tylko własne, szczerze i pełne prostoty serce i pięknego Hrycia, co ma dwie dusze. Oto cała prawda. Wielka, głęboka, poważna prawda, która jej wystarczy, z którą jej dobrze...

*

Głęboka zima. Niespokojnie jest w lesie. Obciążone śniegiem zielone gałęzie przegięły się ku ziemi niżej

niż o innej porze roku, a wiatr, co nad nimi hula i z trudem przeciska się wśród nich, wprawia je w ciągły ruch. Stawiają mu opór, lecz muszą w końcu ulec. Przebija się przez nie ze wzrastającą siłą i niebawem rozszumiał się cały las i rozjęczał. Rozhulała się zawierucha. Wiatr przybiera na sile, strąca śnieg z drzew, kołysze, rozhuśtuje najwyższe nawet korony, huczy złowieszczo, rozchodzi się szeroką falą w powietrzu szum sosnowego boru...

Straszno teraz w lesie i pusto. Chociaż jeszcze nie północ, ale z wilkiem można się tu nocą spotkać.

Nad chatą Mawry starannie otuloną ze wszystkich stron jedliną, jakby się nad nią litując, sosny nisko zwieszają swoje pokryte śniegiem gałęzie i zdają się ochraniać ją przed wiatrem, co napiera na nie, przebija się i mąci ich zwykły spokój.

Cicho jest w tej chacie. Pali się tylko i trzeszczy wesoły ogień w piecu, oświetla wnętrze izby, zwłaszcza to, co znajduje się w pobliżu, a najlepiej siedzącą tuż przy piecu Mawrę. Przysunęła sobie szeroką ławę z poczerńiałego drzewa i usiadłszy na niej rozłożyła karty. Na skraju pieca rozciągnął się czarny kot, drzemie i zdaje się pilnować ognia i swojej czarnej pani. A na samej górze, nad piecem śpi oswojony czarny kruk Mawry, napuszony, z głową schowaną pod skrzydło. Wszystkie inne przedmioty w tej zadymionej chacie toną w mroku lub wyłaniają się z niego na chwilę w zależności od ognia, który to przygasa, to się rozplamienia.

Mawra wróży z kart sama sobie.

Chuda, wynędzniała, ze skudłaczonymi siwymi włosami wygląda strasznie, jak przerażająca mara. Od czasu do czasu wyciąga chude ręce i grzeje je przy ogniu płonącym w zadymionym, aż czarnym piecu, i coś do siebie szepcze. Jej duże, czarne oczy, w któ-

rych, zda się, na zawsze zamieszkał smutek, patrzą teraz bacznie, zwracając się raz po raz w stronę małego, krzywego okienka, i czekają.

Na dworze wciąż huczy wiatr. Jakoś źle się zapowiada dzisiejsza noc; jakkolwiek nie pierwszyczna to Mawrze spędzać w samotności takie noce, tym razem jakoś jej mimo wszystko straszno. Wiatr huczy w lesie, wyje, dmucha, aż kołysze się płomień w piecu. A las szumi i jęczy, jakby śmierć przeciągała ze swoim wojskiem między drzewami. Coś się przedziera przez las, trzeszczy, coś jęczy, chodzi. Wtem... o, Boże, co to? Czy ktoś zapukał w tej chwili w szybę, czy wiatr cisnął w nią grudą śniegu, żeby przestraszyć Mawrę, samą jedną w lesie? Lubi takie żarty wiatr, największy wróg Cyganów. Żywy jest. Bywa czasem zły jak siła boża... Wie to Mawra od dziecka. Płomienie igrają wesoło, oświetlają całą ławę, na przeciwległej ścianie płasają cienie-straszdyła, dobrze widać na ławie rozłożone karty, stare, wytarte, z zaokrąglonymi rogami. Oto co wyczytuje z nich Mawra:

Bieda, smutek, samotność jak zwykle, ale są tu również jacyś ludzie. Czekają ją jakaś wielka niespodzianka, coś niejasnego, co wymaga jeszcze czasu. Jest jeszcze daleko, ale przyjdzie.

Jest w to wszystko zamieszana także jej droga dziewczyna, Tetiana. Ta jedna jedyna, co ją jeszcze trzyma przy życiu. Jej Turczynka, jak o niej mówiła z powodu kolczyków w kształcie półksiężyca. A teraz Mawra sama nie wie, jak zrozumieć karty. Czy to wszystko dotyczy jej czy dziewczyny? Nie wie. Tym razem zupełnie nie wie. Komuś innemu może by wytłumaczyła, czy o życie tu chodzi, czy o los — we wróżeniu nikt jej nie przewyższy. Ale sobie nie potrafi dziś wywróżyć. Czy to wszystko, co widzi przed oczami, oznacza smutek czy radość? Bo smutek i ra-

dość jakby tu sobie podały ręce. O, są tutaj krwawe łzy zmieszane ze łzami radości. Co to znaczy?

Zniechęcona zbiera karty, odkłada je daleko, zapala fajkę... i czeka. Sprawia jej ból ta dzisiejsza noc w lesie. Ciężko jej na sercu, jakby była zdrajczynią, przestępczynią. Przecież żywej duszy dziś nie widziała, nie mogła nikogo oszukać. Któż pójdzie drogą przez las... teraz? Chyba ktoś, kto śmierci pragnie, szuka jej. A nawet Mawra jeszcze jej nie chce. Mimo że... sama nie wie, po co chodzi po tym świecie. Po co właściwie żyje? Komu jest potrzebna? Czego może jeszcze doczekać? Idzie jak cień przez życie, idzie, póki się nie spotka z nocą i nie połączy z nią na wieki.

Pograżyła się w tych smutnych rozmyślaniach, aż tu uderzyło coś w jej małe okienko, brzęknęło, aż jęknęła ze strachu.

I znowu cisza.

Znowu nic nie słyhać tylko ten przelatujący nad lasem szum i jęk. To śmierć idzie. W swojej samotności Mawra czuje, że to śmierć tak się przedziera przez las, zawadziła o jej chatę, zamachnęła się kosą, by o sobie przypomnieć. Śmierć.

Tej nocy padnie zapewne niejedno potężne drzewo, złamie się niejedna korona, zginie niejedno zwierzę. Straszna noc.

Mawra rozgląda się dokoła. Czegoś jej brak. I nie tu, poza nią, lecz w jej duszy, w sercu... Czego? Przecież przyzwyczała się do samotności.

Nie wie.

Odruchowo skrzyżowała ręce na piersiach, ale usta nie szepczą modlitwy. Nie umie się modlić. Nie modliła się, Bóg wie, jak długo. A jeżeli się nawet modliła, Bóg nie jest życzliwy dla jej ludzi. Nie lubi ich. Dlatego żyją wiecznie w nędzy i tułają się po świecie na wieki ukarani. Tylko nocą budzą się do życia, noc

ich pociąga, o Bogu nie pamiętają, swoje prośby kierują chyba do księżycyca. Pomaga im księżyc, ale w takie noce też się przed czymś chowa.

Płomień strzelił nagle sam przez się i rzucił czerwony odblask na ławę, na której leżały karty. Mawra wzięła je znowu do rąk, poszeptala nad nimi i rozłożyła jak przedtem.

I znowu przypatruje się... przypatruje... i znowu nie może zrozumieć, co jej teraz mówią. Czeka ją coś bardzo wielkiego, coś smutnego i radosnego zarazem. Niby to noc i niby dzień. Jakby wesele i jakby śmierć. I jest w to wszystko zamieszany ktoś bliski i daleki zarazem. Mężczyzna i dziewczyna. Nie, dwie dziewczyny. Raz jest dobrze, a raz źle. Z jednej strony jakby majątek i szczęście, a tuż blisko żebracza torba i kij. Mawra splunęła, chce już zmieszać karty. Nie, jedno jest chyba jasne.

Przyjdzie do jej chaty dwóch mężczyzn. Jednemu — jej czy jemu śmierć jest sądzona, drugiemu, jej czy jemu — radość. Stoi między nimi dwoma radość. Jeden młody, drugi stary. Obaj przyjdą do niej. Sami przyjdą. O, młody... trafi prosto do jej chaty, chociaż jeszcze nie teraz. O, jeszcze nie! Obaj jakby się mieli zejść w jej chacie... ale... Boże, czy aby nie śmierć sprowadzi... jeden z nich z sobą? Tak — śmierć. Straszna, czarna śmierć. Zapowiada swoje przybycie samymi czarnymi kartami. Strzeż się, Mawro! Nieraz w życiu grzeszyłaś. Nieraz okłamywałaś ludzi, oszukiwałaś, a ufali ci, prosili o pomoc.

I znowu zmaćło się jej w głowie, znowu nie potrafi nic zrozumieć z tego wszystkiego. Zniechęcona odsunęła karty, co tak źle wróżyły, odwróciła się plecami do ciepłego pieca, skuliła się jak mogła na szerokiej ławie — próbuje zasnąć.

Zasnąć! Nie, w taką noc się to nie udaje. I nie w

takim miejscu jak tutaj. Lada chwila biała zamieć obali i strąci kolebę w głęboką, straszną przepaść. Napiera na nią wichur, każe zejść mu z drogi, huczy, wyje. A śnieg podnosi się coraz wyżej do okienka, nadmuchała zamieć zaspę pod ścianą. Tylko świerki osłaniają chatkę swoimi szerokimi, gęstymi gałęziami, święte drzewa, co bronią śmierci dostępu. Ale kto zmierzy moc zamieci w taką złą noc? Śmierć nie krąży sama. Towarzyszy jej całe wojsko, jak dawno już mówili jej tato i mama. Zawsze z wojskiem idzie, leci. Sama leci na czele, a wojsko za nią. Wszyscy z kosami i czarnymi chorągwiami. Zawsze wszyscy razem. Zawsze w takie noce. O, jak wyją, jak zapowiadają swe przybycie.

Mawra już drzemie; huk wichury na dworze usypia ją powoli. Wtem Mawra się ocknęła, zerwała się na równe nogi, taki zdjął ją nagle lęk. Ktoś stuka do jej okna, dobija się.

Śmierć? Mawra się zastanawia. Bez wątpienia ona.

W jednej chwili pada plackiem na ziemię i czołga się do drzwi, jakby zamierzała bronić komuś wstępu do izby. Ciemno jest pod drzwiami, nikt jej nie widzi. Ogień w piecu już przygasa, blednie, w chacie pociemniało.

— Wpuście do chaty! — słyszy wyraźnie stary, ochryply głos i ze strachu mrowie chodzi jej po plecach, a skudłaczony włosy stają dęba. Głos umilkł i po chwili znowu: — Wpuście do chaty!

Mawra się nie rusza. Wstrzymała oddech, cała zamieniła się w tej chwili w słuch. Jej uszy, oczy, serce, wszystko w niej żyje, wszystko to teraz słucha. I Mawra słyszy:

Hej, jak się wiatr rozkołysał, jak się znęca nad sośnami, jak się rozszumiał las, prastary las! Oto kołysze się już jej chata, sunie w stronę jaru, lada chwila rozsypie się i zawali. Czoło jej zrosił pot. Śmierć.

— Wpuście do chaty! — znowu rozlega się starczy głos, ktoś wali rozpaczliwie w drzwi, a potem jakby czeka, nie mówiąc już ani słowa...

W chacie zalega śmiertelna cisza.

— Wpuście do chaty! — po raz trzeci woła rozpaczliwie straszny głos...

Mawra zastygła w bezruchu, jakby wiedziała z góry co ją czeka, kiedy otworzy. Nie jest w stanie. Rozbójnik jej nie oszczędzi. Mawra zna wiele wypadków, które przytrafiały się ludziom, wie, jak postępowali dawniej Cyganie. Prosi się ktoś do izby, człowiek otwiera w dobrej wierze, żeby poratować, a zbój... bach go jak psa... i już jest po wszystkim... Nie. Mawra zna życie, nie wpuści nikogo. Nie chce, żeby ją zabito. Lęka się śmierci, boi się.

„Mawro, Mawro, masz niejeden grzech na sumieniu, zrób raz dobry uczynek... zostanie ci wybaczone — odzywa się w niej znowu głos wewnętrzny. — Wpuść! Może to ktoś biedny, obcy, boi się, że zginie. Wpuść!”

„Mawro! Mawro, opamiętaj się” — Mawra trzęsie się jak w febrze, wciąż słysząc ten głos w duchu. Toczy się w niej walka, coś ją popycha do drzwi, każe je otworzyć. I znowu się trzęsie, strach skłania ją do oporu, jakby rzeczywiście usłyszała pod oknem dola-
tujący spod ziemi głos śmierci, co się do niej dobija. Wprost odchodzi od zmysłów ze strachu, nie wie, co robić. Nie podnosi się z ziemi, obmacuje tylko drzwi i wyęzając wszystkie siły nasłuchuje.

Pod oknem ucichło, słychać tylko szum sosen i jakieś bezradne człapanie, jakby czyjeś nogi szukały ciepłego miejsca w śniegu, walczyły z mrozem. Mawra oblewa się znowu śmiertelnym potem, jej wzniesione do góry ręce opadają bezsilnie. Nie, nie może o-

tworzyć. Nie jest w stanie. Sił jej brak, strach wziął górę. Strach przed tym jakimś dolatującym, jak się jej zdaje, spod ziemi głosem, co się do niej wpraszał. Niech się dzieje wola boża. Jest sama na świecie, nikt jej nie obroni, niech bodaj umrze własną śmiercią. Nie jest w stanie otworzyć. Ukryła się tu przed ludźmi jak dzikie zwierzę, a zła godzina tu jej też nie daje spokoju. Niech ją zostawia w spokoju i ludzie, i zło. Nie otworzy. Nie może. Niechaj ten z tym głosem idzie z Bogiem, *ktokolwiek to jest*, czy dobry człowiek, czy zły, z daleka, czy z bliska, niech sobie idzie. Mówiono jej to samo, gdy kiedyś dawniej szukała wśród obcych swoich ludzi i pod drzwiami, prosząc o jałmużnę, z zimna i głodu wprost skomlała jak pies: „Idźcie z Bogiem”.

I szła. Z Bogiem czy bez — nie wiedziała z żalu, ale kazali się wynosić, więc odchodziła.

Dlatego...

Milczy wciąż, nie odzywa się i nie rusza, walczy z jakąś siłą czy uczuciem, co nakazuje drzwi otworzyć. „Mawro, Mawro, otwórz, Mawro, wstań! — błaga ją coś rozpaczliwie i napomina — Mawro, otwórz!”

Znowu włosy jeżą się jej na głowie, znowu wyęcza wszystkie siły i nasłuchuje. I znowu... zda się, już maleje, ginie, ulega. Pod oknem słyhać jak poprzednio człapanie...

„Dwaj mężczyźni trafiają do jej chaty, a z nimi śmierć” — rozbłysnęło nagle w jej mózgu wspomnienie wróżby. Nie, nie otwierać — mówi jej coś w duszy. Nie chce śmierci. Przeżyje tę noc i będzie jeszcze żyć, a ten wróg pod chatą, co pragnie jej śmierci, co przyszedł po jej duszę, niechaj idzie z powrotem. Lepiej w taką noc nie chodzić. Mawra to wie. Wie od swoich ludzi, co tylko nocą rabowali, zdobywali różne łupy, czynili zło. O-o-o! Kto nie zna zła!

Mawra znowu czołga się jak zmija, kładzie się pod drzwiami. Wtem — co to? Obija się o jej uszy dola-
tujące spoza drzwi straszne przekleństwo; wstrzą-
śnięta do głębi duszy Mawra lodowacieje, zda się, wy-
zienie zaraz ducha. Po chwili wszystko ucichło. Nie
słysząc już człapania pod drzwiami ani głosu, nic.
Chyba nawet szum lasu ustąpił przed czymś, zatra-
cał się powoli, ginął.

Mawra odchodzi od zmysłów. Przerażona krzyknęła
przeraźliwie i padła plackiem na ziemię... Kiedy, kie-
dy słyszała ten głos? O, kiedyż to było! I to straszne
przekleństwo. Doleciało teraz do niej chyba spod zie-
mi! A do kogo dotarło, tego zabijało. O-o-o!... Kiedy
słyszała ten głos? Kiedyż to było? Mawro, przypom-
nij sobie...

Gorsze to od śmierci. W duszy jej kotłują się wspo-
mnienia i przestach, miotają nią, chyba umrze lada
chwila. A znikąd czekać ratunku. Sama jest przecież.
Sama na całą górę, na cały las... sama... już umiera.
Wie teraz, czyj to był głos. Wie. Był to głos jej ojca.
Głos Andronatego, przeklinającego za nieposłuszeń-
stwo i przestępstwo. Jego głos.

Mawra wybucha nagle szaleńczym śmiechem, jaki
nigdy nie rozbrzmiewał w tej samotnej chatce. Głos
jej ojca. Skąd? Z tamtego świata? Od czasu, kiedy no-
siła w swym łonie białe dziecko, kiedy znalazła się
sama w obcym miejscu pod drzewami, minęło ze dwa-
dzieścia, a może nawet więcej lat, sama już nie wie.
Co się stało z ojcem i matką, nikt nie wiedział. Nie mo-
gła się dowiedzieć. Chodziła po świecie, pytała, szu-
kała, wracała i szła znowu. Rozmawiała, płakała przed
ludźmi, wypytywała się, nie dowiedziała się jednak ni-
czego, tak samo jak o swoim białym dziecku. Tylko
śmierć tak zaciera wszystkie ślady. Jedna tylko
śmierć. Ale był to głos ojca. Jego duch do niej przy-

szedł. Tłoczą się myśli w jej niemal oszalałej głowie, nęka ją strach i wspomnienia.

Mimo wszystko był to głos ojca, Andronatiego. Tylko on znał to straszne przekleństwo, którego boją się wszyscy jak ognia. On jeden. On i matka byli w gromadzie najstarsi wiekiem. W jaki sposób dotarło do niej to przekleństwo, by tak ją ugodzić nocną porą? Spod ziemi? Kiedy tak klął, wprost ziemia drżała.

Mawra jest głęboko przekonana, że przyszedł do niej spod ziemi. W tę czarną, huczącą noc — tylko spod ziemi. Przyszła jego dusza, żeby przepowiedzieć jej śmierć. Trzy razy prosił się do niej i trzykroć nie odezwała się Mawra. Za to, że nie wyszła, nie wpuściła go, przeklął ją...

Głos ojca. Głos spoza grobu. Straszny, ochrypliwy, głuchy, złowieszczy. Przecież zawiniła! Dlaczego nie otworzyła?

Wykrzywiają się jej usta.

Komu otworzyć? Była północ, o północy chodzą tylko rozbójnicy lub umarli. Mawra rozkrzyżowawszy ramiona leży na ziemi, męczy się, jęczy, wykrzykuje imię boskie. Modli się. A jeżeli ojciec żyje — przychodzi jej nagle do głowy — wędruje po świecie i natknął się niespodzianie na jej siedzibę, a ona go nie wpuściła... O, Boże... nie daj, żeby tak było, czyż więc nie wpuściła swego ojca? Ależ — męczy ją ta myśl — mogło tak być. Szedł, jak idą biedni ludzie, szedł, wszystko jedno mu było, żyć będzie czy umrze. Któż się tak tuła — tylko Cygan! Zbłądził, zmarł i dobił się do ciepłej chaty. Prosił, błagał... O-o-o! Mawro, może nie wpuściłaś własnego ojca, i tak masz dosyć grzechów na sumieniu. Zawiniłaś! A jak z sobą walczyła, jak coś unosiło jej ręce, błagało, żeby otworzyła drzwi — ale strach przed śmiercią nie pozwolił! Nie była w stanie, bała się.

Nasłuchiwała potem drżąc całym ciałem, czy nie wróci. Nic więcej nie usłyszała. Cisza, nic, tylko cisza. Przez jednostajny poszum drzew dolatywało głucho, przeciągłe wycie głodnego wilka. I nic więcej. Ogień w piecu ledwie się już palił, migotał w ciemnej chacie, zapanowała grobowa cisza.

Mawra nie opuszczała swego miejsca pod progiem, wciąż jeszcze bała się czegoś i nie ruszała się. Wzburzona po przebytych strachu, wstrząśnięta myślą o ojcu męczyła się do rana.

Wczesnym rankiem, ledwie rozwidniło się w lesie, wstała i wyszła z chaty. Przed drzwiami i pod oknem znaczyły się w nawianym wokół chaty śniegu duże, głębokie, niespokojne ślady ludzkich nóg biegnące potem w stronę sąsiedniej wsi.

Mawra wróciła do chaty. Nie mogła wyzbyć się uczucia, że popełniła coś bardzo złego nie otwierając drzwi. Teraz, w dzień, powiedziała sobie, że głos, którego tak się przelękała, który przypominał jej głos ojca, nie mógł być głosem umarłego, był głosem żywego człowieka. Teraz już wiedziała. Duże ślady ludzkich nóg, które mówiły o niepokoju i rozpaczach, widać było tu, koło jej chaty. Nie otworzyła biedakowi, więc odszedł w las, poszedł może nawet na spotkanie wilków.

Wróciwszy do chaty znowu rozpałała ogień. Co robić? Zaczęła wróżyć z ziaren kukurydzy. Dobro czy zło zawitało do niej nocą? Nic nie wywróżyła. Nie do pary sypało się ziarno. Mieszała je wiele razy, rzucała i wciąż — nie do pary, wciąż nieparzyste liczby... Zadumała się Mawra. Czuła wyraźnie, że źle zrobiła nie wpuszczenia człowieka do izby, że wyniknie z tego nieszczęście...

W każdą pogodną niedzielę, wystroiwszy się odświętnie idzie Tetiana do swojej starej przyjaciółki Mawry na Czabanycię.

Tak samo tej niedzieli. Zerwała z kwietnika dwa duże, czerwone maki i wetknęła je we włosy; pięknie wyglądała z tymi kwiatami po obu stronach twarzy, w złotych kolczykach, które dostała kiedyś od Mawry. Poszła.

Stanąwszy wreszcie przed chatą Mawry, zobaczyła, że drzwi są z zewnątrz starannie zamknięte, więc domyśliła się, iż Mawra bądź poszła do sąsiedniej wsi, bądź szukała w lesie, jak to się często zdarzało, leczniczych ziół. Nie sposób było czekać na jej powrót, bo wychodziła często na cały dzień.

Tetiana poszła dalej Białą Ścieżką w nadziei, że może spotka gdzieś po drodze starą. Idąc koło pastwiska swojej matki przyglądała się z przyjemnością, jak w dole głębokiego jaru toczy się wesoły potok ożywiając całą milczącą dolinę i niby srebrną ścieżką oddziela Czabanycię od sąsiedniej, stromej, pokrytej lasem, góry.

Jak już wiadomo, po prawej stronie był przepaścisty jar z szumiącym strumieniem, a po lewej Czabanycia opasana Białą Ścieżką, która to się rozszerza tu i ówdzie, że może iść po niej obok siebie dwoje-troje ludzi, to znów się zwęża i wije jak żmija, jak właśnie tutaj, nad jarem.

Tetiana chętnie się tu przechadza. Tak pięknie odzywa się echo po tej stronie Czabanyci: zawołasz i głos odpowiada jak z ludzkiej piersi. Czasem, zresztą bardzo rzadko, przychodzą tu znajomi jej i matki. Pewnie, że zupełnie obcym przychodzić nie wolno. Tetiana zna tu każde drzewo i wszystkie kwiaty, wie, gdzie rośnie najbujniejsza trawa, w których miejscach najwięcej bywa poziomek i malin, jaka jest najkrót-

sza droga do Białego Kamienia, skąd widać sąsiednie wsie jak na dłoni i jak się do nich najszybciej dostać. Wszystko tu zna. Zeszła właśnie ze szczytu Czabanyci, gdzie rozglądała się na wszystkie strony, niezbyt się śpieszy, ale wtem kazał jej przyspieszyć kroku głośny tętent kopyt końskich. Zdziwiona wyszła spośród świerków na ścieżkę, ciekawa, kto właściwie jedzie tędy na koniu. Przystanąła. Po Białej Ścieżce jechał stępa w jej stronę Hryć z Tretiwki na czarnym niby węgiel koniu z długą grzywą. Ujrawszy dziewczynę z dużymi, czerwonymi makami we włosach, która wyszła z lasu i patrzy na niego z takim samym zdziwieniem jak on na nią, zatrzymał konia i przez chwilę oboje przyglądali się sobie w milczeniu.

Pierwszy ocknął się Hryć i przywitał się zdejmując kapelusz. Tetiana odpowiedziała nie ruszając się z miejsca i wciąż patrzyła na niego swoimi lśniącymi oczami, nad którymi brwi uniosły się wysoko ze zdziwienia.

— Idziesz dalej w tę stronę? — zapytał Hryć i zeskoczył z konia nie wiedząc nawet, dlaczego to robi.

— Nie — odpowiedziała Tetiana spokojnie i obojętnie, po czym dodała. — Wymiń mnie.

— Wyminąć cię? — zapytał Hryć obrzucając ją spojrzeniem pełnym podziwu i jakiegoś niemego szacunku.

— Tak. Wymiń mnie. Nie pójdę ani przed siebie, ani z powrotem. Muszę tu czekać.

— Dlaczego musisz tu czekać?

— Bo tak.

— Czekasz na kogoś? — pytał chłopiec.

— Dzisiaj już chyba nie. Pójdę później do domu.

— A zawsze tu czekasz?

— Gdzie tam! — zachnęła się Tetiana. — Dziś

się tak złożyło. Miałam się spotkać z pewną kobietą i nie spotkałam się.

— Zamiast z kobietą spotkałaś się ze mną — lekko uśmiechnął się Hryć nie odrywając ani na chwilę wzroku od czarnych łuków brwi.

— Wyimiń mnie! — znowu powiedziała spokojnie dziewczyna i w jej głosie zadźwięczała jakby ukryta prośba. — Obejdz mnie.

— A po co?

— Bo tak.

— Nie chcesz mi zejść z drogi? — zapytał Hryć pokornie.

— Nie wiem. Może dlatego, ale nie warto — dodała lekceważąco i zeszła z drogi.

— Ktoś ty? — zapytał Hryć; zuważył już teraz jej złote kolczyki, które kołysały się w uszach za każdym ruchem głowy i połyskując złotem dodawały blasku jej piękności.

Nie odpowiedziała od razu, uniósłszy wysoko brwi patrzyła na niego chyba z dumą.

— Z której jesteś wsi? — dopytuje się Hryć podchodząc do niej bliżej, gdyż widzi, że dziewczyna zamierza odejść.

— Stój! — prosi i chwyta ją za rękę.

— Czego chcesz? — pyta Tetiana niecierpliwie.

— Powiedz, jak się nazywasz!

— *Turczynka* jestem — odpowiada Tetiana i wpija się spojrzeniem w jego piękne, modre jak niebo oczy, które trochę ją onieśmielają.

— *Turczynka*? — powtarza Hryć zdumiony, bo nigdy nie słyszał o żadnej *Turczynce*.

— *Turczynka* — najspokojniej odpowiada Tetiana i odwraca się, by uniknąć jego badawczego, ciekawego spojrzenia.

— Poczekaj, piękna Turczynko — mówi chłopiec i jakby posłuszny wewnętrznemu głosowi obejmuje ramieniem jej szyję. Tetiana wyślizguje się z jego objęcia i znowu unosi brwi.

— Nie znasz mnie, a obejmujesz — mówi sucho i odsuwa go spokojnie, lecz stanowczo. — Myślisz, że jestem dla każdego? Nie, nie jestem. Powiadam ci, że nie dla każdego.

Hryć spowaźniał.

— Widzę, że jesteś ładna jak rusałka, a lubię ładne dziewczęta.

— Niewielka to sztuka.

— A ciebie bym pokochał.

— Spróbuj. Powiedziałam — myślisz, że jestem dla każdego. Nie jestem.

— Ale może dla mnie — mówi z pokorą Hryć i kłania się jej nagle nisko, do kolan, trzymając kapelusz w obu rękach.

— Więc kochaj mnie! — wciąż tak samo spokojnie odpowiada Tetiana i spojrzawszy na niego błyszczącymi, niespokojnymi w tej chwili oczami, idzie kilka kroków naprzód.

— Idziesz przecież dalej — odezwał się znowu chłopiec.

— A czemu by nie? Na jednym miejscu nikt długo nie stoi.

Hryć odprowadza ją w milczeniu, patrzy na dziewczynę niemal dorównującą mu wzrostem i po chwili pyta:

— Twoi rodzice są Turkami?

— Nie — odpowiada Tetiana.

— A gdzie jest wasza chata?

— Gdzie mieszkam? — zapytała. — Widzisz, że jestem w lesie, a zresztą... — urwała i zatoczyła ręką szeroki łuk.

— Gdzieś tu w lesie? — pyta Hryć nie rozumiawszy tego ruchu.

— Nie — odpowiada dziewczyna i wybucha nagle takim serdecznym, porywającym śmiechem, jakiego Hryć chyba nigdy dotąd nie słyszał. Jednocześnie obudziła się w nim nagle jego wrodzona obraźliwość, poczuł się dotknięty.

— Czego się śmiejesz?

— Boś głupi!...

Chłopiec zaczerwienił się, przystanął.

— Ty-y! — pogroził ręką, oczy mu się zaiskrzyły.
— Uważaj, niebogo, co mówisz, nie jestem głupi, jak ci się zdaje.

Dumnie unosi Tetiana głowę, ściera czarne brwi, mierzy go spojrzeniem od stóp do głów i mówi lekceważąco, z naciskiem:

— Wielkie mi rzeczy!

Oburzył się chłopiec.

— Ty! — mówi z wyraźną pogroźką w głosie i groźnym błyskiem w oczach. — Powtórz to raz jeszcze i zaraz zobaczysz, jaki jestem głupi!

— Wielkie mi rzeczy! — powtarza Tetiana i podchodzi do niego tuż blisko.

Z płonącymi oczami Hryć podnosi rękę, a Tetiana przysuwa twarz do jego twarzy. Oczy ma figlarnie przymrużone, usta się uśmiechają.

— Głupiec — mówi figlarnie — głupiec jesteś, a ja Turczynka!

Hryć osłupiał.

— Diablica! — mówi, a wzburzenie wzbiera w nim gorącą falą. — Diablico! Bądź nawet Turkiem, ale kiedy wpadniesz mi w ręce, żywa nie wyjdiesz. Wiesz, kim jestem? Hryć jestem znad węgierskiej granicy, syn bogacza!

— Wielkie mi rzeczy! — mówi Tetiana i znowu

mierzy go wzrokiem od stóp do głów, unosi brwi, pręży swoją wysoką, smukłą postać.

Hryć splunął. Urażony do żywego nie widzi, że na jej ustach igra swawolny uśmiech.

— Taka jesteś odważna, że nikogo się nie boisz?

— Kogo mam się bać?

— Takich jak ja się nie boisz?

— Nie boję się.

— Więc patrz, co tacy jak ja potrafią. — Hryć wskazał na swego pięknego konia. — Patrz! — powtórzył.

Odwrócił się, chwycił konia za przednie nogi, podniósł w górę jak małego psa i trzymał go tak dobrą chwilę.

— Widzisz, jaki jestem silny? — zapytał.

— Widzę. Ale co mnie to obchodzi?

— Wszyscy we wsi wiedzą, jaką mam siłę, wszyscy się mnie boją. A ja się nie boję.

— Nie pytam cię o to — odpowiedziała Tetiana i pewnym krokiem, z dumnie podniesioną głową przeszła koło niego i konia.

— Jestem synem bogacza... — z dumą dodał Hryć.

— A ja Turczynką...

— Mój ojciec ma pastwiska i stado koni, setki owiec, najwięcej rogatego bydła i wszelkiego innego dobra! — niemal wyśpiewał Hryć i gwizdnął.

— Alboż cię pytam? — rzekła znowu dziewczyna.

— Jesteś jakaś... diabli cię wiedzą! — rozżłościł się.

— Moja matka jest bogata — mówi Tetiana — ma najpiękniejsze tu pastwiska, na Czabanyci, konie, owce, bydło, młyn, płótna, sama nie wiem, ile... A ja, *synu bogacza z węgierskiej granicy*, ja jestem Turczynką. Wiesz?

Hryć znowu gwizdnął.

— Chodzi po lesie, czeka na kogoś, sama nie wie

na kogo, jak głupia — powiedział pogardliwie i urwał nagle.

— I spotyka głupców — spokojnie dokończyła dziewczyna znowu unosząc brwi w górę i patrząc mu prosto w oczy.

Roześmiał się.

— Patrzcie, jaka to nakarmiona tureckim rozumem! — powiedział.

— Taka, jaka się urodziła i jaką widzisz. Prosiłam cię, wymiń mnie. Czegoś mnie zaczepił. Nie jestem dla pierwszego lepszego.

— A jeżeli zbiję cię tu na miejscu? — zapytał Hryć spojrzawszy badawczo w jej białą, taką piękną twarz.

— Jeszcze mnie nikt w życiu nie bił — odpowiedziała dziewczyna zasmuciwszy się nagle. — Byłbyś pierwszy i zarazem ostatni, co by to zrobił. Może spróbujesz? Bij! Będziesz się mógł potem chwalić jak swoim koniem.

Hryć zdaje się nie słyszeć jej słów, podkręca wąsa i patrzy na nią z ukosa. Tetiana też na niego patrzy, ale bardzo spokojnie, bez najmniejszego wzburzenia. Patrzy w zadumie. Upływa dłuższa chwila, ale żadne z nich nie zdradza się ani słowem, że coś w sobie kryje, że coś pojawiło się między nimi i zamyka im usta. Tetiana posmutniała po utarczce, Hryć jest wzburzony.

Wtem dziewczyna mówi:

— Idź z Bogiem swoją drogą, spóźnię się przez ciebie.

Hryć przystaje, patrzy na nią swoimi dużymi, jasnymi jak niebo oczami. Patrzy i chciałby coś jeszcze powiedzieć, ale boi się jej. Jest taka ładna i jakaś *taka*. Zmieszał się Hryć. Nigdy nie spotkał dotąd *takiej* dziewczyny. Skąd się nagle wzięła? Boże!

Odważył się wreszcie.

— Nikogo nie kochasz? — pyta nieśmiało.

— Nikogo nie kocham — spokojnie odpowiada dziewczyna i wciąż patrzy mu prosto i otwarcie w oczy, trochę zdziwiona jego pytaniem. Po chwili dodaje: — A ty kogoś kochasz?

— Ja też nikogo nie kocham — odpowiada Hryć i, jakby udzieliła mu się nagle jej szczerość, odpowiada jej takim samym otwartym spojrzeniem, tak samo patrzy jej prosto w oczy.

— Jak tam chcesz — mówi Tetiana i z powagą w głosie powtarza: — Idź z Bogiem swoją drogą, tylko spóźnię się przez ciebie.

Chłopiec posmutniał, zaboląły go jej ostatnie słowa.

— Czego tak ci się śpieszy?

— A po co tu z tobą wystawać?

Hryć ścisnął zęby, ale wciąż jeszcze stał.

— Jakże ci w końcu ną imię? — nie może się powstrzymać, żeby jeszcze raz nie zapytać.

— Już ci powiedziałam. Nie domyślasz się?

— Nic nie powiedziałaś i niczego się nie domyślam.

— Turczynka! — mówiąc to odwraca się od niego, pochyla, podnosi lejce jego czarnego konia, które mu wypadły z rąk i na które koń nastąpił, podnosi i wprawnie zarzuca koniowi na grzywę. — Pilnuj lepiej swego konia — mówi. Nie dodawszy więcej ani słowa, odwróciła się, rozchyliła gęste gałęzie świerkowe i znikła mu z oczu.

Hryć stał jak rażony piorunem i patrzył w stronę, gdzie zniknęła. Gdzie się schowała? Dokąd poszła? Pojawiła się jakby na przynętę i zniknęła jak wiatr.

Jego koń schylił głowę do ziemi. Leżał tu duży, czerwony kwiat maku, koń dotknął go wargami. Z gniewem, niemal z zazdrością Hryć szarpnął go za głowę, podniósł kwiat z ziemi, obejrzał, zatknął za kapelusz i odjechał.

Na drugą niedzielę Tetiana w zadumie spleta swe jedwabiste włosy, wpina w nie znowu czerwone maki i idzie do Mawry. Idzie zadumana, smutna. Hryć stoi jej przed oczami. W ogóle Tetiana o niczym innym nie myśli, tylko o nim. Nie rozpamiętuje, o czym rozmawiali, co Hryć mówił, tylko wciąż widzi go przed oczami.

Idąc rozgląda się lękliwie po lesie, jakkolwiek wie, że po raz drugi nie spotka go na tej ścieżce. Ścieżka należała do jej matki, ludzie bardzo rzadko po niej chodzili i to dobrzy znajomi, którzy mieli na to pozwolenie. Więc Tetiana jest prawie pewna, że go nie spotka.

Idzie teraz do Mawry. Dzień taki cichy, spokojny. Świerki wygrzewają się w letnim słońcu i drzemią, zda się, rozleniwione.

Może Mawra będzie dzisiaj w domu. Niech będzie koniecznie. Tetiana chce pogadać z Mawrą, jakkolwiek o swoim spotkaniu w lesie nie powie jej za nic na świecie. A potem już nie prędko przyjdzie do Mawry. Matka jakoś chyba patrzy niechętnie, że córka wybiera się do starej co niedziela. Zabraniać jej nie zabrania, ale Tetiana dobrze rozumie swoją matkę bez słów. Dotarłszy wreszcie do koleby, Tetiana rozgląda się. Chatka jest zamknięta.

Tetiana zastanawia się chwilę, a potem woła dźwięcznym głosem:

— Jesteś w domu?

— Hej-hej... — odpowiada przeciągłym wołaniem głos Mawry i Tetiana idzie w tę stronę, skąd doleciał.

O jakieś cztery kroki od chaty, na skraju przepaścistego jaru stara Cyganka leży na ziemi, podpira się ręką i pyka swoją fajkę...

— Czemuś się tu schowała, Mawro — woła Tetia-

na — wygrzewasz się w słońcu jak jaszczurka, a chatę zamknęłaś jak przed rozbójnikami? — pyta dziewczyna, ale prawdę mówiąc jakoś jej markotno stanąć przed starą Cyganką, która swoimi czarnymi, błyszczącymi oczami potrafi chyba duszę wyłuskać z człowieka.

Mawra nie drgnęła nawet, nie zmieniła pozy, zdaje się nie zwracać uwagi na słowa dziewczyny, patrzy na nią błyszczącymi, wprost diabelskimi oczami i też pyta:

— Dla kogo, serduszko, stroisz się co niedziela w czerwone kwiaty? Rzeczywiście dla starej Mawry, he?... A jakaś ładna i strojna, jak wielka pani. Ech-che-che!

Płoni się Tetiana pod jej wzrokiem, odpowiada jednak z czystym sumieniem:

— Dla siebie, Mawro. Bo dla kogóż? Dziś niedziela. Ale wstań. Usiądźmy tam pod świerkiem, w cieniu, bo nie mogę już dłużej prażyć się na słońcu, spościłam się idąc pod górę i nie chcę teraz siedzieć w upale. I dlaczego się położyłaś nad samą przepaścią? Nie boisz się, że zaśniesz kiedyś i stoczysz się w dół?

Cyganka odsłoniła białe zęby w uśmiechu.

— Nie boję się. Nie zasnę i nie stoczę się. Chyba że jastrząb spod niebieskiego nieba rzuci się na Mawrę i uniesie ją w górę. Ale tego też się nie boję, bo przekona się jastrząb, że Mawra jest stara, i czym prędzej wypuści ją ze swoich szponów, więc nie mam się czego bać, może tylko rzeczywiście tej przepaści. A jeżeli chcesz wiedzieć, czemu się tu chowam i już w południe zamykam chatę jak przed rozbójnikami, to powiem ci, że rzeczywiście boję się rozbójników: dzisiaj wcześniutko, kiedy jeszcze spałam, przekłęci pastuchowie zmówili się i jak te diabły rzucili się na moją chatę z wrzaskiem: „Mawro, Tatarzy idą! Da-

waj pieniądze, Mawro, Tatarzy idą!” Walili ze wszystkich sił w drzwi i okna, a potem się roześmiali i pociękali. Tfu! — splunęła. — Biesy, durnie, a tak dobrze spałam...

Tetiana roześmiała się wyobraziwszy sobie, jak mali pastuchowie udawali Tatarów i jak za nimi uganiała się kudłata Mawra.

Usiadły wreszcie obie w cieniu świerka. Mawra zasypuje Tetianę pytaniami o zdrowie Iwanychy Dubychy, o jej gospodarstwo, ale dziewczyna odpowiada jakoś w roztargnieniu, wsłuchując się podświadomie w szum potoku w jarze, przygląda się z góry, jak połyskuje tam w dole na słońcu, jak opłukuje przejrzystą, srebrną wodą białe kamienie, jak stroma, porośnięta gęstym lasem ściana przeciwległej góry za jarem wchłania snopy promieni zachodzącego słońca, co padały ukośnie z góry w zieloną gęstwinę równych świerków i jakby ją przebijały...

— Patrz, rzeczywiście jastrząb, Mawro! — przerywa nagle dziewczyna gadaninę Mawry i wskazuje na dużego sępa, co krążył nad nimi nawet niezbyt wysoko i szukał odpowiedniego dla siebie miejsca między koronami świerków...

Mawra zerknęła na czyste niebo.

— Nad tobą krąży, córko — mówi głosem wieszczki. — Dzisiaj niedziela, uważaj, żebyś od dziś za tydzień nie wpadła w oko jakiemuś drapieżnemu chłopakowi i nie zadurzyła się w nim na amen — mówi i znowu odsłania białe zęby.

Tetiana splonęła rumieńcem.

— Na tańce rzadko kiedy chodzę, Mawro. Wiesz, mama mnie nigdzie nie puszcza, kiedy nie może sama ze mną pójść. W naszym domu — jak w klasztorze. Cicho, same tylko święte obrazy i my.

— I tak przyjdzie ten dzień, kiedy się wydasz za

mąż — odpowiada Mawra — więc po co masz chodzić? Niech te chodzą, co nic nie mają i szukają szczęścia na tańcach. Do takich jak ty ludzie sami przychodzą do domu. Twoja mama dobrze wie, co i jak robić. Drugiej Iwanychy Dubychy we wsi nie ma. Do takich jak ty, dziecinko, nieszczęście nie zawita, bieda cię nie znajdzie. Tej jesieni spodziewaj się swatów. Mówiła mi matka, że znowu jacyś tam się z nią umawiali.

Tetiana milczy. Słyszała to już kilka razy z ust Mawry, ale nic ją to nie obchodzi, czy przyjdą swatowie czy nie, więc nie odpowiada starej przyjaciółce.

— A powiedz mi prawdę — dopytuje się stara — nie spodobał ci się żaden? Nie kochasz?

— Nie, Mawro — sucho odpowiada Tetiana i mówi prawdę.

Rzeczywiście nikogo nie kocha. Nie kocha i nie chce żadnego z tych, których zna od dawna.

— Tyle twego spokoju i szczęścia, póki żadnego nie kochasz, córeczko — podchwytuje Mawra. — Bo jak się zakochasz, to jakbyś i w raj u siebie znalazła, i jednocześnie w piekle.

— Nie wiem — mówi cicho Tetiana, szeroko otwierając oczy, unosząc brwi patrzy przed siebie ciekawie, ale nic nie widzi. Góra po tamtej stronie jest wciąż tak samo cała porośnięta świerkami, poprzębiana ukośnymi promieniami słońca i wygląda wciąż tak samo. I nic tu nie ma więcej.

— Nie wiesz, serduszko — zgadza się Mawra — pewnie, że nie wiesz. Za to ja wiem — uśmiecha się jakoś zagadkowo.

A Tetiana patrzy na nią swoimi czystymi, świetlistymi oczami i gotowa jest cała w słuch się zamienić czekając, co jej powie stara niania.

— W miłości jest tak — odzywa się nagle Mawra;

siedząc z podwiniętymi nogami prostuje się i po chwili nachyla się do Tetiany, jakby zamierzała jej zdradzić wielką tajemnicę.

— Tak — mówi — spotkasz się z nim raz, drugi i trzeci, może więcej, nie wiem. Co komu sądzone. Potem poczujesz go raz niespodzianie przy sobie, zbliża się do ciebie i oto już cię pocałował. Raz, drugi, trzeci. On kocha cię, Tetiano, ty jego kochasz i czemu masz mu nie wierzyć, skoro cię kocha? — I Mawra wybuchła nagle takim strasznym śmiechem, że dziewczynie ciarki chodzą po skórze.

Tetiana zbladła, nie zrozumiała starej.

— Ale może być także tak, że cię po wszystkim porzuci — ciągnie Cyganka mrużąc oczy — bo ma już inną, a może miał nawet dwie przed tobą — przecież...

— O-o-o! — wyrwał się nagle dziewczynie bolesny jęk, Tetiana zacisnęła usta, ciężko oddycha. Patrzy na starą błagalnie, składa ręce jak do modlitwy, cała drętwieje, ust nie może otworzyć.

— Nie spodziewaj się litości, córko! — rozkazująco, twardo mówi Mawra. — Nie ma na świecie miłosierdzia, nie zna go nikt, a tym bardziej ci, co tak postępują. A po co ci ono zresztą? Na nic się nie zda. Chyba wtedy się przydaje, kiedy po wszystkim chodzisz od chaty do chaty i zebrzesz. A w ogóle — miłosierdzie! Boże, uchwaj nas przed tym, żeby było nam potrzebne. Tak, córko. Przeżyła Mawra taką miłość. Mężem jej był przywódca Cyganów i zbójców Łukacz Radu, zły jak wilk, chytry jak lis i piękny jak bojar. Pewnego razu na puszczie niedaleko niewielkiego miasteczka węgierskiego tańczyła przed takimi jakimiś, co przyjechali umyślnie na pusztę, żeby zobaczyć cygański obóz i Cyganów. Zarobiła pieniądze.

— Tańczyłaś, Mawro? — dziwi się Tetiana, która słyszy o tym po raz pierwszy od starej kobiety.

— Tańczyłam, córko. Jeszcze jak tańczyłam, zawsze wokół ogniska, zwłaszcza, kiedy przychodzili do nas panowie i rozpytywali się o nasze życie i zwyczaje. Tato grał na skrzypcach, drugi grajek na cymbałach, a ja tańczyłam. Boże, jak grał stary Andronati! — i Mawra aż pokręciła głową z podziwu. — A potem poprosił jeden z panów, młody, ładny bojar, żebym przychodziła do miasteczka wróżyć i tańczyć, więc chodziłam tam kilka razy, czasem z ojcem, czasem z mężem. Spotkałam tam tego ładnego młodego bojara po raz drugi. Sypnął Radu dukaty za mój taniec, mnie za wróżbę, a Radu był łasy na pieniądze i zaczął mnie raz po raz posyłać na ten zarobek. Kiedy szłam z nim, tańczyłam, a kiedy sama, tylko wróżyłam. I chociaż nie zawsze chciałam, ze strachu przed nim musiałam chodzić. Spotkałam się tam z tym pięknym bojarem drugi raz, trzeci, ba, i czwarty, póki nie zaczął ukradkiem całować moich oczu, pieścić mnie i nazywać swoją czarną gwiazdą... Aż wreszcie oszalała Mawra z miłości do niego... Córko — spojrzała nagle Mawra na bladą teraz jak śnieg dziewczynę i głos jej zabrzmiał ostrzegawczo — byłam młoda, ładna i głupia, a on — bogacz, piękny jak miesiąc na niebie, na koniu pędził jak wiatr — czemuż nie miałam go kochać, kiedy, chociaż wielkim był panem, nie wahał się tulić do siebie biednej Cyganki, nazywać jej swoją gwiazdą, całować i pieścić?... Córko, kto poznał taką miłość, prawdziwą, szczerą, gorącą, taką, jaką poznała Mawra przy nim, ten... Boże, zlituj się nad biedną kobietą, co mimo wszystko zgrzeszyła na świecie — jęknęła Mawra i padłszy plackiem na ziemię, umilkła.

— Potem — dodała po chwili, opanowawszy wzburzenie — potem, kiedy płakałam i skarżyłam się przed nim, drżąc ze strachu przed tym, co się stanie, a jeszcze bardziej przed karą, którą Radu musiał mi wy-

mierzyć, bo przecież zgrzeszyłam, wzruszył ramionami i rzucił mi w twarz, że sama jestem winna. Gwizdnął nagle jak na psa i wyszedł z domu... Choć ja jestem biedną Cyganką, córko — ciągnęła stara — Cyganką, jaką czasem szcują ludzie psami, a on był dumnym panem, co całował mnie i pieścił, chociaż wiele zapomniałam ze wszystkiego, co potem na mnie spadło, ale tego gwizdu, co go na końcu usłyszałam w nagrodę za miłość, nigdy nie zapomnę. Nigdy!... Przeklełam go. Ale co z tego? — zapytała z goryczą. — On pozostał panem, a ja... złamane mam życie... po dziś dzień. Córeczko moja śliczna — nadal przestrzegała Mawra dziewczynę — córko moja przepiękna, strzeż się miłości! Powtarzam ci to jeszcze raz. Myślisz, że spotkała go kara? — patrzy i wprost przeszywa dziewczynę swoimi diabelskimi oczami. — Na niego kara nie spadła, tylko na mnie jedną. Z powodu mego dziecka. Radu z Cyganami wyrzucili mnie z gromady, dziecko zabili czy ukradli, rodzice mnie opuścili i znalazłam się sama w waszym lesie jak postrzelone zwierzę. To święte drzewo — dodała patrząc nabożnie na świerk — ocaliło mnie od śmierci, sprowadziło twoją matkę i po dziś dzień utrzymuje mnie przy życiu. Gdyby nie to, po Mawrze dawno już nie byłoby śladu.

— Do tego oto doprowadza miłość, dziecinko — podjęła Cyganka swoją pierwszą myśl — do tego. Taka jest miłość! Ale co tu dużo gadać! — dodała niemal z rozpaczą w głosie — co tu gadać! Wszyscy to wiedzą. Wiedziałam również, że trzeba się zła wystrzegać... miałam już Radu za męża, po za tym... — Mawra urwała i spojrzała gdzieś w dal z takim niewypowiedzianym smutkiem w oczach, że Tetianie żal się zrobiło piastunki.

— Kochaj, Tetianko, z całego serca, jeżeli miłość

jest ci przeznaczona — pouczała Cyganka dziewczynę otrząsnąwszy się po chwili ze swoich ciężkich wspomnień — nie kochaj tylko za plecami matki i nie kochaj jednocześnie *dwóch*. Poza tym, wystrzegaj się jednego, córeczko... *jednego!*

— Czego? — ledwie dosłyszalnie zapytała Tetiana i znowu pobladła.

— Strzeż się... wystrzegaj się... — mówiła Cyganka — żebyś nie doczekała się *gwizdu*...

Oczy Tetiany błysnęły nagle takim ogniem, taką dumą, siłą i nieprzystępnością, że Mawra oniemiała. Zwłaszcza, że Tetiana nie mówiąc ani słowa wstała nagle, wyprostowała się, smukła jak sosenka, i powiedziała:

— Nie gwizdnie, Mawro, nie bój się. Na mnie nikt nie gwizdnie. — I unosząc wysoko czarne brwi powtórzyła: — Nie gwizdnie.

— Niechaj Bóg cię przed tym broni — skwapliwie powiedziała Mawra, widząc dziwne wzburzenie dziewczyny. — Niech Bóg cię broni.

— Niechaj broni — powtórzyła Tetiana i zacisnęła usta.

Mawra uśmiechnęła się, uniosła się na kolana, objęła kibić dziewczyny i łagodnie pociągnęła ją z powrotem do siebie.

— Niechaj broni.

Tetiana milczała, jakby jej mowę odjęło. Nie potrafiła wykrztusić więcej ani słowa. Kręciło jej się w głowie. Wspomnienie poprzedniej niedzieli ożyło w jej duszy i tłumila je teraz w sobie niezwykłą mocą swej dumy. Milczała i nie chciała o nim mówić. Lepiej z tą swoją tajemnicą rzucić się tutaj w przepaść, niż zdradzić się bodaj słowem. Nie chciała, nie mogła.

— A taki był piękny, taki okazały jak miesięczek

na niebie — znowu wspomniała swoją przeszłość Mawra. — Pan, co tu gadać! Wysokiego wzrostu, włosy ciemne, oczy błękitne jak niebo, takie piękne i jasne — Boże, jakie jasne! — wąż jak jedwab!

— Mawro! — krzyknęła nagle dziewczyna, jakby wracając z nieba na ziemię. — Mawro! — i od razu umilkła...

Mawra spojrzała na nią z zaciekawieniem, ale Tetiana milczała. Była tylko blada, jej szeroko otwarte oczy błyszczały jak dwie czarne gwiazdy, a czerwone maki we włosach lekko drżały.

— O, twój jastrząb! — wskazała nagle stara na ptaka, co odpocząwszy chwilę na jakimś wierzchołku, wzbił się teraz w górę i poleciał.

— Jest z tamtej strony — odpowiada Tetiana jakoś w roztargnieniu i zadumie, po czym wstaje powoli.

— Z tamtej.

— Pójdę już, Mawro — mówi dziewczyna. — Słońce zaszło. Nim dojdę do domu, ściemni się już.

— Idź i przychodź do Mawry — prosi stara i wstaje również, żeby odprowadzić dziewczynę bodaj kilka kroków. — A na drugi raz — dodaje — już ty mi coś opowiedz i oby ładniejsze było twoje opowiadanie od moich.

Tetiana nic nie odpowiedziała. Niby spłoszona sarna pomknęła ze swoją dziwną tęsknotą i smutkiem w sercu przez las, prędzej, coraz prędzej w dół... aż znalazła się w domu.

Znowu nastąpiła niedziela i znowu idzie Tetiana lasem, jak zwykle spędziwszy godzinkę u Mawry. Rozstała się z matką, która tym razem też się wybrała w jakiejś sprawie do starej, i sama poszła ścieżką dalej.

Nie spotkawszy na niej nikogo, wspięła się na Czabanycię i znalazła się w pobliżu olbrzymiego Białego Kamienia. Odpoczywała tam dość długo rozglądając się po leżących w dolinie wsiach i oto zaczyna powoli schodzić z Czabanyci. Wtem na wiejskiej drodze, po której stary Andronati niósł kiedyś białego wnuka i która prowadziła do Tretiwki przebiegając nie opodal Czabanyci i jej Białej Ścieżki, ujrzała jeźdźca i od razu poznała w nim Hrycia z węgierskiej granicy.

Czyż tylko jej oczy dostrzegły chłopca? Swym młodym i bystrym wzrokiem Hryć zobaczył również dziewczęcą postać, schodzącą z góry w dół szybkim, lekkim krokiem. Popędził konia i pomknął jak ptak.

O, poznaje go Tetiana, lecz boi się z nim spotkać. Chciałaby, ale czegoś się boi. Stara się zejść czym prędzej z góry, żeby pobiec do matki, ale czuje, że jest za późno. Już ją dostrzegł swoim bystrym okiem. Galopuje na swoim koniu i jest już oto na Białej Ścieżce. W dolinie, powyżej ścieżki przywiązuje konia do drzewa i spieszy do niej pod górę.

Co robić? Biec jeszcze prędzej w dół? — pyta jej serce. Schować się gdzieś w lesie?... Nie zdąży. Zresztą las zaczyna się nieco niżej, a Tetiana jest na pastwisku, na którym niedawno skoszono trawę, i Hryć już ją widzi. Spieszy się. Jeszcze sobie pomyśli, że Tetiana się go boi. Nie boi się go właściwie, ale jakoś jej przykro. Nikogo się przecież nie boi. Tak mu raz powiedziała, a co raz powiedziała, od tego nie odstąpi.

Stanąła poniżej Białego Kamienia, założyła ręce za głowę i patrzyła w dół na idącego w jej stronę chłopca.

Spiesz się, idzie w górę wciąż przyśpieszając kroku, a Tetiana stoi jak na rozżarzonych węglach, zła na siebie, że zobaczyła go zbyt późno i nie mogła się już przed nim schować.

— Poczekaj, idę! — woła Hryć i stanie już przed nią lada chwila.

Tetiana nie odzywa się. Powinna się pośpieszyć, tam niżej, u Mawry czeka na nią matka, a jak się teraz uwolni od niego?

Hryć staje w końcu przed nią.

— Turczynka! — zawołał uradowany i oddychając pełną piersią po szybkim marszu pod górę, patrzy na nią rozblęskanymi oczami.

— Turczynka — odpowiada Tetiana i obrzuca go również spojrzeniem, ale jakoś się robi przy tym bieluteńka.

— O, znowu z kwiatami jak wtedy i taka ładna! — mówi Hryć, który sam nie wie, co mówić. Po chwili dodaje: — Nie zrywaj wszystkich maków, bo zabraknie na nasiona.

— Ładnie mi z kwiatami — odpowiada dziewczyna spokojnie i wciąż stoi przed nim bez ruchu.

Chłopiec oniemiał.

Stoi dziewczyna tak wysoko na Czabanyci, samiuteńka na całym tym zboczach i tak spokojnie, jakby była z kamienia. Nie boi się.

Ech, Turczynko, Turczynko, skąd ta twoja siła? — cisną mu się słowa na usta, ale milczy i odzywa się dopiero po chwili.

— Powiedz mi teraz, czyjaś ty córka? — pyta takim tonem, jakby czuł swoją nad nią przewagę.

— Zapytaj jeszcze raz, może nawet powiem.

— Pamiętaj — mówi Hryć z pogroźką w głosie — z Hryciem nie ma żartów.

— Nie wołałam cię — odpowiada dziewczyna. — Idź z powrotem. Ja też idę.

W chłopcu aż kipi, rzuca przez zęby przekleństwo.

— A tyś kto taki? — pyta Tetiana nie spuszczać z niego wzroku.

— Jestem synem bogacza — odpowiada Hryć. — Już ci mówiłem, na całą górę krzyczałem.

— Bo-ga-cza? — przeciąga Tetiana i unosi wysoko brwi.

Syn bogacza jakoś się stropił.

— Bogacza — powtarza skwapliwie i takim już tonem, jakby chciał się przypodobać dziewczynie.

— A ja nie jestem twoją wyrobnicą — odpowiada dumnie Tetiana i spuściwszy wzrok zaczyna schodzić pewnym krokiem w dół.

— Przecież nie mówię, że jesteś wyrobnicą — odpowiada Hryć znowu z jakąś nutą pokory w głosie.

— Więc dlaczego klniesz?

— Bo drwisz sobie ze mnie.

— Nie — mówi Tetiana i nie zatrzymuje się ani na chwilę, idzie nadal miarowym krokiem w dół.

— Zdejm swoje maki i daj mi! — prosi czy też raczej rozkazuje Hryć i staje przed nią w wyzywającej pozie. Tetiana przystanęła i patrzy na niego, znowu unosząc ze zdziwieniem brwi.

— Nie widzisz, że mi w nich ładnie? — pyta. Chłopiec zacisnął zęby.

— Widzę — mruknął.

— A co z nimi zrobisz? Wetkniesz we włosy jak ja?

— Zatknę za kapelusz.

Tetiana uśmiechnęła się nic nie mówiąc.

Koń stojący przy ścieżce zarżał.

— Twój koń cię woła — powiedziała po chwili spokojnie Tetiana. — Idź prędzej. Spiesz się również.

— I koń poczeka, i ty poczekaś! — niemal ze złością, rozkazująco mówi Hryć.

— Koń poczeka, a ja nie, bo czeka na mnie mama — odpowiada Tetiana.

— Poczekaś — w głosie chłopca wyraźnie dźwię-

czy poirytowanie — żebym się napatrzył na te twoje brwi, co ci je diabli nad oczami wymalowali...

— Napatrz się! — mówi Tetiana i staje przed nim pokornie, jak dziecko, wciąż tak samo unosząc brwi. Wtem znowu blednie i dodaje: — Powiedziałam ci, żeś głupi. — I odwraca się, żeby iść dalej.

Hryć zatrzymuje ją znowu, tym razem rzucając jej kapelusz pod nogi.

— Popatrz — mówi — jesteśmy tu tylko my dwoje na całą Czabanycię. Nie straszno ci? — coś niedobrego zadźwięczało w jego głosie.

— Na tym całym zbocz — mówi spokojnie dziewczyna.

— Na tym zbocz — powtarza Hryć wpijając w nią spojrzenie swych płonących oczu.

— Ani krzty — mówi dziewczyna. — Po pierwsze, kiedy ciebie nie było, byłam zupełnie sama. Więc czemu miałabym się bać przy tobie? Mów, co masz do powiedzenia, prędzej — dodaje śpiesznie — tam niżej czeka mama, a z mamą nie ma żartów.

Ochłonął pod wpływem jej słów, jakby go oblała zimną wodą i patrzy na nią z podziwem.

Tetiana też patrzy teraz na niego śmieiej, jego duże, błękitne oczy, w których odbija się, zda się, niebo, wydają się takie pełne dobroci.

— Czemu wciąż tak samo ze mną mówisz? — pyta chłopiec z niemym błaganiem w głosie i niemal z rozpaczą w spojrzeniu.

— Bo tak pytasz. Nie zatrzymuj mnie, bo się śpieszę!

Hryć zaciska pięści.

— A jeżeli nie zechcę cię puścić?

— Powiem po raz dziesiąty, że jesteś głupi, i puścisz mnie!

Wstrząśnięty do głębi jej nieświadomą pewnością

siebie, czując, że dziewczyna zdobywa władzę nad nim, i nie mogąc sobie z tym poradzić, Hryć schodzi jej nagle z drogi i idzie za nią w dół ku ścieżce.

Idą oboje. Milczą. A jednocześnie aż wre w ich duszach. Ona jest blada na twarzy jak biały gołąb, on aż drży, wszystko się w nim burzy.

Znalazłszy się na Białej Ścieżce, bez słowa dosiada konia i nie spojrzawszy nawet na nią, zawraca. Ona również w milczeniu i też nie obdarzywszy go spojrzeniem znika gdzieś w lesie — już jej nie widać.

Długo, długo nie słyhać nic prócz powolnego tętentu końskich kopyt, potem cichnie również ten tętent i słyhać przeciągły i tęskny, proszący głos Hrycia:

— Turczyńko, przyjdiesz?

I zaraz potem jak dźwięk dzwoneczka, jak rozsypa-
ne perły dolatuje do niego wołanie:

— Nie przyjdę!

Lekko drząc, jakby walcząc z ciszą lasu rozbrzmiewa wśród szumu drzew echo i powtarza po raz drugi i ostatni: „ Nie przyjdę!”

*

Po powrocie do domu Hryć chodzi jak struty. Nie je, nie pije, nie śpi, jest trzeźwy, ale nie może się wziąć do żadnej pracy. Nie jest w stanie. Wciąż widzi tamte czarne oczy, czarne brwi i dwa czerwone maki, nic więcej.

Krzyczą na niego tato i mama, ale zdaje się niczego nie słyszeć. Wie, że na to zasłużył, więc nic nie mówi, schodzi im z oczu, a potem idzie na górę do lasu, na szerokie pastwisko, gdzie pasie się bydło i konie. Rzuca się tam na trawę i leży, nie wiadomo nawet jak

długo. Nic go to nie obchodzi. Dokoła panuje cisza i spokój, unoszą się w słonecznym świetle roje owadów, brzęczą dzwonki na szyjach krów, rozchodzi się w powietrzu jednostajny szum świerków — dogadza mu to wszystko, nic mu więcej nie trzeba.

— Rozleniwił się nasz Hryć niemożliwie — skarży się gospodyni mężowi, aż ten huknie niespodziewanie na chłopca. W Hryciu zaczyna od razu wrzeć jego własna, jakby uśpiona dotąd, krew, rozgniewa się na gospodarza.

— Bo co? Na dniówki u was robię? — woła z dumą i oddala się mocnym krokiem, żeby nie doszło do awantury z ojcem, bo trzeba by się znowu nasłuchać, że jest z łaski wychowanym dzieckiem, że odpłaca się niewdzięcznością i jeszcze różnymi innymi rzeczami, od których serce boli i człek lituje się sam nad sobą. Dośiada swego czarnego jak węgiel konia, do którego jest bardziej przywiązany niż do ludzi, i jedzie, gdzie oczy poniosą, na dzień-dwa w góry albo poza nie do małego węgierskiego miasteczka. Wszystko mu jedno gdzie, byle zejść im prędzej z oczu.

— Bóg wie, cośmy za krew wykarmili naszym chlebem i pracą — zastanawia się zmartwiony gospodarz. — Do roboty nie, do gospodarki nie, tylko by próżnował, cudzymi rękoma węgle zagrzebywał i chyba innym rozkazywał! Pańska natura... fiu, fiu, fiu! — pogwizduje gospodarz i w końcu milknie.

A wszyscy go lubią, diabli wiedzą za co, wśród wiejskiej młodzieży rej wodzi, dziewczęta stawiają go na pierwszym miejscu. Taki jest ten jego wychowanek. Ech, Hryciu, Hryciu... przyszły mój następcu, opamiętaj się w porę, żebyś kiedyś nie żałował.

Tak samo jest tym razem. Hryć leży pod lasem, wygrywa na swojej długiej pastuszej fujarce przeciągłe, tęskne melodie, a robota czeka. Zapadła mu w

serce Turczynka. Taka jest piękna, taka dumna... taka... a co za jedna właściwie? Nie spotykał jej dotąd we wsiach wśród innych dziewcząt. Idzie jeszcze Hryć do Nastki, do której tak się przyzwyczaił. Wprawdzie ukrywa przed nią, co się dzieje w jego sercu, dobrze mu przy tej spokojnej i rozważnej dziewczynie, która o nic się nie wypytuje, nie potępia, kocha go tylko. Pieści go Nastia, tuli, on zaś pozwala się pieścić i powie może tylko na odchodnym:

— Dziękuję ci, Nastiu, za twoje 'dobre serce. Jedno moje szczęście, że żyjesz na świecie — kiedyś ci się odwdzięczę...

— No, no — Nastka śmiejąc się grozi mu palcem i dodaje: — Kiedy do innej pošlesz swaty...

Musi się z nią jeszcze raz zobaczyć — Hryć wciąż powtarza to sobie w myślach, jakkolwiek dobrze pamięta, jak doleciały do niego z lasu jej słowa, że nie przyjdzie. A może — myśli — może jeszcze raz przyjdzie. Wtedy tamtym razem, Bóg ją wie, po co przychodziła do lasu ze swoją matką. Może sprowadzi ją tam znowu jakaś przyczyna. Bodaj jeszcze raz. Tylko raz.

Nie, nie ma Hryć zwyczaju długo czekać i martwić się.

W dwa tygodnie później powiada ojcu, że pojedzie „na chwilę” do sąsiedniej wsi obejrzeć chorego konia u swego znajomego i przed wieczorem wróci. Jedź — powiedział ojciec, i Hryć pojechał.

Jedzie dłuższy czas wąską, kamienistą drogą wiejską i widzi nagle Białą Ścieżkę, co opasuje od zachodu Czabanycię i łączy się tu jak niewielki strumień wpadający do rzeki z wiejską drogą. Mądrego ma Hryć konia. Nie kieruje nim, a koń sam już skręca z drogi na Białą Ścieżkę biegnącą w górę nad jar. Wspina się, przyspiesza kroku, zdaje się pysznić swo-

im pięknym jeźdźcem, a potem zwalnia. Pojadą jeszcze jakiś czas i ścieżka zgubi się w lesie.

Jadą, jadą, aż nagle stanęli. Widnieje jeszcze przed nimi Biała Ścieżka.

Dokąd ona prowadzi? — zastanawia się Hryć — i skąd wybiega? Do kogo należy? Nigdy po niej dalej nie jeździł, nie zna jej dobrze. Czy nie do trzeciej wsi licząc od Tretiwki? A może tylko na jakąś halę? A może w tej wsi za Czabanicą mieszka ona? Hej, Turczynko, odezwij się! Mieszkasz tam?

Wszystko jedno. O, po prawej stronie, wysoko na Czabanyci, nad Białą Ścieżką widać ten duży biały głaz, pod którym zobaczył ją po raz ostatni. Może znów tu przyjdzie. Po lewej jest głęboki jar, więc stamtąd nie nadejdzie. Za jarem wznosi się zbocze sąsiedniej góry, więc stamtąd też nie przyjdzie. Dalej Hryć nie jedzie. Chyba nie warto, bo gdyby chciała, już by tu była.

Ścieżka coraz bardziej się zwęża, a poza tym nie ma Hryć czasu. Lepiej już tu na nią czekać. Przywiązuje konia do drzewa i kładzie się koło niego. Jeżeli wyjdzie dziewczyna z lasu na Białą Ścieżkę, żeby potem pójść, może jak wtedy, do Białego Kamienia, zobaczy ją z daleka. Będzie szła w jego stronę, jeżeli nie zejdzie do jaru. Ale po co by? Słowem, tak czy inaczej, dostrzeże ją.

Koń skubie trawę, a Hryć rozciągnął się na ziemi, nad skrajem przepaści, w poprzek ścieżki, twarzą zwrócony do lasu. Musi ją zobaczyć już z daleka, jak będzie schodziła w jego stronę po ścieżce jak po schodach, krok za krokiem... Hej, Turczynko!... Jestem tutaj!

Czeka...

Lasem ciągnie cichy poszum. Ledwie dostrzegalnie kołyszają się rozłożyste świerki. Coś sobie szepczą, a

takie są uroczyste, jakby świętowały... Tam, w dolinie, w przepaści szemrze potok i też coś gaworzy...

Hryć rozgląda się, spojrzenie swych bystrych oczu zapuszcza jak jastrząb w samą głąb lasu. Długo, bardzo długo i cierpliwie wypatruje i nasłuchuje, czy nie dolecą do niego odgłosy kroków, aż wreszcie usłyszał to, na co czekał. Prosto w jego stronę idzie po ścieżce lekko i bezgłośnie... *ona!*

Cicho! — zdają się nakazywać drzewa dokoła i kołyszą się lekko: ona idzie. Rzeczywiście była to ona. Nie patrzy ani w prawo — w przepaść, ani w lewo — na Czabanicę z Białym Kamieniem, ani prosto przed siebie, gdzie rozciągnął się Hryć w poprzek ścieżki jak wąż, patrzy sobie pod nogi i idzie. Pięknie wystrojona, w jedwabnej spódnicy, a kibić giętką ma i cienką jak trzcina. Z obu stron twarzy — duże czerwone maki, błyszczą spod nich złote półksiężyce. Turczynka.

Hryć chętnie by zawołał, ale boi się, żeby od razu nie zniknęła... Tłucze mu się serce w piersiach. Leży bez ruchu... Ale trzeba wreszcie wstać, więc wstaje, zdejmuje kapelusz, kłania się nisko niemal zamiatając kapeluszem ziemię i pokornie schylony idzie w jej stronę.

— Turczynko!

Zobaczyła go prędzej, niż przypuszczał, poznała po koniu, serce jej powiedziało.

— To ty? — pyta i już unosi brwi zdziwiona. Jest taka jak zawsze, Hryć już to odczuł.

— Dzień dobry, Turczynko, jeżeli tak się chcesz nazywać — Hryć prostuje się przed nią. A może bodaj dzisiaj będzie trochę inna.

— Przyszłam zobaczyć się z *tobą* — mówi dziewczyna z prostotą i patrzy mu w oczy, ale jakoś znowu bardzo pobladła.

Hryć kłania się jej jak królowej.

— Nie kłaniaj mi się tyle razy, wystarczy raz. Ludzie tylko mojej mamie tak się kłaniają. Mówią do niej pani.

— A do ciebie?

— Ja jestem Turczynka!

— A dlaczego?

— Widzisz — dziewczyna wskazuje na półksiężyc w uszach — mam tureckie kolczyki.

— A kto cię tak nazwał? — pyta Hryć.

— Ludzie ze wsi. Nie słyszałeś o mnie?

— Nie.

— Nie bywasz w naszej wsi, w B...?

— Byłem kilka razy, ale chodzę zwykle częściej na węgierską stronę. Byłem raz w waszej wsi na święcie, ale ciebie wtedy nie widziałem.

— Niby to pamiętasz? — mówi Tetiana i jakoś się uśmiecha.

— Dlaczego się śmiejesz?

— A czemu by nie?

Hryć się zachnął.

— Uważaj — mówi marszcząc brwi — żeby ludzie nie śmiali się kiedyś z ciebie.

— Ze mnie? Nie — mówi dziewczyna z dumą i pewnością siebie.

— Wielkie mi rzeczy! — powtarza Hryć jej powiedzenie.

Tetiana nie zwraca na to uwagi.

— A ja o tobie chyba słyszałam — odzywa się po chwili — nie widziałam cię tylko i nie wiedziałam, jak się nazywasz.

— Hryć — odpowiada chłopiec.

— Już mi powiedziałaś. Ale wasza wieś jest duża i wielu ludzi tak się nazywa.

— Hryć, Hryć — chłopiec uderzył się w pierś. —

Ten, co go lubią wszystkie dziewczęta, co tańczy, jakby nogami wzory rysował, co najlepiej na całą wieś gra na trembicie... ten Hryć. Tej zimy będę może w waszej wsi — dodaje. — Jeden mój kolega ma tam wujka, co mu kazał przyjść do siebie, bo ma dla niego ładną i dobrą dziewczynę. Uważaj wtedy... — grozi jej palcem i uśmiecha się pod czarnym wąsem — ładnie mu z tym uśmiechem.

Tetiana nic nie mówiąc unosi czarne brwi zdziwiona jego słowami.

— No cóż, będziemy się kochali.

Dziewczyna milczy, odzywa się dopiero po chwili.

— A gwizdziesz sobie na dziewczyny, które przestajesz kochać?

— Bo co — mówi Hryć. — Mam płakać? Po tobie pewnie bym płakał, bo taka jesteś ładna!

Tetiana spojrzała na niego robiąc wielkie oczy, a potem, jakby odruchowo chwyciła czerwone maki, wyciągnęła je nic nie mówiąc zza uszu i opuściła na ziemię.

— A co robią te, które wygwizdałeś? — pyta i badawczo wpatruje się w jego twarz.

— Mam je może uczyć? — odpowiada Hryć. — Mają swój rozum, a ja swój. Mnie nikt nie uczy. Nieukiem jestem.

— Pewnie idą w świat — półgłosem, w zadumie mówi Tetiana.

— Nie martw się o nie — uspokaja ją Hryć i podchodząc do niej blisko, mile zagląda jej w oczy.

— Mnie nie wygwizdziesz — mówi nagle Tetiana twardo, stanowczo i spojrzenie jej tonie w jego oczach.

— Ciebie nie — zapewnia ją Hryć. — Tyś moja zazulka.

— Ty! — mówi nagle posepnie Tetiana i odpycha go rękami opierając dłonie z rozstawionymi palcami

na jego piersiach. — Ty!!! — powtarza. — Wiesz co?

— Wiem — mówi Hryć i oczy mu się śmieją. — Ładna jesteś jak wielka pani i kocham cię!

— Wielkie mi rzeczy! — mówi dziewczyna.

— Wielkie mi rzeczy? — powtarza Hryć ze zdziwieniem, a w jego głosie dźwięczy nuta żalu.

— Ech, Turczynko, Turczynko — dodaje po chwili teraz już tonem pogróżki, przy czym groźnie patrzą także jego oczy — twoje szczęście, żeś taka ładna, bo inaczej...

Dziewczyna podniosła nagle ręce do uszu, zauważyła, że nie ma już maków we włosach.

— O, leżą na ziemi — mówi Hryć, który jakoś nagle spokorniał i stara się zjednać sobie dziewczynę.

— Same wypadły? — mówi jakby do siebie Tetiana nie spuszczać z niego wzroku.

— Taka jesteś ładna — mówi Hryć — że kocham tylko ciebie.

— O...o...o...! — w głosie dziewczyny zadźwięczał ból, pochyliła się, by podnieść swoje maki.

— Nie wierzysz?

— W co mam wierzyć? — Tetiana unosi ze zdziwieniem brwi.

— Że ciebie jedną kocham.

— Mnie?

— Ciebie.

— Jesteś też ładny — mówi Tetiana z prostotą — ale ciężko mi na sercu.

— Czemu? — pyta z całą szczerością Hryć i nagle obejmuje ją za szyję. — Bo mnie wcale nie ciężko.

Tetiana wyslizgnęła się z jego objęć.

— Z tobą mi ciężko.

— Ze mną?

— Tak. Przyszłam ci powiedzieć, że więcej już nie przyjdę.

- Za to ja przyjdę — odpowiada chłopiec.
- Dokąd?
- Wszędzie, gdzie będziesz.
- Wszędzie nie przyjdiesz.
- Przyjdę, jeżeli powiedziałem.
- I do naszego domu?
- I do waszego domu. A gdzie jest wasz dom?
- Koło młyna nad rzeką. Wiesz?
- Do Iwanychy Dubychy? — zdziwił się Hryć.
- Tak. To moja matka.
- Honorowa pani — niemal gwizdnęła Hryć.
- Moja mama jest bogobojna, ludziom dobrze czyni i lubi sprawiedliwość.
- A co z tego? — pyta Hryć.
- Nic. I cicho jest u nas w domu, tylko ona i ja, i święte obrazy. Tak ładnie i przyjemnie...
- Jeszcze cię odda do klasztoru — żartuje Hryć.
- Może, jeżeli zechcę.
- Jak nie przyślę swatów.
- Dziewczyna spłonęła rumieńcem.
- A wyjdiesz za mnie?
- Jak zechcę, to wyjdę.
- Wielkie mi rzeczy? — znowu powtarza jej powiedzenie Hryć.
- Wielkie mi rzeczy! — mówi z dumą Tetiana nie spojrzawszy nawet na Hrycia.
- Wtem dodaje spokojnie:
- Idź sobie!
- Pójdę, kiedy zechcę. Nie możesz mi rozkazywać, mimo żeś córka Dubychy!
- Wolę cię nie widzieć — powiedziała Tetiana patrząc w ziemię, po czym odwraca się i idzie.
- Turczynko! — zawołał Hryć z żalem i błaganem w głosie i w jednej chwili staje przy niej. — Zazulko!

— Chcesz gwizdnąć? — pyta Tetiana i przesywając go badawczym wzrokiem, niemal ostrzega swym spojrzeniem.

— Turczyńko!

— Idź sobie! — prawie błaga dziewczyna. — Smutno mi i ciężko, wolę sto razy nie widzieć cię, Hryciu! Idź, idź sobie, tak mi ciężko... idź!

— Głupia jesteś! — mówi Hryc.

— Myślisz, że nie mówię prawdy? — dziewczyna staje tuż przed nim, na bladej twarzy oczy jej wydają się takie duże, patrzą tak otwarcie. — Więcej na mnie nie czekaj — dodaje — nie przyjdę już.

— Przyjdź, zazulko, przyjdź! — prosi Hryc pokornie i pochyła się nisko. — Przyjdź, zakukaj w lesie, będę tu czekać.

Nawet się nie spostrzegł, kiedy, odwróciwszy się od niego gwałtownie i nie obejrzawszy ani razu, Tetiana rozgarnęła świerkowe gałęzie, frunęła między nimi jak ptaszek i znikła... jakby jej w ogóle nie było.

Jakoś się nie odważył pójść za nią. Przypomniała mu się jej pani matka, nie chciał tej matki niepokoić i został, gdzie stał. Wrócił potem do konia, objął go jak towarzysza za szyję, westchnął, powstał przy nim chwilę, i nie zastanawiając się długo, gwizdnął przeciągle...

Słucha. Leciutki, ledwie dostrzegalny szum niesie się w powietrzu, nakazuje milczenie... Wszystko dookoła milczy i czeka.

— Nie przyjdę! — dolatuje nagle gdzieś z góry drżący, miły głos. I od razu odbite od skalistej ściany po drugiej stronie jaru wróciło słabnące już echo:

Nie przyjdę!

Tetiana przybiega na dół do domu zdyszana, wzburzona, pada przed obrazami na kolana, modli się:

— Boże, tak mi smutno! — skarży się powstrzymując się z trudem od płaczu. — Boże, smutno mi... Czemu mi tak smutno?

Hryć wrócił galopem do domu i idzie prosto do białolicej Nastki. Taką ma chęć przytulić się do kogoś, komuś powiedzieć, że kocha Turczynkę. Że jest taka i siaka... Że boli go serce, że powiedziała to, odpowiedziała tamto — tak wiele, wiele wezbrało w jego piersiach.

Dlatego poszedł.

Nastka czekała.

Zawsze czekała.

Kiedykolwiek Hryć przychodził, zawsze na niego czekała i jednakowo go kochała. Bez zmian, wciąż się cieszyła, że jest.

— Nastuniu, gołąbko! — mówi Hryć zasmucony i zmartwiony i obejmuje ją. — Nastusiu, bardzo jestem zmęczony...

Nastka tuli go i pieści, we wszystkim mu przytakuje, o nic nie pyta. Co Hryć chce, Nastka wykonuje w milczeniu, zawsze jest dobra, zawsze miła.

Teraz siedzą obok siebie i nic nie mówią... Mówi samo ich milczenie. On patrzy w zadumie przed siebie na las i góry i nic nie widzi. Wpatrują się w niego czarne oczy pod uniesionymi, strzelistymi brwiami, płoną przy twarzy czerwone maki, drżą w uszach złote półksiężycy, kwitną miłe usta.

— Turczynko! — jęczy i błaga w milczeniu jego stęsknione, pełne niepokoju serce. — Turczynko! Dlaczego mnie nie kochasz?

— Nie przyjdę! — dźwięczy mu w uszach miły głos i zapada w głąb jego smutnej, spragnionej duszy. Nie przyjdę!

— Pocałuj mnie, Nastko! — mówi nagle twardo, niemal rozkazująco i przyciągnąwszy do siebie pokorną dziewczynę, tuli ją w objęciach. — Pocałuj!...

Pocałowała go.

— ... Tak... — mówi Hryc z zadowoleniem, szybko wstaje i nie spojrzawszy już na nią odchodzi...

Przekwitły czerwone maki, w które stroiła się całe lato Tetiana. Nastaly mroczne dni. Mroczne, krótkie i słotne. A w chacie Iwanychy Dubychy, co stoi między górą i huczącą rzeką, niemal zawsze panuje półmrok. To świerki, co gęstymi rzędami wznoszą się poczawszy od chaty w górę, zasłaniają ją przed słońcem i stąd w niej ten mrok; w izbie, przed obrazem Bogurodzicy pali się, jak to zwykle w domu pobożnej Iwanychy Dubychy, mała, migotliwa lampka.

Smutno teraz i tęskno w te jesienne dni pięknej Tetianie. Matka krząta się przy gospodarstwie lub idzie w swoich sprawach do młyna, niedługo przesiaduje w domu. Tetiana przyozdobiła izby ręcznikami, suszonymi kwiatami i kilimami... Nie wie niekiedy, co robić z czasem, bo tak wiele go ma wolnego. Wprawdzie pomaga matce przy gospodarstwie, krząta się z nią razem, mimo to w pewnych chwilach wydaje się jej, że ma tego czasu zbyt dużo. Do ciężkiej, wykonywanej przez służbę pracy Iwanycha Dubycha nie dopuszcza swej jedynaczki. Tęsknota do Hrycia, ukrywana miłość do niego odbiera dziewczynie spokój ducha i równowagę. Poleciałaby jak ptak do niego na górę, już wołał w lesie i błagał, żeby przyszła bodaj jeszcze raz. Nie poszła jednak. Coś, co było silniejsze od niej, zatrzymywało ją w dolinie, w domu, nie pozwalało wyjść do niego.

Chciała go widzieć i nie szła. Kochała i kryła się

przed nim. Zamknęła swoje serce i jakby na coś czekała. Chyba bała się kochać tak, jak potrafiłaby kochać...

A co, będę płakać? — dźwięczały w jej uszach jego słowa, kiedy przypominała sobie rozmowę z nim, zapamiętała, że dziewczęta, które pokochały, powinny mieć „swój rozum”.

Tak. Miała przecież swój rozum, więc nie wychodziła do niego do lasu. Nie wierzyła mu. Bo jakże zmarnowała swoje życie Mawra, wszyscy ją opuścili. Nie miała nikogo na świecie prócz niej i jej matki. Nie chce takiego życia Tetiana. Lepiej nie kochać, niż gdyby miał ją zapomnieć i wyśmiać, że tak gorąco go pokochała i dusza jej utonęła w jego oczach...

Jakoś jej straszno i ciężko. Tyle się już modliła i wciąż mu nie wierzy. Pokocha, porzuci, wyśmieje i gwizdnie! — ostrzega ją jakiś głos wewnętrzny. Pouchała ją o tym i ostrzegała Mawra, a Mawrze Tetiana wierzy.

— O-o-o!... — na samą myśl o tym wrywał się jęk z jej piersi. Nieznośna to myśl. Dręczy jej duszę, odbiera spokój, pogrąża w smutku, pali jak żywym ogniem. Ona, Tetiana Dubiwna, porzucona i wyśmiana. Ona, taka wychuchana, taka strzeżona i pieszczona przez matkę. Mająca pod dostatkiem wszystkiego, czego by zapragnęła. Ona — opuszczona przez Hrycia, który sobie pogwizduje!... Niby pod niewidzialnym brzemieniem jakiegoś niezrozumiałego dla niej samej strachu ugina się Tetiana, cierpi, serce jej zamiera.

Często tak bywa, często. Dlatego jej zaciśnięte usta dumnie milczą, nie mówią nikomu ani o bólu, ani o raju w duszy. Przyjdzie on sam albo swatowie od niego, Tetiana przemówi i wszystko wypowie. A jeżeli nie, niechaj wszystko w niej zgaśnie.

Ale są również dni, kiedy Tetiana taje jak wiosen-

ny lód. Uśmiecha się do siebie; cieszy się z całego serca. Kocha ją! Piękny, wspaniały, jak ten orzeł. Kocha, usycha z miłości. Hryciu, Hryciu! — woła jej młoda stęskniona dusza, rozpościera swoje białe skrzydła, drży i uśmiecha się w przeczuciu szczęścia. Kiedy przyjdzie on sam? On sam! Na swoim drogim, czarnym jak węgiel koniu. Przyjdzie, pocałuje, stanie przed matką, powie, co należy, co będzie zwiastowało jej szczęście.

Nie śpieszy Tetiana przez las do niego, lecz biegnie do Mawry.

Opowiedzieć? Opowiedzieć? — waha się w duchu. — Opowiedzieć Mawrze? Zdradzić się? Czy raczej milczeć, aż przyjdzie czas...

Nie, lepiej milczeć. Nie zdradzić się ani słówkiem. Raczej będzie czekać i wypatrywać szczęścia, kochać potajemnie, a kiedy nastanie czas i Hryć przyśle swaty, wszystko będzie dobrze. Matka wyda ją za niego. Pokochali się i uda się jej ubłagać matkę, żeby ją wydała za niego.

Więc nie spieszy Tetiana do niego, lecz do Mawry. Nie opowie jej wprawdzie o swojej miłości, ale Mawra wie niejedno, zna się na wszystkim, chodziła po świecie, umie wróżyć, czasem wspomina o miłości... lżej jakoś będzie Tetianie.

Idzie przez las pogrążona w zadumie, skręca w stronę, gdzie stoi chatka Mawry i wchodzi do niej.

— Mawro! — woła z ożywieniem. — Przyszłam do ciebie w gościnę, chociaż dziś nie niedziela, ale u nas w domu tak bywa czasami nudno i smutno, że... aż mnie coś kości, żeby wyjść... bodaj do ciebie! — Mówiąc to tuli się dziewczyna do starej przyjaciółki spragniona, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, pieśszot i miłości — Mawro, widzisz, że tu jestem... więc uściśnij mnie, popieść...

— Jeszcze czego! — odpowiada Mawra, ale pieści swoją córeczkę i tuli.

— Czemuś nie przychodziła? — pyta. — Zapomniałaś już o Mawrze? Pokochałaś jakiegoś chłopca? — Niechaj jej wszystko opowie, wszystko, co leży jej na sercu. Mawra ma tylko ją jedną na całym świecie. I kocha ją nade wszystko. Bo... kogóż jeszcze mogłaby kochać? Kto się troszczy o starą kobietę? Dokoła tylko las, las i góry. Dzisiaj z rana chłopaki znów wrzeszczeli. Przylecieli jak te diabły i znowu rzucili się na chatę: „Tatarzy idą!” — wrzeszczeli. W drzwi walili, a póki zlazła Mawra z pieca, zniknęli. Kogo ma kochać? Kogo pieścić, jeżeli nie ją, zazulkę białutką!

Tetiana śmiała się:

— Znowu cię straszili Tatarami?

— Tak, przylecieli skądciś i nuże bić w drzwi: „Otwieraj, Mawro, bo Tatarzy idą”. Ledwie zdążyła zakląć i pochować zioła, żeby ich nie rozsypali.

— Dużo ziół nazbierałaś latem? — pyta Tetiana i zagląda do kącików, w których stara przyjaciółka chowała wysuszone czarodziejskie zioła.

— Dosyć.

— A, o tam, na piecu, co to za ziele? — z zaciekawieniem zapytała Tetiana. — Jeszcze go u ciebie nie widziałam, jeszczego go nie znam.

— Tamto ziele? — sucho pyta stara.

— Tamto. Od czego jest to ziele, Mawro?

— *Od wszelkiego zła* — tak samo sucho odpowiada stara. — Uzbierałam je pod Białym Kamieniem.

— Ale od jakiego zła, Mawro? — dopytuje się dziewczyna przyglądając się badawczo liściom...

— Tak, *od zła*... — słyszy znowu to samo. — Dasz się napić tego ziele i zmożesz zło. Snem je zmożesz i już go nie będzie. Sprowadza sen... — dodała już

łagodniej. — Nie możesz nocą spać, zgotujesz, wypijesz i żeby nie wiem co, zaśniesz. Pewnie tym samym ziołem napoili mnie wrogowie, kiedy mój los przesądzili i wyrzucili z gromady. Wynieśli mnie we śnie z namiotu i nic nie czułam. Niektórzy z naszych dobrze się znają na ziołach. I jeszcze w razie potrzeby zamawiają. Ech-che, ziele! — dodała i uśmiechnęła się dziwnie. — Mawra też się na nim zna. Tylko dla siebie nie gotuj, córko — ostrzegła dziewczynę — a jeżeli już, to dla najgorszego wroga. A jeszcze trzeba wiedzieć, kiedy je wykopać.

Mówiąc to, tłumacząc, jaką moc ma ziele, Mawra chyba coś jeszcze przemilczała. Tetiana nie wypytywała się zresztą wiele.

— Kiedy się je kopie? — zapytała jedynie.

— Kiedy? — powtarzała Mawra. — Więc posłuchaj, jak i kiedy, tylko nie zapomnij. Po raz drugi nie powiem. Jeżeli dla siebie, to sama jedna, nabrawszy w usta wody. Przed wschodem słońca wodą zalej i gotuj w garnku glinianym, nie trącaj go i nic obok nie stawiaj, słowem się nie odzywaj. To dla siebie. A jeżeli od złego — to inaczej.

Tetiana uśmiechnęła się. Mawra pogroziła jej palcem.

— Nie śmiej się, dziewczyno — dodała z powagą — dobrze zapamiętaj. Może umrę, więc zapamiętaj! Cemu masz nie wiedzieć? Niech ci nie będzie potrzebne, ale dobrze jest wszystko wiedzieć. Wiedz przeto, że od zła... *w niedzielę o świcie wykop, w poniedziałek płucz, we wtorek gotuj, w środę wypij, a wtedy sen całe zło pochłonie!*... — Mawra aż coś zaśpiewała trzaskając palcami. — Ech-che-che! — i wybuchnęła śmiechem.

— Och! — zawołała po chwili żałości. — Gdybym miała to ziele przy sobie wtedy, kiedy mi powiedział,

że sama jestem wszystkiemu winna, i jeszcze gwizdnął w dodatku, nie byłaby teraz Mawra sama jedna w lesie, tylko między swoimi, ze swoim dzieckiem... ech! — dodała z goryczą i urwała.

— A co, Mawro? — pyta Tetiana i oczy jej otwierają się nagle szeroko, patrzą niespokojnie.

— Niechby bodaj spał ze trzy dni, jeżeli już nic innego...

— Mawro! — zachnęła się dziewczyna i gniewnie zmarszczyła czarne brwi. — To grzech, co mówisz!

— Może grzech... — twardo mówi Mawra — ale łamać życie młodej kobiecie, z mężem ją poróżnić — to też był grzech.

— Mawro, a czyś go... *kochała*? — pyta znów Tetiana, jakby chciała podświadomie kogoś obronić i sama nie wie, dlaczego stoi jej przed oczami ten, którego sama kocha, Hryć.

— Kochałam na swoje nieszczęście i biedę. Pewnie, że kochałam. Piękniejszy był niż Radu. Ale co z tego? Teraz nie ma ani jego, ani dziecka, ani Radu, ani rodziców — nikogo. Tetiano, Tetiano — dodaje ze smutkiem — alboż wiesz, córuniu, co znaczy ból w sercu kobiety. Jest nie do zniesienia... Uchowaj, Boże, żebyś zaznała czegoś podobnego. Oszalałabyś — ostrzega Mawra dziewczynę nabijając swoją fajkę.

— Oszalałabym — powtórzyła cicho Tetiana i umilkła, znowu zmarszczywszy brwi. Po chwili staje tuż przed Cyganką i mówi:

— Mawro!

— Co, córuś?

— Dużo wiesz...

— Może nie tak dużo, ale co trzeba, wiem.

— Więc powiedz mi, czy wszyscy są tacy jak *tamten*?

— Jak kto?

— Ten, coś go kochała i co cię zdradził, gwizdnął na ciebie.

Mawra patrzy na dziewczynę jak na małe dziecko mruży oczy i odpowiada:

— Chyba dopiero się urodzi ten, co taki nie będzie.

Tetiana, wprost bliska omdlenia, siada w milczeniu na ławie i o nic już nie pyta.

Nie milczy jednak Mawra.

— Córeczko! — mówi i przygląda się bacznie dziewczynie. — Czemu od pewnego czasu zaniedbujesz starą Mawrę? Hę?

Tetiana ściska zęby.

— Już jej nie kochasz?

— Kocham.

— A nikogo więcej nie pokochałaś? Hę? — pyta Cyganka pykając fajkę i czarnymi oczami przeszywa białą twarz tej jednej jedynej, którą kocha.

Rozszalała się nagle burza w duszy Tetiany, dumnie podniosło głowę coś, co dotąd korzyło się przed starą jak przed nieznaną czarną mocą i teraz zapragnęło wziąć nad nią górę.

— A jeżeli nawet pokochałam? — pyta dziewczyna i nieustraszenie patrzy starej wróżce prosto w oczy.

— Więc nie wierz!

— A jeżeli uwierzę?

— To potem nie żałuj! — w słowach Mawry zadźwięczała niemal groźba.

— Nie pożałuję.

— Swaty już przysyłał? — pyta Mawra i znowu przeszywa dziewczynę spojrzeniem na skroś.

— Dopiero przyśle.

— Ktoś z naszej wsi?

— Nie.

— Z daleka?

— Nie wiem. Nic nie wiem.

— I kochasz go?

— Kocham go.

— Mówisz, że przyśle swaty?

— Przyśle.

— Kiedy?

— Nie wiem.

— Tej jesieni?

— Nie wiem.

— Tetiano! — mówi Mawra z nieudaną surowością i nie na żarty grozi dziewczynie palcem. — Tetiano!

— A co? — nie zgadza się z czymś w głosie Mawry dziewczyna.

— Uważaj, Tetianko!

— Przecież mnie kocha!

— I ty go kochasz?

— I ja go Kocham.

— Nie jest z naszej wsi?

— Nie z naszej.

— A mama o tym wie?

Zachnęła się urażona do żywego Tetiana. Dziewczyna oburza się i buntuje na samą myśl, że ktoś chciałby jej pilnować lub stanąć na przeszkodzie jej miłości do Hrycia. Tupnęła nogą, jak to robiła w dzieciństwie, gdy nie czyniono zadość jej życzeniom, odwróciła się rozgniewana.

— Co cię mama obchodzi! — krzyknęła z irytacją. — Po co ma wiedzieć. Kiedy przyjdą swatowie, wtedy będzie wiedziała. A na razie nie trzeba.

— A jeżeli tej jesieni zechce się z tobą zenić ktoś inny?

— Nie wyjdę — odpowiada dziewczyna stanowczo i z dumą.

— A jeżeli mama każe?

— Nie każe.

— Jeżeli zmusi?

— Mawro! — podbiegła do niej dziewczyna w naj-wyższym wzburzeniu, jakby chciała starą uderzyć, a z jej oczu sypały się iskry. — Mama mnie nie zmusi.

— Nie, nie, córeczko — zaniepokojona wybuchem dziewczyny Mawra stara się ją ułagodzić, jak wtedy, gdy była Tetiana dzieckiem. — Mama cię nie zmusi!

— A ty mi dopomożesz, Mawro! — dodała Tetiana rozkazująco.

— Dopomogę, córeczko, przekonam mamę.

— Póki on nie przyśle swatów, Mawro?

— Póki nie przyśle swatów.

— Gdyby nawet inni przychodzili i mama mnie zmuszała? — pyta Tetiana, dobitnie wymawiając każde słowo, jakby chciała już teraz zapewnić sobie pomoc Mawry.

— Gdyby nawet, dziecinko. Ale nie martw się. Jeszcze czas na zmartwienie.

Tetiana siada tuż przy piecu, w którym tlą węgielki i milczy.

— A jest bodaj z bogatego domu? — znowu pyta po chwili Mawra.

— Z jeszcze jakiego — chełpliwie mówi Tetiana i coś w jej głosie każe starej Mawrze wykluczyć wszelką inną możliwość.

— A ładny?

— ... No-o-o! — ze szczególnym naciskiem przeciągnęła dziewczyna ściągawszy brwi i po chwili dodaje: — Taki pewnie był tylko ten twój, Mawro.

— Uchowaj Boże, żeby był taki sam.

— Mówię ci, że ładny, Mawro.

— Słyszę, córuniu — odpowiada Mawra i potrząsa żałośnie głową. — Dlatego przepadłam — niemal zawodzi z cicha — duszę mu oddałam za jego oczy.

— Za jego oczy... — w rozmarzeniu, w zadumie powtarza Tetiana.

— A jak się nazywa?

Tetiana zawahała się, lekceważąco machnęła ręką i dodała obojętnie:

— Raz go spotkałam...

— Raz? I już pokochałaś?

— Raz i drugi, i trzeci, a na czwarty pokochałam.

— Ukradkiem się spotykałaś?

Tetiana milczy spuściwszy głowę.

— W młynie? — dopytuje się Mawra, wyciąga z dziewczyny jej tajemnicę.

Tetiana wpierv kiwa potakująco głową, ale potem zaprzecza.

— Nie chcę ci powiedzieć prawdy.

— Tetiano! — przestrzega, niemal błaga Mawra. — Powiedz mu, żeby przysłał swaty. I nie wychodź do niego!

— Sam przyśle — stanowczo mówi dziewczyna.

— Daj Boże. I strzeż się, Tetiano! Bo kto lubi, córko, ten czasem gubi — dodaje proroczym głosem.

— Gubi — powtarza ledwie dosłyszalnym szeptem Tetiana i milknie...

Cisza... obie milczą.

Mawra w zadumie pyka fajkę, a Tetiana, jakby znowu toczyła się w niej jakaś walka, milczy dłuższą chwilę; wreszcie podbiega do Mawry, tuli się do niej i błagalnym głosem pyta:

— Mawro, czy naprawdę wszyscy są tacy, jak przedtem powiedziałaś?

Mawra odpowiada, a słowa jej są twarde jak ten kamień, co wpada do wody i już nie wraca:

— Chyba dopiero się urodzi ten, co taki nie będzie.

— Mawro!

— Córeczko moja droga, jeżeli nigdy nie wierzyłaś

Mawrze, to uwierz jej tym razem. Mam cię jedną na świecie...

— Patrzą jego oczy tak szczerze... Kocham go — odpowiada dziewczyna, stara się przełamać nieufność starej piastunki.

— Kochasz, córuś? Kochasz? — ze smutkiem mówi Mawra. — Więc kochaj szczęśliwie... a ja — sama jestem na całą górę na cały las, na całą tę okolice jak długa i szeroka, sama jedna...

Wzburzona wraca Tetiana przez cichy jesienny las; nie, nie pójdzie więcej do Mawry. Przykro jej będzie, kiedy Mawra zacznie znowu mówić o *nich*, a więc także o tym, którego przecież nie zna.

Nie pójdzie. Nieprzyjemnie jej u Mawry. O czymkolwiek mówi Tetiana, Cyganka rzuca na wszystko cień. A Tetiana kocha. Zna Hrycia. On ją również kocha. Wiedzą, co dla nich dobre.

Oczekuje w domu swatów od Hrycia. Niekiedy modli się. Kiedyś wreszcie przyjedzie — mówi jej serce — czarny koń zarzy, Hryć wejdzie do domu. Zdejmie kapelusz, jak to robił nieraz w lesie, ukłoni się pokornie i powie: Przyszedłem, Turczynko! Kocham cię jedną na całym świecie.

Gdziekolwiek Tetiana idzie, cokolwiek robi, wciąż coś śpiewa w jej duszy: Hryć ją pokochał, a ona Hrycia...

*

Dzień po dniu mija jesień, zbliża się zima. Wreszcie nastąpiła, biała, czysta, mroźna. Uginają się sosny pod puszystym śniegiem, który pokrył grubą warstwą

Białą Ścieżkę. Jak okiem sięgnąć, cały las przeobraził się teraz w jakąś białą feerię...

Spod gęstych świerków pokrytych białym śniegiem, tuż nad jarem wije się wąska smużka lekkiego, sinawego dymu z komina Mawry, która znowu spędza w swojej chatce zimę...

Powoli upływa Hryciowi jesień i zima. Początkowo wyczekiwał jeszcze na piękną Turczynkę, lecz przekonawszy się niebawem, że dziewczyna dotrzymuje słowa i że zgodnie z zapowiedzią nie przychodzi, posmutniał. „Gdyby mnie kochała, toby przychodziła — mówi sobie — bodaj jeden raz przyszłaby, pokazała się — niechbym ją bodaj zobaczył, popatrzył. Nie, zacięła się i ani razu.” Mróz zawitał w góry, ale wciąż jeszcze od czasu do czasu widać Hrycia na czarnym koniu, jak pędzi dokądś, a potem wraca stępą zasmucony. Dopiero kiedy mrozy zaczęły się srożyć na dobre i śnieg mocno obciążył rozłożyste gałęzie świerków, przestał w końcu wyczekiwać na dziewczynę w lesie. W jego sercu zagnieździła się tymczasem tęsknota, mimo że białolica Nastka instynktownie dokładała wszelkich starań, by ją przepędzić pieszczołami, szczebiotem i pokorą. Hryć nie jest już taki sam jak był. Posmutniał. Posłać swatów do Tetiany też nie może, bo w sąsiedztwie mieszka Nastka, nie może jej zrobić wstydu. W dodatku ojciec nie chce mu dać ziemi, każe czekać... nie spieszyć się z żeniączką, i trzeba się poddać ojcowskiej woli. Oczekując tak i rojąc sobie w duchu Bóg wie co o Tetianie, dowiadując się o niej ukradkiem tego i owego, Hryć nie przestaje jednak chodzić do błękitnookiej Nastki, oddawać się uczuciu, które go z nią łą-

czyło i trzymało przy niej. Jakoś go to podnosi na duchu, kiedy słyszy tu i ówdzie od parobczaków, że Nastka poza nim, a więc tym jednym, co tańczy, jakby nogami wyrysowywał wzory na podłodze, nie widzi we wsi nikogo, że usycha z miłości, kocha do szaleństwa...

A Turczynki nie widać.

Ale nie taka zimna krew krąży w żyłach Hrycia, żeby znosił długo tę tęsknotę w sercu. Pewnego ranka osiodłał swego czarnego konia i pojechał do wsi, w której mieszkała Iwanycha Dubycha ze swoją piękną córką. Jeździ po wsi, udaje, że robi jakieś sprawunki, i wciąż się przy tym rozpytuje o Iwanychę Dubychę. Czy bardzo jest dumna i nieprzystępna? Czy bardzo surowa pani?

— Bardzo dumna — mówią ludzie — i surowa, a dla swojej córki wygląda chyba jakiegoś bojara.

— A córka? — pyta Hryć.

— O żadnym nie chce nawet słyszeć. Dotychczas odmówiła wszystkim bez wyjątku. Mówi, że nie przypadł jej chłopak do serca, że nie chce.

— Jaka śmiała, biedni też się jej podobają — jakoś wyrwało się Hryciowi.

— Podobają się — gdzie tam! Na żadnego, a tym bardziej na biedaka, nawet okiem nie rzuci.

— A ładna? — dopytuje się Hryć udając, że nie zna dziewczyny.

— Sam zobacz — mówią ludzie. — Ukłoń się nisko, popatrz na jej brwi, a już wtedy własne oczy ci powiedzą, co to za jedna ta Dubiwna, jaka jest ta Turczynka.

A Hryć aż się cały pali. Jego ta Turczynka — przemknęło mu przez myśl. Pewnie, że nie spojrzy na nikogo, bo na niego patrzy ta Dubiwna, dla niego jest łaskawa piękna Turczynka.

Patrzy? Hryciu, Hryciu... uważaj, co robisz!

„Myślisz, że jestem dla każdego? — przypominają mu się jej słowa. — Nie jestem dla każdego...”

Ba, nic Hrycia nie obchodzi, co dziewczyna mówi. Kocha ją. Coś każe chłopakowi dumnie podnieść głowę i jakby się upomnieć o swoje prawa... wszystko inne wcale go nie obchodzi. Dla każdego czy nie dla każdego... ale jego będzie! Jeszcze takiej nie było, która by mu się oparła. I Hryć idzie śmiało wprost do Iwanychy Dubychy. Bodaj zobaczy Tetianę, zamieni dwa słowa. Może wyjdzie z domu...

Wyszła Turczynka, zapłonila się i uniosła brwi. Z czapką w ręku stoi przed nią Hryć.

— Przyszedłem, Turczynko — mówi pokornie.

— Dobrze — odpowiedziała i uśmiechnęła się oczami. A za nią stoi matka — wysoka, surowa... w czerni.

— W jakiej sprawie, młody gospodarzu? — zapytała sucho i zmierzyła zimnym spojrzeniem Hrycia i córkę.

— Czy nie pytano tu z rana o mnie?

— Nie pytano — jeszcze bardziej lodowatym tonem odpowiedziała Iwanycha Dubycha.

— Mężczyzna i kobieta...

— Nikt nie pytał, powiedziałam! — odwróciła się i weszła do domu. — Chodź, córko, nie stój na dworze! — tak oto przyjęła Hrycia Iwanycha Dubycha i więcej jej nie widział.

— Idę, mamusiu... — posłusznie odpowiada Tetiana, ale nie rusza się z miejsca.

— Przyjdź, gdzie chcesz, przyjdę także, bodaj do cerkwi — prosi Hryć ukłoniwszy się znowu pokornie. — Potęsknimy razem, pogadamy.

— Nie przyjdę. Nawet się nie spodziewaj — odpowiedziała dziewczyna stanowczo.

Hryć zwleka chwilę mnąc czapkę w rękę, wreszcie mówi:

— A wiosną do lasu przyjdiesz? — pyta i pochyła się przed nią, tym razem dotykając czapką ziemi.

— Do lasu wiosną przyjdę. A teraz idź sobie.

— Jak się zazieleni — zatrzymuje ją Hryć nie mogąc się napatrzeć na jej czarne brwi i uśmiechnięte usta, pozerając piękną dziewczynę wzrokiem.

— Jak się zazieleni — powtarza Tetiana i znowu się uśmiecha.

Hryć kłania się.

— Dziękuję, Turczynko, żeś wyszła z domu i powiedziała słowo, dziękuję ci raz jeszcze.

— Dziękuję, że dotrzymałeś słowa, ale w ogóle idź sobie — mama żartów nie lubi.

Pogalopował Hryć na czarnym koniu i cicho się zrobiło wokół chaty, rozbrzmiewał tylko jeszcze chwilę w powietrzu tętent kopyt końskich przypominając komuś tam o nim.

Do lasu wiosną przyjdiesz? — powtarza sobie w domu Hryć wciąż to samo pytanie, gdziekolwiek idzie i cokolwiek robi.

Do lasu wiosną przyjdę!

Jak się zazieleni?...

Jak się zazieleni... Boże, kocha go Turczynka!

Wiosno, przyjdź! — tęskni i modli się w duchu chłopiec, wzdycha z całego serca. — Wiosno, przyjdź!...

Poweselał Hryć. Kryjąc się ze swoim szczęściem obejmuje niebieskooką Nastkę, tuli do siebie i pieści. Ojciec i matka są teraz z niego zadowoleni, a Hryć uśmiecha się w duchu.

Do lasu wiosną przyjdiesz? — pyta jego serce.

Do lasu wiosną przyjdę.

*Jak się zazieleni?...
Jak się zazieleni...*

Zazielenicie się, sosny!...

*

Nastala wiosna.

Stoją świerki jak równe zielone proporce, witają się szumem i kłaniają się sobie koronami, a wszystko to dlatego, że przyszła wiosna. Kwitną już kwiaty, kołyszą się dzwonki koło skał i głazów, a wszystko to na cześć wiosny i jej powrotu.

Rozwinęły się również maki młodej Tetiany, niedługo już je zerwie, wetknie we włosy, pójdzie szybkim krokiem przez las do starej Mawry albo nawet dalej...

Pewnego takiego pięknego wiosennego dnia wybrał się Hryć do bydła na hale i koleb pasterskich — kazał mu ojciec wybrać kilka co lepszych krów na sprzedaż. Kiedy szedł przez wieś, by dotrzeć do wznoszącej się po drugiej jej stronie góry, gdzie rozciągały się pastwiska jego ojca, spotkał w drodze starego, znajomego mu od dzieciństwa, dziada Andronatego, który co kilka lat zjawiał się w ich wsi i wstępował do ich domu.

Wstępował pod byle pozorem. Czasem z łyżkami na sprzedaż, niekiedy prosił o jałmużnę lub chciał odpocząć, ale zawsze wstępował. Zobaczywszy teraz starego Cygana na pustej drodze, Hryć przywitał się z nim i przystanął.

Stary przyłączył się do chłopca i powoli opowiedzieli sobie obaj, jak się im powodzi, co się z nimi działo

przez ten czas, kiedy się nie widzieli, i różne inne rzeczy.

Stary Cygan opowiedział Hryciowi, że tuła się już prawie dwadzieścia lat po świecie, dopiero w połowie zimy zatrzymuje się zwykle na Węgrzech w pobliżu puszczy, znajduje przytułek w cygańskiej gromadzie. Żona zmarła mu już dwadzieścia lat temu, w niedługi czas po stracie jedynej córki, którą spotkało nieszczęście i albo umarła, albo może gdzieś się tuła po świecie. Dziecku tej córki, co prawda, powodzi się dobrze, mówił Cygan nie patrząc przy tym na chłopca. Staro go trzyma przy życiu tylko ta jedna myśl, że kiedyś przy tym dziecku zamknie oczy. Ale na razie musi się tułać po świecie, a kiedy już się jego wnuk ożeni, wtedy przyjdzie do niego i zostanie.

Rok temu zimą — opowiadał — szedł tu przez pobliskie wsie prosząc o jałmużnę, bo Cyganie, u których znajdował zwykle przytułek, pokłócili się z sobą i przepędzili go, by szukał chleba na świecie. Ale cóż może zarobić, jeżeli nie jest w stanie dotknąć smyczkiem strun i całymi nocami grać na weselach? Jakoś go pociągnęło do tej wsi, gdzie po raz ostatni widział swoją córkę, ale pożałował tego. Poszedł przez las jakąś ścieżką, zdawało mu się, że skróci sobie drogę, i zabłądził. Prosił się, co prawda, do jakiejś chatki w lesie, ale nie udało mu się ogrzać tam przy ogniu i omal nie zginął w śniegu z głodu i zimna. Od tego czasu spędza zimą w dolinie. Osłabł jednak bardzo, czuje, że śmierć jest przy nim. I zdaje mu się czasem, że Bóg każe mu się jeszcze trzymać na nogach tylko po to, by się jeszcze czymś przysłużył swojemu wnukowi.

— A czym? — zapytał Hryć.

Nie wie tego stary, trudno powiedzieć... Ale tak mu się zdaje. Poza tym chce zagrać wnukowi na weselu

na skrzypcach bodaj starczymi palcami. Sławny muzykant Andronati zagra mu jeszcze na weselu, a potem... niechby już zaraz umarł. Właśnie!

Opowiadając to wszystko stary patrzył badawczo spod oka na chłopca, który zręcznie jak jeleń wspinał się w górę, i żeby stary nie pozostawał w tyle, przysiadł od czasu do czasu na ziemi i czekał patrząc obojętnie na starego, idącego z wolna ciężkim krokiem.

— Widzę cię, synu, po raz trzeci — mówi dalej stary. — Zdaje się, nie masz rodziców?

— Ponoć nie — krótko odrzekł Hryć, który nie lubił, gdy mu przypominano, że jest przybranym synem.

— Ale dobrze ci się wiedzie? — dopytywał się ciekawie stary i jakby tylko czekał, żeby usłyszeć z ust chłopca słowo „dobrze”.

— Cóż, dobrze — zabrzmiało tak samo krótko.

— A dom bogaty?

— Właściwie bogaty. Mam co jeść i pić, na co lepszą odzież też grosza nie żałują, najładniejszego konia ze stada mi podarowali... — nie dokończywszy Hryć urwał.

— A czegoż ci brakuje? — uśmiecha się stary. — Dziewczyny?

— At — machnął ręką Hryć — dziewcząt jest dość, gdzie bym zechciał. A wybrałem z nich dwie.

— Bogate? — dopytuje się stary z zachłannym błyskiem w oczach.

— Ponoć bogate. Ta czarnulka bogata jest, jak mówią ludzie, ale może matka nie zechce jej wydać za mnie; a niebieskooką, białą chcą moi rodzice, a jej rodzice chcą mnie. Dobra dziewczyna i niebrzydka, ponoć w sam raz dla mnie para. Zresztą, Bóg wie, która mi jest przeznaczona. Która będzie, to będzie.

At... — machnął lekceważąco ręką — wszystkie są jednakowe.

— Co? — stary rozdziawia usta, bo czasem trochę nie dosłyszcy.

— Z tego wszystkiego najchętniej poszedłbym w świat! — mówi Hryć.

— Dokąd? — aż krzyknął stary.

— W świat.

— W świat? Jak Cygan? Co też ty wygadujesz! Biedę klepać jak ja?

— E, nie, nie żebrać jak wy, ale tak sobie, żeby świat zobaczyć. Znudziło mi się tu wśród gór. Tak mnie czasem ciągnie, dziadku, gdzieś w świat — mówi Hryć niemal ze smutkiem — o, Boże! Ale nic z tego.

— Dziewcząt ci żal? Co? — roześmiał się stary.

— Może nawet żal tej z czarnymi brwiami — odrzekł zwyczajnie Hryć. — Nigdy się przy niej nie nudzisz, zawsze ma dla ciebie coś nowego. Rzeczywiście, dziadku, ładna dziewczyna.

— A ja ci powiem, synu, że wszystko to głupstwo — ładna czy nieładna, biała czy czarna. Jeżeli bogata, to ją bierz! Bardzo ładnej nawet się strzeż. Będzie do innych oczami strzelać — poucza chłopca stary.

Hryć się roześmiał.

— A ja — to niby nic? — zapytał. — Ale ładna jest, niby jakaś panna. Ta biała za to miła i dogadza mi, jak może. Co tylko zechcę, od razu robi. Sam jeszcze nie wiem, do której swaty poślę. I jednej żal, i drugiej szkoda. Hej, Turczynko, Turczynko! — zawołał nagle żałośnie. — Zapadłaś mi w serce, a sama, jak ta czarownica, dobrześ się schowała! Hej, dziewczyny, złączcie się w jedną i z tą się ożenię!

Stary roześmiał się gorzko słuchając tych tęsknych

i pełnych zarazem ognia słów. Niby jakaś stara baśń przypominała mu się nieszczęsna przygoda miłosna jego córki Mawry. I swego Radu okropnie kochała, i węgierskiego bojara kochała, i została sama jedna, przepadła gdzieś na świecie...

— Jedną kochaj, synu — z powagą ostrzega Cygan chłopca. — Kochaj jedną i prawdziwie.

I umilkł. Jakby się bał wytłumaczyć znaczenie swoich słów, czegoś dowieść, coś opowiedzieć, co się ciśnie na usta. Milczy, żeby nie zrazić do siebie drogiego chłopca, nie odstraszyć na zawsze...

— Pewnie z białą się ożenię — odezwał się nagle Hryć. — Co z tego, że czarnobrewą może bardziej kocham. A gdzież ona jest? Kto ją utrzyma? Tu jest i tam, tu i tam, a chcesz ją objąć, przytulić, mówi „nie jestem dla ciebie”. Bóg wie, co to jeszcze będzie. Do białej stare przyzwyczajenie mnie ciągnie, czarna ma tylko mnie jednego. Kochamy się potajemnie, spotykamy się w lesie... Turczynko, przyjdź! — zawołał tęsknie nie zważając na obecność starego, jakby był na górze sam. — Przyjdź, jak się las zazieleni! Już się zazielenił — dodał zwracając się do starego, jakby go dopiero w tej chwili zobaczył. — A ty!... U-uch! — krzyknął po raz drugi donośnie i z żalem, po czym cisnął kapelusz na ziemię i sam padł na trawę.

Stary podszedł do niego i przystanął, żeby odpocząć.

— Kochacie się z czarnobrewą potajemnie? — zapytał.

— Spotykamy się zawsze w lesie. Do domu stara jeszcze mnie nie wpuszcza, pilnuje jej jak wilczyca, nawet pogadać nie pozwala. Więc chowamy się w lesie.

— To źle, chłopcze — znowu ostrzega stary zadumawszy się nad czymś. — Źle. Strzeż się. Chodzą po

świecie przekleństwa. Może komuś tak jej będzie żal, że cię przeklnie.

— A jaka ładna! — ciągnie Hryć nie zwracając uwagi na słowa starego. Wtem zrywa się na nogi i wkłada kapelusz zawiądko, na bakier. — Wszyscy chłopcy za nią biegają. Ale tylko ja jeden, ojciec — dodaje z dumą i otwartością, jakby coś mu kazało mówić — tylko ja jeden będę ją mieć. Ładna, powiadam, jak sarna skacze po lesie. Tam się kochamy.

— Jedno ci radzę, synu — odezwał się stary, który stał wciąż zadumany przed chłopcem opierając się na kij. — Jedną kochaj prawdziwie, a dwóch hołubić nie trzeba. Pociągnie to grzech za sobą, chociażby się go nawet człek wystrzeżał. — I ciężko westchnąwszy zapytał nagle: — Jak jej na imię?... Może z Cyganów, jeżeli taka czarna?

Hryć roześmiał się.

— Co też wygadujecie! — zawołał. — Samiście z namiotu, więc chcecie tam innych wepchnąć... — śmiał się wciąż chłopiec.

— Nie śmieć się z Cyganów! — głos starego zabrzmiał nagle jakby złowieszczo — sam jeszcze nie wiesz, z jakiego jesteś rodu. Widzisz, ciągnie cię coś w świat, mimo że masz kawałek chleba. A co będzie dalej, *jeszcze nie wiesz*. Twarz masz rzeczywiście białą, ale kim jest twoja matka, kim był ojciec? Cygan czy bojar — nie wiesz.

Rozgniewał się chłopiec.

— Milcz, Cyganie! — krzyknął. — Nic więcej nie gadaj! Bo ani się obejrzysz, jak cię chwycę i zrzucę z góry. Widzicie — dodał pogardliwie — przypominała mu się moja matka. A-a-at! — i aż gwizdnął oburzony. Po chwili uspokoił się jednak. — Moja czarnobrewa kochaneczka — to Turczynka, dziadku. Znasz ją? Słyszałeś o niej? Przecież chodzisz po całym świe-

cie jak ci, co w księżycowe noce wędrują — roześmiał się znowu.

— Nie znam. Ale jeżeli chcesz, to się dowiem... i może jeszcze ci się kiedyś przydam. Znać jednak nie znam...

— Pewnie... z Cyganami się Turczynka nie brata — przemówił Hryć staremu.

— Nie — powiedział ten pokornie — tylko kocha się.

Hryć nie zrozumiał i umilkł. Jakoś zmarkotniał. Nie zrozumiał słów Cygana, ale pytać nie chciał i spoważniał.

— Gdybym wiedział, kiedy sprawisz wesele, przywłókłbym się — jeszcze pokorniejszym głosem mówił stary. — Z daleka bym przyszedł, synku — głos jego brzmiał coraz pokorniej, pochylił się stary niemal do ziemi — z daleka, z daleka... byle popatrzeć, byle się napatrzeć. Ale czyż może stary i biedny przyglądać się, jak się żeni bogacz z bogaczką!...

— Jesienią — przerwał mu chełpliwie Hryć — już tej jesieni — mówił jakby do siebie — będę się żenić. Przyjdź, jeżeli chcesz. Litujemy się nad biednymi, więc starego Cygana też przyjmiemy. Przyjdź ze skrzypcami...

Stary skłonił się pokornie.

— Właśnie chciałbym.

Hryć stał przed nim młody i piękny i patrzył ponad głową starego przed siebie, na góry i lasy, jakby kogoś wypatrywał.

— Kogo oczami szukasz? Nad czym się zastanawiasz?

Hryć wzruszył ramionami.

— O czarnobrewej myślę, dziadku... — przyznał się. — Tak mnie oplątała, że z głowy mi nie wychodzi, a kto wie, czy będzie moja...

— Gdybym był wróżbitą, tobym ci powrózył bo-
daj na tej górze — odrzekł stary starając się zatrzy-
mać chłopaka, żeby się na niego napatrzyć. — Cóż,
może ci się kiedyś przydam... z tymi dziewczętami,
żebyś nie bardzo się przez nie martwił.

— Wielkie mi rzeczy!... — rzucił Hryć. — Nie boję
się ich. Zrobię, co zechcę.

— Więc zagram ci chyba na weselu, zanim umrę...

— Na weselu — powtórzył Hryć z wymuszonym
tym razem uśmiechem.

— Jak Bóg pozwoli. *Tobie jednemu* jeszcze zagram.
Chciałbym, żebyś był pierwszym bogaczem we wsi.
Znam cię od dziecka i twoi rodzice byli dobrzy dla
obcego starca. Dlatego chciałbym... chociaż jestem
tylko biednym, obcym Cyganem... chciałbym — sta-
ry urwał nagle, zwiesił głowę na piersi i umilkł.

— Może będę kiedyś bogaczem — odparł Hryć —
nie wiem. Słyszałem, że nikt nie jest w naszej wsi
taki bogaty jak czarnobrewa, dlatego kto wie, czy ją
za mnie wydadzą.

Zdziwił się stary.

— A jakie jest jej największe bogactwo? — za-
pytał.

Hryć wygapił się na niego.

— Jakie? — roześmiał się nagle. — Jej czarne
brwi...

— Och, jak u czarownicy? — zapytał stary.

— To czarownica, dziadku.

— Strzeż się, synu... Czarne brwi mają moc.

— Słyszałem, że mają — znowu śmieje się Hryć. —
Ale nie boję się jej, byle ją tylko matka za mnie wy-
dała.

— Czarownicom — z powagą tłumaczy mu sta-
ry — trzeba całą swoją siłę oddać, bo inaczej i tak

przemogą mężczyznę. My, Cyganie, się ich wystrzegamy.

— Ja jeden się ich nie boję i będę robić, co zechcę. Do Hrycia żadna nie dorosła... zresztą, mam swoją białą... Nie poddam się im, tylko one mnie. — Mówiąc to kręcił wąż i niby to się uśmiechał, ale coraz bardziej poważniał.

Jak dwadzieścia lat temu, kiedy Andronati stał na górze z białym wnukiem na rękę i rozglądał się po rozrzuconych chatach wsi, szukając i nie mogąc dostrzec domu bogacza, tam samo, zda się, nadaremnie rozglądał się sam Hryć po lasach i górach wypatrując swojej doli w osobie jednej z dziewcząt.

Wtem, jak dwadzieścia lat temu, doleciał skądś i rozbrzmiał nad szczytami głos trembity, smutny i przeciągły.

Hryć przystanął.

— Ktoś umarł? — zapytał stary.

— Nie wiem. Pewnie... — odrzekł chłopiec i przyspieszył nagle kroku. Był przyzwyczajony do dźwięków trembity, lubił je, ale w tej chwili wstrząsnęły nim silnie.

Stary zadyszał się nie mogąc dotrzymać mu kroku, wreszcie stanął. Hryć zatrzymał się na chwilkę.

— Pójdę sobie, synku, wrócę na dół. Nie mogę iść dalej.

— Idźcie — powiedział Hryć — spieszę się... czekają na mnie na pastwisku.

— Idź, synku, idź z Bogiem! — odrzekł stary. — Cieszę się, że cię zobaczyłem, a dalej — dziej się wola boża.

— Zobaczymy się jeszcze na weselu — raźnie zawołał Hryć i nagle, jakby na jakiś wewnętrzny rozkaz, zdjął pokornie kapelusz i pochylił się nisko przed starym.

— Jeszcze mnie pobłogosławcie, dziadku, przed weselem! — poprosił. — Kto wie, jak tam będzie, czy zdążycie na czas. Pobłogosławcie, starzy jesteście.

Stary Cygan aż się zatrząsł ze wzruszenia, załkał.

— Błogosławię cię, synu — powiedział pełnym żalu głosem — życzę ci wszelkiego dobra i szczęścia... nie zapomnij swego dziadka...

— Nie zapomnę, ojczulku!

Hryć poszedł. Myśl o weselu budziła w jego sercu smutek i tęsknotę, a zarazem jakąś powściągliwą radość. Niebawem stanął i spojrzął w dół, gdzie został stary Cygan, który nazwał się jego dziadkiem. Był tam jeszcze. Schodził coraz niżej, szedł między chatami w dolinie, aż wreszcie znikł mu sprzed oczu...

Stoją dokoła góry w bezruchu, znieruchomiały gęste lasy. Tylko drapieżne ptaki rozpostarłszy skrzydła szybują na wysokościach.

*

Minęła już pierwsza pora wiosenna, pokryły się góry i lasy jasną, bujną zielenią. Nastaje lato.

Już czwarty tydzień jeździ Hryć do lasu na swoim czarnym koniu o gęstej grzywie i nie może się doczekać Turczynki. Jedzie pełen nadziei, a wraca porażony w smutku. Może przysyłali do niej swaty po świętach, niepokoi się czasem, a może wydała ją matka za męża do jakiejś dalekiej wsi i nic mu o tym nie wiadomo, nic nie słyszał — nikt nic nie mówi.

Wzbiera w jego sercu fala tęsknoty i nikt o tym chyba nie wie tak dobrze jak jego czarny koń. W swym niecierpliwym oczekiwaniu Hryć stoi czasem godzinami opierając się na nim, rozmyśla lub śpiewa smętną pieśń, albo nasłuchuje szelestu, co by zdradził jej obecność w lesie, czy też gra na fujarce.

Ostatecznie zniecierpliwiony dosiada wreszcie konia i galopuje gdzieś przed siebie, byle się jakoś otrząsnąć, albo jedzie do pokornej niebieskookiej Nastki, która go utuli. Tak samo zrobił teraz.

Opierając się o grzbiet konia wbił bystry, jastrzębi wzrok w Białą Ścieżkę, która biegła w jego stronę z góry, z zielonego lasu.

Czy przyjdzie? — myśli. — Kto wie?

Słońce chyli się już coraz bardziej ku zachodowi, a jej nie ma.

Policzył już wszystkie jastrzębie, co szybowały w czystym powietrzu, wymierzył wzrokiem wzdłuż i wszerz ciemny jar, w którym toczył się szumiący potok, wypełnił go smutnymi myślami, a ona także dziś nie przyszła.

Do lasu wiosną przyjdiesz? — pytał ją wtedy zimą.

Do lasu wiosną przyjdę.

Jak się zazieleni?...

Jak się zazieleni — odpowiedziała z uśmiechem i prośbę bardzo — jak dotrzymuje słowa! Nie pokazała się przecież ani razu tego lata. I wierz tu dziewczętom! Co innego Nastka: nie zdążysz czegoś zapragnąć, Nastka już to wie, ledwie Hryć coś sobie pomyśli, ona już to powie. Taka jest ta Nastka, którą Hryć hołubi. Szczerą jest dla niego, rzeczywiście szczerą. A Turczynka?

Hryć zaciska zęby zniecierpliwiony i przeklina diablicę, co tak go zimą oszukała obiecując, że wiosną przyjdzie, a tymczasem ani jej w głowie pokazać się.

Tonie tak Hryć w swoich niewesołych rozmyśleniach, aż tu nagle jego koń zadziera wysoko głowę, wytrzeszcza swoje błyszczące czarne oczy patrząc wciąż w jedną stronę lasu, strzyże uszami i chyba czeka. Czeka wprost całym swoim ciałem...

Szerokie jak skrzydła gałęzie świerków rozchylają się nagle nie opodal, miękko i bez szelestu, wygląda spomiędzy nich dziewczęca głowa z dwoma czerwonymi makami i znowu znika. Koń cofa się przestraszony, a Hryć, który nic nie zauważył w zadumie, podbiega do niego. Czego się przestraszył, dlaczego się spłoszył? Może zobaczył niedźwiedzia? A może smukłoną sarnę, co chciała przejść przez Białą Ścieżkę, zobaczyła ich, przelękała się i ukryła się znowu? Uspokoił spłoszonego konia i znowu zaległa cisza, znowu nic się nie rusza. Hryć czeka.

Czy rzeczywiście nic się nie rusza? Nic. Ale nie, coś się tam jednak dzieje. Przez jakiś czas koń stał spokojnie i nieruchomo, ale oto zaniepokoił się znowu. Z natury bardzo płochliwy poczuwszy coś, co wydaje mu się obce, rozgląda się bacznie i zadziera głowę jeszcze wyżej. Nie odskoczył jednak tak bardzo jak za pierwszym razem. Hryć przywiązał go do jakiegoś świerka i idzie pod górę Białą Ścieżką. Uszedł najwyżej kilkanaście kroków i oto niedaleko rozchylają się znowu gałęzie świerków i wylania się wpierw ukwiecona głowa dziewczyny, a potem cała jej wysoka i smukła postać.

— To ty, Turczynko? — zawołał uradowany Hryć.

— To ja.

To ja! To ona!

Sami nie wiedzą, jak się to stało, że trzyma ją już Hryć w objęciach i ich usta łączą się same, jak na rozkaz.

— Puść! — żąda stanowczo Tetiana i wzburzona wysuwa się z uścisku jego rąk, co uwięziły ją, zda się, na zawsze.

— Turczynko! — powtarza Hryć nie posiadając się z radości. — Tyle razy czekałem tu na ciebie, tak się stęskniłem do ciebie, a ty przyszłaś dopiero teraz.

— Dopiero teraz — powtarza śmiejąc się Tetiana i dodaje: — Dlatego puść mnie! — dziewczyna niecierpliwie wrywa się z jego rąk.

— Nie szłam sama — usprawiedliwia się niebawem skwapliwie — szłam z jedną kobietą (nie mogła się nigdy przemóc, żeby powiedzieć o Mawrze)... Cicho — dodaje tajemniczym szeptem — przychodzi czasem tutaj i pod Biały Kamień, szuka tam jakiegoś ziała...

— Byle tutaj nie przyszła! — przerywa jej Hryć i znowu przyciska dziewczynę do piersi. — Tutaj niech nie przychodzi, bo wrzucę ją od razu do jaru. Dzisiaj niedziela, przyszłaś wreszcie... doczekałem się ciebie, moje słoneczko, więc niech nie przychodzi.

Tetiana patrzy na niego unosząc w górę czarne brwi i pyta z uśmiechem:

— Mówisz, że już nie jeden raz tu na mnie czekałeś?

— Dzisiaj już czwarta niedziela, odkąd czekam.

— A ja chodziłam po lesie i wciąż zawracałam z powrotem, nie mogłam przyjść do ciebie...

Hryć zagląda jej w oczy, które nigdy nie widziały zła i patrzą zawsze po prostu i szczerze, wszystkiemu się dziwią i we wszystko wierzą...

— Zazulko! — całuje ją Hryć i tuli, znowu przyciska do piersi — Zazulko!

— Nie mogłam, nie mogłam — tłumaczy mu dziewczyna — mamę okłamywałam, nie powiedziałam jej prawdy, po co idę do lasu, więc sumienie mi nie pozwalało...

— Kochać, Turczynko?

— Kochać, Hryciu.

— A widzisz, ja mogę.

— Kochać i oszukiwać?

— Oszukiwać i kochać! — odpowiada chłopiec bez namysłu i śmieje się.

— A ja się wciąż waham...

— Bo nie kochasz prawdziwie, jak ja.

— Hryciu!

— Turczynko!...

Objęła go za szyję i milczy.

— Turczynko, kochasz prawdziwie?

Dziewczyna milczy chwilę i wreszcie mówi:

— Może, Hryciu...

— Zazulko!

Wtem podniosła głowę i znowu patrzy mu prosto i otwarcie w oczy.

— Nigdy o to nie pytaj — prosi i w głosie jej zadźwięczał nagle smutek.

— Bo zawsze jesteś taka dziwna — usprawiedliwia się Hryć.

— Nie, Hryciu, nie... — zapewnia go dziewczyna i tuli się do niego czule i z ufnością. — Gdybyś wiedział...

— Co, dziewczyno moja?

— Jak to ciężko tak bardzo, kochać i tę miłość przed matką... — Tetiana urwała i po chwili dodała pośpiesznie — ukrywać.

— Dlaczego ukrywać? — pyta Hryć z prostotą. — Alboż to wstyd kochać?

— Nie puści mnie mama do lasu — tłumaczy mu dziewczyna. — Powie, żebyś przysłał swaty, a spotykać się w lesie nie pozwoli. O... moja matka za nic nie pozwoli.

— Wielkie mi rzeczy! — śmieje się Hryć.

— Tak, tak, Hryciu, mama żartów nie uznaje — mówi poważnie Tetiana. — Surowa jest dla chłopców, nie wierzy im.

— A co z nimi robić, chłopca nawet koniem nie wymiiesz — znowu śmieje się Hryć.

— Dobrze ci się śmiać — mówi Tetiana patrząc mu wyczekująco w oczy.

— A dobrze — mówi Hryć rozweselony — pewnie, że dobrze, skoro Turczynka jest przy mnie, a w swoim czasie swaty też będą. Z pewnością tej jesieni. Zima była taka długa i ciężka, tak do ciebie tęskniłem, a teraz, kiedy jest takie piękne lato, mamy się jeszcze bać matek? Ze mną nie bój się niczego.

Mówiąc to z dumą i pewnością siebie zaczyna ją pięścić namiętnie.

— Bardzo mnie kochasz? — pyta Tetiana i usiłuje mu wyczytać miłość z oczu, w których tonie całą duszą.

— Nikogo tak prawdziwie nie kochałem jak ciebie. Już ci mówiłem. Ciebie jedną na całym świecie. Gdybyś wiedziała, Turczynko...

— A gdybyś ty wiedział — przerywa mu dziewczyna z powagą, unosi wysoko czarne brwi i mówi w ten sposób jeszcze więcej niż słowami.

— Nie wiesz, jakie mam serce — wciąż zapewnia ją o swojej miłości Hryć i znowu tuli do siebie dziewczynę.

— A ja, Hryciu... a ja — o, Boże!... — nie dopowiedziała Tetiana.

— Kochaj mnie, zazulko, kochaj — prosi chłopiec — zaniosę cię na rękach do twego domu.

Wtem Tetiana podnosi swoją strojną w kwiaty głowę i jakby wróciwszy z nieba na ziemię, z niezwykłą powagą pyta:

— A jeżeli przestaniesz kochać?

— Turczynko, słonko moje... czyżbym mógł? Cemu pytasz z takim smutkiem?

— Bo może jeszcze gwizdniesz na mnie, kiedy przestaniesz kochać? A ja, Hryciu, a ja — mówi dziewczyna i nagle szuka obrony przed czymś na jego pier-

si. — A ja... — urwała i umilkła, jakby wydała ostatnie tchnienie.

— Gwizdałem, Turczynko — z powagą mówi chłopiec — gwizdałem rzeczywiście i nie na jedną, ale ciebie pokochałem tak szczerze, że raczej ty się wyśmiejesz ze mnie, kiedy przyjdzie ktoś bogatszy, niż ja z ciebie. Alboż nie tak, Tetianko? Wiedzą ludzie dokoła, jaka bogatą jest Iwanycha Dubycha. A ja Hryć jestem. Całe moje bogactwo to koń i otwarte serce. — Powiedziawszy to pocałował ją i przytulił tak czule i gorąco, że dziewczyna umilkła...

— Czasami zimą — odezwała się znowu po chwili — nim stanąłeś przed naszą chatą, tak mi było ciężko na sercu, tak się modliłam, żeby uwolnił mnie Bóg od tego ciężaru, ale tyś przede mną stanął, Hryciu! — dodała i otoczyła jego szyję ramionami. — Od tego dnia, od tej godziny już nie mogłam cię zapomnieć...

— A mnie tęsknota pędziła — tłumaczył wesoło Hryć. — Wytrzymać nie mogłem, osiodłałem konia i popędziłem do ciebie. Co będzie, to będzie — pomyślałem. — Niech ją bodaj zobaczę, bodaj spojrzę na te oczy i brwi, co mi serce ukradły, co mnie otumanily, spokój odebrały i schowały się same.

— A matka dopytywała się później — mówiła Tetiana — ktoś ty taki i skąd cię znam. A ponieważ milczałam, umilkła również i dodała jeszcze tylko: Uważaj, Tetiano. Boję się matki, Hryciu, kiedy milczy, ale nie mogłam zapomnieć o tobie. We śnie cię widziałam na czarnym koniu, we śnie tęskniłam. W dzień pracowałam, żeby kryć się ze swoją tęsknotą, a nocą nie spałam, tylko wspominałam. Nie mogłam inaczej. Tak przeżyłam zimę...

— Zajrzałbym do ciebie niejedyn raz, Turczynko — mówi Hryć — odpędziła mnie jednak od domu twoja dumna matka. Ale teraz nie zapominaj o mnie.

Kochaj mnie, a zobaczysz, że wkrótce będzie tak, jak chcemy.

— Nie zapomniałam. Alboż nie przyszłam? — pyta Tetiana i unosi pytająco swoje czarne brwi.

— Dziękuję ci, dziewczyno, mój śliczny kwiatku, kochaj mnie tylko wiernie i czekaj do jesieni.

— A ty? — pyta Tetiana zatapiając w jego pięknych oczach spojrzenie, w którym jest cała jej dusza. — Przyjdiesz? Nie zapomnisz? *Innej nie pokochasz?*

Hryć obejmuje ją.

— Ciebie jedną kocham. Jedną na całym świecie. W niedzielę przyjdę znowu, będę na ciebie czekać. Przyjdź do lasu, rozkwitnij w nim jak kwiat, będę tu.

— Wciąż do lasu? — pyta Tetiana i waha się, zastanawia, czy się zgodzić...

— Do lasu.

— A może nie — powiedziała nagle szybko dziewczyna i odepchnąwszy chłopca odwraca się nagle.

— Turczynko.

Nie słucha go, idzie.

— Turczynko! Biegniesz do matki?

— Biegnę.

— Wielkie mi rzeczy!

Tetiana nie odpowiada, idzie.

Hryć pobiegł za nią.

— Tetianko! — błaga. — Patrzcie, już się rozgniewała. Już nie kochasz? A tak długo czekałem... zabij mnie, żebym więcej nie tęsknił do ciebie... będzie ci lżej...

Tetiana obejrzała się i przystanąła. Chwilę milczy marszcząc brwi.

Hryć pożera ją oczami, wreszcie nic nie mówiąc przyciska ją na pożegnanie do piersi. Tetiana nie mówi ani słowa, zatracą się cała w jego miłości...

— Przyjdiesz znowu? — szepcze namiętnie i błagalnie chłopiec wkładając całą duszę w te słowa.

— Przyjść.

— Pamiętaj!

Znalazłszy się już przy swoim koniu Hryć nie mógł się powstrzymać, żeby nie zawołać raz jeszcze.

— Kochasz? — pyta jego głos, dopędza dziewczynę w gęstym lesie i czeka...

Rozbrzmiało to słowo wśród wysokich, smukłych świerków i odbite od skały za jarem wyraźnie powtórzyło je echo: „Kochasz?”

— Ko-cham! — rozległ się donośny młody głos i doleciawszy w głąb lasu zawisł w powietrzu. Potem jak młody wędrowiec przebił się przez las i dotarł do jego ucha: „Ko-cham”... Wtedy już zamarł na wieki.

Chodzi Tetiana co niedziela do lasu. Biegnie pod górę lekko, z pełnymi szczęścia oczami, żeby nie czekał długo... a w dolinę spieszy, żeby się nie spóźnić, nie rozgniewać matki. I wciąż o tym wszystkim nic nie mówi, tylko wciąż się spieszy. Jak jeden dzień mija tydzień po tygodniu, lato jest takie cudowne i coraz silniejsza ich miłość...

— Przychodź, moja Turczynko, nie szcędź mi miłości... — prosi Hryć gorąco za każdym razem, idąc z nią przez las Białą Ścieżką. Żal mu się z nią rozstawać... taka jest mu droga, taka piękna.

— Wracaj już — przypomina mu niekiedy Tetiana i jednocześnie zagradza mu drogę, żeby dalej nie szedł.

— Żal ci jeszcze chwilki dla mnie? — wyrzuca jej

Hryć. — Tyś całe moje szczęście na świecie i widzisz, jaka jesteś! — w słowach tych dźwięczy gorzki wyrzut.

— Ja, Hryciu? Ja? — pyta Tetiana, ze zdziwieniem unosząc brwi, i patrzy już z rozżaleniem i urazą.

— Ty, bo nie kochasz jak ja. Wciąż się wahasz, jakbyś stała na rozdrożu, a przybiegasz jak po ogień.

— Hryciu — odpowiada dziewczyna i milknie. Po-pędliwa jest i wrażliwa, poczuła się dotknięta, więc po dobrej dopiero chwili zdobywa się na dłuższą odpowiedź: — Nic poza tobą nie widzę, na nikogo nie patrzę, matkę okłamuję... a ty... — i znowu urywa.

— I mimo to wahasz się, Turczynko...

— Waham się, bo nie wiem, czy kochasz mnie wier-nie. O, Hryciu — prosi patrząc na niego błagalnie — nie okłamuj mnie! Swoje serce znam, nie ma go już w moich piersiach, jest w twoich. O niczym teraz nie myślę, tylko o tobie. Dusza, co była kiedyś moja, te-raz idzie za tobą jak cień i już nie będzie taka jak dawniej. Nie oszukuj mnie.

— Mimo wszystko wahasz się, Turczynko...

Oczy jej zapłonęły.

— Mówisz, że nie kocham cię prawdziwie? O-o-o-!... — zawołała z bólem w głosie i odtrąciła go od siebie, jak w dzieciństwie odtrącała matkę, gdy ta nie czyni-ła zadość jej życzeniu.

— Wcześniej niż śnieg spadnie, będziesz w moim domu — odpowiada na to wszystko Hryć i przygar-nia ją do siebie, pieści, by zapomniała urazy. — Nie szczędź mi miłości — dodaje prosząco. — Tyś moje jedyne szczęście na świecie. Przychodź, zazulko, nie zapominaj o mnie. A jak będą na ciebie krzyczeli, że błąkasz się po lasach, powiedz im prosto w oczy, że szukasz szczęścia.

— Że co, Hryciu? — zdziwiła się Tetiana.

— Że szukasz kwiatu paproci — tłumaczy jej Hryć — Nie wiesz? Przynosi szczęście.

— Nie wiem — odpowiada Tetiana i znowu się dziwi, że potrafi Hryć wpaść na taki pomysł.

— Kwiat paproci. — powtarza chłopiec. — Trzeba go długo, bardzo długo szukać, a kto znajdzie, wszystko będzie odtąd wiedział i znajdzie szczęście. Tak powiedz. Kto ci zabroni szukać tego kwiatu? Może matka? No uśmiechnij się!...

— Może... matka... — mówi w zadumie Tetiana i milknie.

— A wcześniej niż spadnie śnieg, będziesz w moim domu — powtarza Hryć.

— Wcześniej niż śnieg spadnie — powtarza również dziewczyna i nie kończy. Jakby pod wpływem jakiejś nowej myśli dodaje z przestachem: — Boję się, Hryciu, długo czekać...

— Czego się boisz, serce moje? — pyta Hryć. — Póki jesteś ze mną, nie bój się niczego. Kocham ciebie jedną, ty jedna będziesz moja, nie martw się o nic więcej.

— Jesienią mają przyjść swaty — skarży się Tetiana i jakby szukając u niego rady obejmuje go za szyję.

— Skąd swaty? — zaperzył się Hryć.

— Jeszcze mi matka nie powiedziała, tylko napomyka, że chyba wyda mnie za mąż w tym roku.

— Niech napomyka. A ja jestem pierwszy. Odwróć się od wszystkich.

— Już się i tak odwróciłam — odpowiada Tetiana. — Znam tylko ciebie i gdyby mama mnie zmuszała, powiem jej prawdę. Jesteś przecież *synem bogacza*. Mama wyda mnie za ciebie.

— Wyda cię za mnie... chociaż... — mówi Hryć niepewnie i nie dopowiada.

— Chociaż? — powtarza pytająco Tetiana i jakoś serce jej zamiera. — Kochasz inną?

Zachnął się Hryć i śpiesznie odpowiada:

— Nie, innej nie kocham, Tetiano, ale... prawdę mówiąc...

— Co Hryciu? — przerywa mu Tetiana i patrzy na niego z przestraczem.

— Prawdę mówiąc, nie jestem synem bogacza — odetchnął z ulgą Hryć — tylko biednym sierotą. Wychowankiem jestem, podrzutkiem...

— Podrzutkiem? — dziwi się Tetiana. — Jak to?

— Podrzutkiem jestem, wychowankiem. Moi gospodarze to nie moi rodzeni ojciec i matka.

— Hryciu! — jakby broni się przed czymś Tetiana. — Sam przecież powiedziałeś: mój ojciec jest bogaczem... o, nie... — urwała.

— Powiedziałem i mówię: mój ojciec jest bogaczem i może odda mi kiedyś cały majątek. Własnych dzieci nie ma, tylko mnie. A jeżeli wyjdiesz za mnie, obdziel mi pewnie przyzwoicie, a kiedyś da może wszystko. Jeden jestem w jego domu i nazywam go ojcem. Ale na razie jestem biedny, mam tylko ciebie... kochaj, mimo że jestem biedak, nie porzucaj mnie, Tetiano!

— Hryciu! — zapewnia go dziewczyna z największą szczerością. — Przekonam mamę. Jest surowa, ale kocha mnie. Słyszysz, Hryciu, kocha mnie i zrobi, co chcemy. Nie rozłączmy nas...

— To dobrze, zazulko — mówi Hryć uspokojony i dodaje: — Ale na razie nic nie mów, przychodź do lasu, a przed pierwszym śniegiem będziesz już w moim domu.

Tetiana słucha go, po czym staje tuż przy nim i zatapia spojrzenie swych szeroko otwartych oczu w jego pięknych błękitnych oczach.

— Hryciu! — mówi. — Sam wiesz, że cię kocham,

jak nikogo na świecie, ale... — i unosi wysoko brwi, jakby coś nakazując tym ich ruchem.

— O nic się nie martw, Turczynko moja — mówi Hryć nie zwracając uwagi na wyraz jej twarzy i tylko ją podziwiając. — Nie martw się o nic. Moja jesteś.

— Twoja — mówi dziewczyna i wyjąwszy śpiesznie maki z włosów rzuca mu je pod nogi. — Masz. A teraz idź. Spóźniłam się już bardzo. Słońce za górą poczerwieniało, zachodzi, strzela już promieniami po niebie. Matka będzie znowu krzyczała, że się gdzieś włóczę po próznicy.

— Nie bój się — mówi Hryć. — Pójdę — obejmuje jej kibić na pożegnanie. — Ale przyjdiesz znowu do lasu? — pyta jak za każdym razem i ich spojrzenia łączą się po raz ostatni w jeden płomień, który rodzi tylko miłość. — Przyjdź, mój kwiatuszku, zawołaj z lasu...

— Zawolałam...

— Tylko ten las i ja znamy Turczynkę...

— A moja matka, Hryciu? — pyta nagle Tetiana. — Bóg nas nie pobłogosławi, bo ją oszukujemy. Dobra jest i kocha mnie... a ja... — urwała nagle, skinęła głową i odeszła. Po kilku zaledwie krokach przystaje jednak i woła pógłosem:

— Hryciu! — Hryciu!...

Chłopiec podbiega do niej.

— Hryciu! — mówi Tetiana i usta jej wykrzywiają się w jakimś gorzkim grymasie.

— A co? — pyta Hryć i uśmiecha się swoimi jasnymi oczami. — Zapomniałaś jeszcze raz powiedzieć, że kochasz? To powiedz, posłucham...

— Kiedy się zobaczymy, Hryciu? — zapytała unosząc swoje czarne brwi i pytając także spojrzeniem.

— Sam jeszcze nie wiem. Ale zobaczymy się...
przecież przyjdiesz!

— Przyjdę... — mówiąc to zawróciła i zniknęła w gęstwinie.

Zamknęły się za nią gałęzie, po czym drżały jeszcze chwilę.

Hryć nie odchodzi od razu, poprawia popręgi, podnosi czerwone kwiaty z ziemi i jakoś dziwi się w duchu. Zdobyłem sobie Turczynkę — przechodzi mu przez myśl — zdobyłem.

Przyjdę — powtarza sobie w duchu jej obietnicę i zamyśla się nad nią. Jakoś tak dziwnie wyrzekła to słowo: „Przyjdę”... i odeszła zasmucona.

Wtem ocknął się, nasłuchuje... jakby jej głos przeleciał tam, po prawej stronie lasu. Hryć wyteża słuch — czeka i wszystko dokoła zdaje się nasłuchiwać z nim... czeka...

— Nie zapomnij! — dociera do niego jej wołanie.
„Nie zapomnij!” — napomina rozbrzmiewające w lesie echo i gdzieś zamiera.

Hryć nie odpowiedział. Wsiadł na konia i odjechał.

— Mawro!

— Co tam, córuś? Przyszłaś wreszcie do starej Mawry? Bo przez to swoje kochanie już o niej zapomniałaś.

Tetiana obejmuje starą nianię, tuli i tłumaczy się:

— Przebac, Mawro, żem nie przychodziła. Nie miałam kiedy przybiec do ciebie. W domu wciąż tyle pracy, a w niedzielę...

— A w niedzielę? — pyta Cyganka i łysnąwszy czarnymi oczami patrzy badawczo na stojącą przed nią dziewczynę. — A w niedzielę?

— Kiedy przychodzi niedziela, Mawro! — odpowiada Tetiana i odwraca się od starej.

Od razu udobruchała się jednak.

— Mawro — odzywa się znowu — wiesz, że kocham Hrycia.

— Mówiłaś mi, córeczko — mówi Cyganka nie odrywając od dziewczyny wzroku — mówiłaś.

— On mnie też kocha.

— Tak samo prawdziwie jak ty jego?

— Mawro! — krzyknęła nagle Tetiana z wyrzutem w głosie i dotknięta czymś odwraca się od starej Cyganki, która zachowuje jednak spokój. — Nic ci już więcej nie opowiem. Bo to mi nie wierzysz, to sobie kpisz spokojnie. Cokolwiek powiem, w nic nie wierzysz. Wstyd, Mawro...

— Bóg z tobą, córeczko! — tłumaczy się pokornie Mawra. — przecież go na oczy nie widziałam, więc to...

— Nie widziałaś, nie widziałaś! — powtarza rozgniewana Tetiana. — Ale wciąż jest w twoim głosie niewiara i nienawiść. Wciąż nie wierzysz. Wiem, nie wierzysz już całemu światu. Dobrze pamiętam, coś mi o sobie opowiadała, ile wycierpiałaś przez zdradę, ale mimo to, Mawro, jemu jednemu, jednemu na całym świecie — wierzę. Hryc kocha mnie prawdziwie, Mawro... O! Nie wiesz!

— Wierzę, córuś, że cię kocha — mówi Mawra z przekonaniem. — Któż by cię nie kochał, taką piękną jak słońeczko i dobrą jak anioł? Kogóż na świecie kochać, jeżeli nie taką jak ty? Ech-che-che! — zaczęła nagle pokrzykiwać przeciągle, jakby zobaczyła jastrzębia, i kołysać się całym ciałem. — Ech-che-che! Tetiana udobruchała się.

— Wcześniej niż śnieg spadnie, tak mi powiedział, Mawro, będę w jego domu.

— Chwała Bogu! — odetchnąwszy z ulgą odpowiada stara już innym trochę głosem. — Pośpieszcie się, bo jak nastanie jesień, matka przyjmie swaty od kogoś innego. Powiedziała mi onegdaj, że koniecznie chce cię wydać za mąż tej jesieni, a sama pójdzie do klasztoru.

— O, mama wciąż swoje! — mówi Tetiana. — Najbardziej tego pragnie w życiu, żeby pójść na starość do klasztoru.

— Może zrobi dobrze, córeczko.

— A za kogo będzie się tam tyle modliła? I tak dosyć się modli co niedziela i w święta...

— Może o twoje szczęście — odpowiada Cyganka. — Ma ciebie jedną. A od czasu, kiedy umarł twój ojciec, z którym tak dobrze żyła, jak sama opowiada i ludzie mówią, ciągnie ją do klasztoru. A któż się będzie modlić o twoje szczęście, jeżeli nie ona, córuś? Wiesz, że chętnie by ci nieba przychyliła.

— To prawda — odpowiada Tetiana z powagą i milknie, a po chwili zastanowienia dodaje: — Ona pierwsza, ty, Mawro, druga i on trzeci kochacie mnie szczerze i prawdziwie.

— Dobrze mówisz, córeczko — przytakuje jej Mawra. — Dobry mąż to dla kobiety to samo co tato i mama.

— Może nie, Mawro? — odpowiada Tetiana, a w oczach jej jaśniejże najprawdziwsze szczęście.

— Tak, tak. Gdybyś, mi go bodaj raz pokazała, córko — mówi Mawra — nie chowaj go tak jak złoty dukacik.

✓ Tetiana uśmiechnęła się wesoło:

— Zobaczysz go, Mawro, zobaczysz, taki jest śliczny, Mawro, że... o-o-o!

— Jak ty? — pyta Cyganka.

— Wysoki, wąs czarny, a twarz biała i niebieskie

oczy. A jeździ na czarnym jak węgiel koniu. Wtedy jest najpiękniejszy. Pędzi na nim jak wiatr. O, Mawro, ładny jest!

Mawra słucha i myślami przenosi się gdzieś w przeszłość.

— Taki sam był on — mówi po chwili raczej do siebie. — Wysoki — jak się to mówi — jak ten dąb, twarz biała, oczy niebieskie, a pędził na koniu koło naszych namiotów niczym ten wiatr na puszczy. Był taki sam. I wciąż pogwizdywał. Pan to był, Tetianko!

— O kim mówisz, Mawro? — pyta dziewczyna, która całą duszą była w tej chwili przy swoim Hryciu.

— O tym, przez którego życie sobie zmarnowałam, straciłam ojca, matkę, Radu, a wreszcie także dziecko. Przez którego jestem teraz sama jedna na całej górze, w całym lesie, na całym świecie. Gdyby mi bodaj zostawili dziecko — ciągnęła rozżalona — świat byłby dla mnie światem, a tak — co właściwie mam? O, Radu, Radu — wykrzyknęła z goryczą. — Czyż nie było już innej kary dla mnie, czyż trzeba mnie było wyrzucać z gromady? Lepiej gdybyś mnie zabił na miejscu, jak chciałeś. Trzeba mnie było zostawić i pójść samemu dalej, tato i mama zabraliby mnie do siebie, a tak... — Zaczęła lamentować jak zwykle, kiedy o tym mówiła, zgodnie ze swoim cygańskim zwyczajem kołysała się całym ciałem i zawodziła z żalu i bólu.

— Cicho, Mawro, bądź już cicho — pocieszała ją Tetiana — nie lamentuj tak, bo na nic się już nie zda twój żal. Dzieciatko pewnie czeka na ciebie u Pana Boga, kiedyś cię powita, a może tak nawet lepiej dla niego.

— Powita, powita — żalonym głosem powtarza Mawra, ale opamiętawszy się niebawem, mówi innym

już tonem: — byłby już dorosłym parobkiem, może byłby gdzieś na służbie i zarabiał na siebie i mamę. Byłoby mu dobrze i mamie byłoby dobrze. A tak? Ech-che-che! — poskarżyła się znowu. — Ech-che-che!

— Może gdzieś zarabia, Mawro, kto go wie — mówi spokojnie Tetiana. — Tak już Bóg dał. Prawdę mówiąc, Mawro, nie dochowałaś wiary swemu Radu i stąd całe nieszczęście.

— Nie dochowałam, bo byłam młoda, głupia i uwierzyłam — odpowiada Mawra już spokojnie. — Zapatrzyłam się na białą pańską twarz, niecygańskie oczy, pański strój i Bóg mnie za to ukarał. Trzymaj się swego, mówi, i karze. Będzie to twoje własne złe czy dobre, ale do grzechu nie doprowadzi.

Dziewczyna słuchała w milczeniu zapatrzona jakby w dal, mimo że były przed nią tylko niskie ściany małej starej chatki, nic więcej.

— *Hryć* nie jest panem — powiedziała po chwili wymawiając imię ukochanego stanowczym i twardym głosem. — Nie jest panem, chociaż też twarz ma białą i niebieskie oczy, a na koniu jeździ jak wiatr. I kochamy się — mówiąc to wstaje i żegna się z Mawrą. — Przychodź, Mawro do nas, jeżeli w jakąś niedzielę nie przyjdę do ciebie sama.

— Ech-che-che, przyjdę — odpowiada Mawra. — A jeżeli nie przyjdiesz w niedzielę, przyjdź bodaj w dzień powszedni i powiedz swojej starej niani, kiedy ma się przygotować do twego wesela, kiedy twego chłopca zobaczy.

— Niedługo już, Mawro, niedługo — mówi Tetiana i wychodzi.

— A nie przychodź do niego do lasu co niedziela — przestrzega Mawra dziewczynę odprowadzając ją trochę. — A jak pójdiesz, zabierz mnie z sobą — żartuje i jakoś dziwnie patrzy na Tetianę. — Niechaj

raz popatrzy na starą nianię swojej kochaneczki. Przecież to na jego szczęście wychowała takie jasne i śliczne słoneczko. Bajkami karmiła, sercem piastowała, oczami pilnowała, niech jej teraz podziękuje dobrym słowem.

— Podziękuje, Mawro, podziękuje — odpowiada Tetiana skwapliwie i z powagą. — Jest dobry i szczerzy, sama się przekonasz, kiedy zobaczysz, jak bardzo mnie kocha, jeżeli mi nie wierzysz.

Oddaliwszy się już o kilka kroków od chaty, Tetiana ogląda się nagle za siebie. Czy się jej wydało, że Mawra odwróciwszy się od niej roześmiała się? Czyżby się rzeczywiście roześmiała?

Nie. Mawra przestąpiła właśnie w tej chwili próg swojej chaty i zniknęła w jej wnętrzu jak w studni. Nie. Chyba coś się jej zdawało... ale tak jej jakoś przykro!

Jakby oblana zimną wodą Tetiana z niezwykle przykrym uczuciem upokorzenia i poniżenia idzie wolnym krokiem do domu. Już tyle razy postanowiła sobie nic Mawrze nie mówić o Hryciu, o ich miłości i zawsze bierze górę jej szczerze przywiązanie do starej diablicy. Tetiana zwierza się przed nią, mówi.

I teraz też wraca do domu jak struta, z bólem w sercu i nieufnością, którą będzie do niego żywiła, póki go znów nie zobaczy, póki swoimi jasnymi i błękitnymi jak niebo, szczerymi oczami nie rozjaśni jej posmutniałej duszy, nie uspokoi, póki mu znów nie uwierzy.

Hryciu! — woła jej szczerze, gorące serce wezbrane czystą, bezgraniczną miłością. — Hryciu, przecież kochasz?

Ech-che-che! — dźwięczy jej w uszach ostrzegawcze wołanie starej Cyganki, jakby przepędzającej ja-

kiegoś drapieżnika... przeszywa ostrym bólem jej serce. — Ech-che-che!

Tetiana wybuchnęła płaczem...

Wróciwszy do domu pada na kolana w cichej świetlicy przed obrazem Matki Boskiej jak rok temu, kurczowo załamuje ręce, przyciska je z rozpaczą do piersi i czoła powtarzając raz po raz:

— Boże, czemu mi smutno? Czemu mi smutno? Smutno mi, o Boże!...

*

Kilka lat temu stary, siwy pielgrzym, co odpoczywał kilka dni u bogobojnej i miłosiernej Iwanychy Dubychy, opowiadał pewnego razu rówieśniczkom Tetiany, co do niej przychodziły, że był, a może nawet jeszcze się utrzymuje wśród ukraińskich dziewcząt zwyczaj wróżyć sobie w wigilię Iwana Kupały i wypytywać o swoją przyszłość rusałki.

— Jak? W jaki sposób? — zasypały dziewczęta wędrowca pytaniami.

Dokładnie wszystkiego nie wie, nie jest z tamtych stron, ale co zapamiętał, opowie. Późnym wieczorem przed Iwanem Kupałą pływają dziewczęta po rzece w łódkach albo, jeżeli się boją, żeby rusałki nie zwały ich pod wodę do siebie i nie przemieniły w rusałki, przechadzają się na brzegu i śpiewają różne tęskne, wabiące pieśni miłosne. Są pięknie na ten wieczór wystrojone i mają na głowie ładne wianki i śpiewając tak w czółnach lub na brzegu, zdejmują je z głowy i puszczają na wodę. Potem, wciąż śpiewając, czekają i rozglądają się, dokąd woda poniesie wianek czy może wyrzuci go na brzeg — co komu sądzone. Czasem rusałki lubią sobie poswawolić i rozrywają wianek pod wodą — znaczy to, że nie ma

dziewczyna szczęścia i nie utrzyma przy sobie ukochanego. Niekiedy znów puszczony na wodę wianek tonie — to znak, że albo dziewczyna, albo jej ukochany do roku umrze lub też rozejdą się z sobą. Czasem zatrzymuje się wianek z tej strony rzeki, skąd przybędzie wybraniec. To rusałki go przywołają i zwabiają dzięki swojej mocy, a robią to z wdzięczności, że w wigilię Iwana Kupały dziewczęta o nich wspominają, stroją się odświętnie na ich cześć, rozweselają skazane na przebywanie pod wodą rusałki swoim dziewczym, czarownym śpiewem, a one czuwają za to nad losem dziewcząt i odsłaniają go im różnymi sposobami, zrozumiałymi tylko dla dziewcząt, także w dziwnych snach przepowiadających przyszłość.

Zainteresowały się dziewczęta opowiadaniem starego pielgrzyma. Ale jakoś ani razu nie spróbowały tak sobie powróżyć. Jedne nie chciały, bo nie było czółen, drugie wymawiały się i tłumaczyły, że boją się, by ich rusałki nie wciągnęły do wody, inne wahały się, że dowiedzą się chłopcy i będą się wyśmiewali, więc też się wymawiały i koniec końcem chętnych nie znaleziono. Było to kilka lat temu. Ale w tym roku złożyło się inaczej.

Tego roku zapragnęła, Bóg wie dlaczego, sama Te-tianka dowiedzieć się o swoją przyszłość. Koleżanki i rówieśnice, którym powiedziała, że ma chęć powróżyć sobie wiankami na Iwana Kupałę, tylko czekały na wezwanie. Niech je zawoła ta najpiękniejsza, jak sądziły, i najodważniejsza dziewczyna, która zapewniała, że nie boi się niczego, ani rusałek w dzień czy w nocy, ani drwin wszystkich chłopców ze wsi, która po prostu chciała zobaczyć, dokąd popłynie jej wianek po wodzie i dokąd go skierują rusałki. Zaprosiła więc wszystkie koleżanki i rówieśnice nad rzekę nie opodal młyna w wigilię Iwana Kupały.

Zgodziły się dziewczęta, same nabrały chęci powrócić sobie puszczaniem wianków, pospacerować w jasną noc nad rzeką, pośpiewać chórem co ładniejsze piosenki i pozyskać sobie łaskę rusalek ukrywających się na dnie rzeki...

Nastał wreszcie oczekiwany wieczór. Księżyc był w pełni. Jutro Iwana Kupały, a dzisiaj noc jest jasna i gwiazdzista, chyba umyślnie tak rozkwitła, by przepowiedzieć dziewczętom, jaka będzie ich przyszłość, kto będzie przyszłym mężem.

Niby piękne ptaki zebrały się nad rzeką, która zalana światłem księżycowym wabiła swym lśnieniem między ciemną, pokrytą gęstym lasem Czabanycią a białą drogą u jej stóp.

Szeroką srebrną wstęgą toczyła się woda z szumem naprzód, wciąż naprzód. Nie wszędzie zresztą jednakowo. O, tam, gdzie jej łóżysko zwęża się na czas pewien, gdzie wychynął z jej dna potężny, olbrzymi głaz, rzeka poważnieje. Pod tym kamieniem podobnym do niewielkiej skały ukrywa kilka miejsc, strzeże ich tajemnicy; straszna to głębia, nad którą powierzchnia wody to się marszczy, to tworzy wiry.

Marszcząc się i drżąc w jakimś złośliwym i wabiącym migotaniu, rzeka stara się pochłaniać tu wszystko, co pojawi się na jej powierzchni. Nikt nie przebywa tych głębin, takich spokojnych na oko i takich zdradliwych w swoim spokoju, nikt nie próbował ich przepłynąć.

Nie są ciekawe.

Ich spokój nikogo nie przyciąga, a jeżeli nawet przyciągnie kogoś na chwilę, człowiek zmierzwszy na oko głębie przy dużym głazie odwraca się i odchodzi już się nim nie interesując. Więc też pusto na rzece w tym miejscu, nikt nie ma jej spokoju.

Nie przyszły dziewczęta same nad brzeg lśniącej

nocą rzeki. Jest z nimi Cyganka Mawra. W jakiejś starej czerwonej chustce, co niedbale opada jej z głowy, w srebrnym naszyjniku na piersiach, z dawnych jeszcze czasów, z rozburzonymi włosami chodzi wśród dziewcząt jak widmo.

Rozweselona dziewczęcą paplaniną i podarunkami, dzięki którym udało się dziewczętom ściągnąć tu starą, wyśpiewuje jakieś dziwne, monotonne pieśni w swoim ojczystym, jej tylko zrozumiałym języku. Jest jakoś zadowolona.

Porwał ją widocznie nurt tego młodego życia, jakby sama odmłodziła tego wieczoru wśród dziewcząt. Zresztą przyszła tu głównie dla Tetiany. Zachciało się Tetianie wróżyć nad rzeką, co zgodne jest z jej własnym życzeniem, więc Mawrze dziś wesoło.

Głośno odpowiada na wszystkie pytania dziewcząt, które zajrzałyby tak chętnie bodaj na chwilkę w zasłoniętą przed nimi przyszłość, i śmieje się wesoło.

Dziewczęta stanęły wreszcie, każda na upatrzonym i wybranym miejscu, ze śpiewem, jedna po drugiej zdejmują z głowy i puszczają na połyskującą wodę piękne wianki ze wstążkami, w które przystroiły się tego wieczoru — czekają.

Kiedy spadł na wodę pierwszy wianek, rozbrzmiał pierwszy głos:

Hej, kupalnocka, kupata... hej, hej, hej!...
Dziewczyzna szczęścia szukała — hej, hej, hej!...
Z kwiatów wianeczek uwiła
I na wodę go puściła.

Drugi głos:

Płyń z falą bystrą, mój wianku,
Płyń do mego, do kochanka!
Już popłynął wianek z wodą,
Niesie moje serce z sobą.

Trzeci głos:

*Lecz zwiędły kwiaty do rana,
Nie dał jej szczęścia kupała.
Hej, kupalnocka, kupała,
Nocą ziele wykopała,
Nocą kopała, warzyła,
Z rana jadłem napoiła...*

Patrzą potem wszystkie dziewczęta na wesołe fale, dokąd i jak poniosą wianki. Daleko je poniosą czy blisko? Do kochanego czy do obcego? W którym zatrzymają się miejscu przy brzegu? Czy tutaj, w tej wsi? A może w dzikich igraszkach rozerwie woda wianki, rozsypie, nie doniesie w całości do wyznaczonego przez los miejsca?...

Milczą przez pewien czas dziewczęta. Stoją wzrzucone na brzegu, patrzą, śledzą wzrokiem i całą duszą rozkołysane na wodzie wianki — tylko tu i ówdzie nuci któraś półgłosem:

*Hej, kupalnocka, kupała,
Dziewczyna szczęścia szukała!
Z kwiatów wianeczek uwiła
I na wodę go puściła.*

Wtem krzyki się rozległy i śmiechy. Wartka fala przybrzeżna porwała jeden wianek i jakby figlując wyrzuciła go na trawę. Ze dwa inne, słabo splecione, rozerwały się zaraz na początku, rozplynęły się pojedyncze kwiaty po rzece, jakby chciały ją całą obdzielić, i niebawem zniknęły z oczu.

Milczy tylko Tetiana, na nikogo nie zwraca uwagi, niczym się nie interesuje. Zatrzymała się na brzegu koło spokojnej głębinie przy olbrzymim głazie i stoi tam zamyślona. Powlokła się za nią jak jej drugi cień wróżka Cyganka.

Obchodzi ją dzisiaj przede wszystkim wianek Tetiany. Co się z nim stanie? Dokąd go poniesie rzeka?

Czy dalej w góry do pięknego Hrycia, czy wyrzuci na brzeg? Czy rozerwie na kawałki innym dziewczętom na pośmiewisko? Tylko tego jest ciekawa!

Tetiana nie zdejmuje wianka z głowy. Waha się. Nie chce przede wszystkim, żeby ktoś zobaczył, jak go zrzuci z głowy, nie chce śpiewać. Nie chce, by zwracano na nią uwagę, słowem, nic nie chce. Nic, w czym zechcieliby wziąć udział także inni.

Chce czegoś sama jedna.

I nagle chyba tego też już nie chce.

Stoi więc i waha się.

A myśli jej są już przy Hryciu. Zadaje sobie Tetiana pytanie, czy pobiorą się tej jesieni, jak zapowiedział chłopiec, czy będą jeszcze czekali.

„Wcześniej niż śnieg spadnie, będziesz w moim domu” — usłyszała z jego własnych ust i wierzy mu. Jemu jednemu na całym świecie. Wianek i woda nie powiedzą jej więcej niż on sam. On sam swoim głosem i swoimi ustami, którymi całował...

— Chcesz tu puścić wianek? — rozbrzmiewa nagle za jej plecami głos Mawry i przerywa nagle bieg jej myśli.

— Nie tutaj! — odpowiada niechętnie dziewczyna i odwraca się — czuje do Cyganki urazę, że przerwała jej rozmyślania.

— Nie tutaj, córko, nie tutaj — odradza Mawra — widzisz, jaki tu wir, nie pozwoli wiankowi popłynąć, będzie nim wciąż obracać na jednym miejscu. Idź trochę dalej i rzuć wianek, a pomyśl o swoim kochanym, czy pobierzecie się tej jesieni, czy nie.

— Pobierzemy się, pobierzemy! — odpowiada Tetiana dumnie i dodaje z irytacją: — Puszczę wianek, gdzie zechcę. — Mówiąc to oddała się o kilka kroków od Cyganki. Chciała rzucić wianek, żeby nikt jej nie widział, sama jedna, a Mawra jej przeszkodziła.

— Rzuć, gdzie chcesz, córeczko! Rzuć, gdzie chcesz! — mówi Mawra pojednawczo, ale nie rusza się z miejsca. Poirytowało to jeszcze bardziej upartą z natury dziewczynę, która nie znosiła żadnej władzy nad sobą, więc odeszła od Cyganki jeszcze dalej. I nagle jakby jakaś niewidzialna siła pociągnęła ją z powrotem na poprzednie miejsce. Wróciła, zdjęła z głowy wianek i nie wyrzekłszy ani słowa z całej siły cisnęła go tam, gdzie sterczał z wody głaz... Wianek zakołysał się mocno, pływał przez kilka chwil wkoło po cichej wodzie i jakby sterowany niewidzialną dłońią spod lśniącej powierzchni zaczął się posuwać ledwie dostrzegalnie do przodu.

Niedaleko.

Tetiana stała na brzegu pochylona, z szeroko otwartymi oczami, zastygła w bezruchu. Za nią przyczaiła się zgięta wpół Cyganka.

Chwila ciężkiego milczenia...

— O-o-o! — krzyknęła nagle Tetiana i w przerażeniu wyciągnęła rękę nad wodą. Wianek dopłynął do środka rzeki, gdzie chwycił go wir. Obracał nim chwilę na miejscu, igrał i nagle coś wciągnęło wianek w głęb. Tetiana już go więcej nie zobaczyła.

Nic nie mówiąc zwróciła pobladłą twarz do Cyganki, która też stała nieporuszenie i wpatrywała się pełnym niepokojem wzrokiem w wodę. Teraz z powagą spojrzała na dziewczynę.

— Nie ożeni się z tobą twój chłopiec tej jesieni — powiedziała bez zastanowienia — nie ożeni się.

Tetiana odwróciła się.

— Wielkie mi rzeczy! — powiedziała z dumą wzdając niepewnie wzrokiem po wodzie.

— Wielkie rzeczy, powiadasz, córeczko? — w głosie Mawry wyraźnie zabrzmiał wyrzut.

— Wielkie mi rzeczy! — powtórzyła dziewczyna tak samo dumnie, lecz jakby obcym jakimś głosem, i odwróciwszy się od wody, odeszła...

*

Znowu upłynął jakiś czas.

Nastka poszła z rodzicami gdzieś daleko na pielgrzymkę i nie pożegnała się z Hryciem. Serce ją bolało, że zaniedbywał ją przez całe niemal lato i zaglądał do niej rzadko. Nie dawała jednak nic poznać po sobie i czekała cierpliwie, aż znów wróci do niej sam, jak to już dawniej nieraz bywało, kiedy coś go z nią rozłączało. Że pojawiła się w jego życiu jakaś inna dziewczyna, nawet jej nie przychodziło do głowy. Zwykle przyczyną była ta jego dziwaczna, zmienna natura, z którą nie potrafił sobie poradzić, która albo kazała mu opuszczać na pewien czas dom, albo pracować z zapalem — nie przychodził wtedy do niej tygodniami.

Mimo to zaglądał bodaj na chwilkę, pokazywał się, o coś pytał, przychodził bodaj ukradkiem, zwłaszcza kiedy pracował, a zaczynał padać deszcz. Tego lata od czasu do czasu zajrzy do niej na chwilkę wieczorem, a w niedzielę lub święta na oczy go nie widzi...

Dokąd chodzi? — zastanawiała się zdziwiona Nastka. A może nigdzie w ogóle nie chodzi? To po pierwsze. A po drugie, czemu nie miałyby jej powiedzieć, jak to robił dawniej, gdzie właściwie przebywał, kiedy się oddalił?

Są już dawno po słowie i czekają na pozwolenie rodziców, żeby sprawić wesele. I właśnie teraz zaczyna ją zaniedbywać. Właśnie teraz. Serce ją bolało, przeczuwało coś niedobrego, w pewnych chwilach

Nastka skarżyła się bardzo na jego niewdzięczność i obojętność, na dziwny charakter, a niekiedy rozmawiając z matką nawet płakała.

Wybierała się już raz do wróżki Cyganki, która, jak opowiadano, miała jakąś bajeczną moc, ale jakoś się lękała. I wstydziła się także. Słyszała, że wróżka mieszka gdzieś samotnie w lesie, na Czabanyci, trzeba było pójść tam w czyimś towarzystwie. Nie miała Nastka z kim. A zresztą, mówiła sobie, jeżeli nawet pójdzie do niej, co wróżce powie? Że chłopak się jej sprzeniewierzył? Nastka nie wie tego z całą pewnością. Przecież wiele razy ją zapewniał, że kocha ją jedną jedyną na świecie.

Więc o co pytać? O co się dowiadywać? Że nie mógł długo usiedzieć w domu, na jednym miejscu? Była do tego przyzwyczajona. Jest już taki od urodzenia. Kto wie, czy pomoże tu wróżka. Chyba że może ktoś jakiś czar na niego rzucił? Ale kto? Nie wie tego Nastka. Jakaś dziewczyna? Która?

Wszystkie dziewczęta we wsi wiedziały, że Hryć i Nastka są po słowie, żadna między nimi nie stanie, chyba że jakaś młódka. Młodych mężatek Nastia się nie boi, jakkolwiek mówią ludzie, że są między nimi takie, co odbierają mężczyznom rozum. I Hryć się nie boi, nie jest strachliwy. On jeden na całą wieś niczego się nie boi. Więc po co iść do wróżki?

Tak sobie rozważyła wszystko Nastka i nie poszła. Dopiero kiedy zaczęli rodzice pogadywać o dalekiej pielgrzymce, poprosiła, żeby ją zabrali z sobą. Chciała się pomodlić do Boga, wyznać ze skrucą swój grzech, prosić o szczęście. I poszła. Nic nie mówiąc żadnej z koleżanek, zebrała się i poszła.

Zmarkotniał Hryć usłyszawszy, że Nastka poszła z rodzicami tak daleko, do obcego kraju, jak mówili ludzie; przecież nie wspomniała mu o tym ani słów-

kiem i nie pożegnała się. Przykro mu się nagle zrobiło i żał dobrej, serdecznej dziewczyny, co przez całe lato nie robiła mu żadnych wyrzutów, że ją zaniedbuje.

Co prawda, nie zawsze ją zaniedbywał, wtedy tylko, kiedy się spotykał z Tetianą, tylko wtedy. Po każdym spotkaniu z Tetianą wprost nie panował nad sobą, tak bardzo przypadła mu dziewczyna do serca. Gdyby mógł, już by się z nią dawno ożenił. Sam jej niekiedy mówił, że wypijała mu cały rozum z głowy, omotywało go każde jej słowo jak jedwabna nitka owija się wokół palca. Kiedy nie widział Tetiany dłuższy czas, jak na przykład teraz, bo przykuwał go ojciec do jakiejś pracy, zaczynał tęsknić do Nastki i czuł wyraźnie, że nie może się bez niej obejść. Taka jest dobra, taka zgodliwa, tak we wszystkim stawała po jego stronie i nagle odwróciła się od niego. Sam jest temu winien. Sam jeden. Nastka była zawsze jednakowa. Prócz niego nie kochała nikogo...

— Hryciu — groziła mu palcem ostatnim razem (przypomniało mu się to spotkanie) i uśmiechała się żartobliwie, a długo wtedy do niej nie przychodził. — Widocznie znalazłeś sobie drugą Nastkę, bo o pierwszej już zapominasz. Jeżeli znalazłeś, to się jej trzymaj! — mówiła, ale jednocześnie przyciągnęła go do siebie i czule objęła za szyję. — Znajdę sobie drugiego Hrycia. Nie kończy się świat na naszej wsi i są inni chłopcy prócz Hrycia, co mieszka przy granicy. Jak chcesz, Hryciu — dodaje i z uśmiechem zagląda mu w oczy, obejmuje i pieści, póki się Hryć nie uśmiechnie, nie pochyli ku niej i znów się z nią nie pogodzi.

Tak było zawsze. Zawsze była jednakowa, dobra, pobłażliwa i chytra jak lisiczka; trudno Nastki nie kochać. Jej błękitne jak niebo, zawsze wesołe oczy

nie wiedziały, co to gniew, usta witały go uśmiechem.

A teraz poszła z pielgrzymką i nie powiedziała ani słowa, teraz chyba po raz pierwszy w życiu poczuła prawdziwy żal do niego. Czyżby się dowiedziała o Turczynce? — pomyślał z przykrością Hryć, który jakby się ocknął z zamroczenia. — Boże! A jeżeli już się dowiedziała — chociaż nie wiadomo skąd, bo jak i kto mógłby jej powiedzieć! — lepiej, gdyby jej sam powiedział o wszystkim. Przynajmniej dowiedziałaby się prawdy. I niech się sama przekona.

A jeżeli się gniewa, Hryć ją przeprosi. Jest mądra, przebaczy mu i pogodzą się, jak pogodzili się już nieraz. Przecież dobra jest dla niego, dobra jak chleb, bodaj do rany przyłoż. Wszystko można z nią zrobić. Nie sposób postąpić inaczej, szkoda Nastki. Żal mu rozstawać się z nią, od dawna ją kocha.

Tak się rzeczy mają. Żal mu rozstawać się z jedną, bo kocha ją od dawna i nawet się z nią zaręczył, drugiej nie jest w stanie porzucić, serce mu nie pozwala. Niech się same między sobą dogadają, jeżeli którejś nie dogodzi...

Kiedy wróciła Nastka z pielgrzymki, Hryć podszedł do niej. W końcu się jej doczekał. Wyszła do niego jakaś inna niż zwykle. Wysoka, poważna i jakby zmizerniała.

Spojrzał na nią i żal mu się zrobiło. On był temu wszystkiemu winien — mówiło mu sumienie.

Zaczął mówić.

Dlaczego nic mu nie powiedziała, że idzie na pielgrzymkę? — pytał witając się z nią. — Może by się do nich przyłączył, poszedłby również. Czemu przed

nim ukryła, że idzie, i poszła bez niego? Czy jest jej już obojętny?

Zamiast odpowiedzieć, Nastka rozplakała się.

Kocha go nadal, jak kochała dawniej, ale Hryć nie jest z nią szczery. Unika jej. Nie powinien tak postępować. Niech jej powie prawdę, dokąd teraz chodzi, wtedy mu przebaczy i wszystko będzie dobrze. Ale pamiętaj, swaty przysyłaj — dodała z powagą — rodzice dłużej czekać nie chcą. „Przez tego Hrycia pędziwiatra — mówią — będzie tak siedziała do siwego włosa”. Tłumaczyła, że poszła na pielgrzymkę, bo tak ją serce bolało. Żeby w modlitwie od niego się odżegnać i od swego grzechu. Niech o tym wie. Mówi mu to raz na zawsze. A teraz niech się przyzna, co ma na myśli! Czy kocha jakąś inną dziewczynę? Jeżeli tak, to niech ją kocha.

Hryć przyciąga ją do piersi i tuli.

— Jeżeli powiem, to co z tego będzie?

— To, co trzeba, nie martw się — odpowiada Nastka. — Powiedz tylko.

— No więc — mówi w końcu Hryć — znasz Tetianę, córkę Iwanychy Dubychy z trzeciej od nas wsi? Z czarnymi brwiami, pierwszą bogaczkę? Ona mnie kocha.

Nastka zbladła.

— Turczynka?

— Turczynka.

— Ta z półksiężycami w uszach, co tak brwi podnosi i mierzy każdego od stóp do głów?

— Właśnie ta.

— Do ciebie się przyczepiła, Hryciu? — ledwie otwiera usta Nastka.

— Kocha do szaleństwa...

— A ty?

Hryć się śmieje i znowu ją tuli do siebie.

— Obie was kocham, obie jesteście jednakowe. Jedna niebieskooka, druga czarnobrewa. Obieście dziewczyny, tylko Nastka nie jest Turczynką.

Nastka spoważniała jak nigdy dotąd.

— Hryciu — mówi — czyż masz dwie dusze, że dwie nas kochasz, do dwóch się zalecasz i obie nas oszukujesz? Ale wiedz!... — dodała i jej błękitne oczy nagle rozbłysły. — Nastki nie porzucisz. Nastki nie oszukasz.

— Dotąd żadnej nie oszukałem — broni się Hryć — jeszcze do żadnej nie posłałem swatów.

— Ale drogę do niej znałeś i mówiłeś jej, że kochasz.

— Znałem, Nastusiu, i teraz jeszcze znam — odpowiada Hryć. — Żal mi Turczynki. Będzie lamentować. Będzie przeklinać i mnie, i ciebie. Co teraz zrobić?

— Pobierzemy się — mówi stanowczo Nastka i całym ciałem lgnie do Hrycia, obejmuje go jak wąż.

— A Turczynka, Nastko? Przecież jej nie zabiję. I kocha mnie naprawdę, jak ty.

Nastka spuściła oczy, nachmurzyła się, przez chwilę coś jakby rozważała.

— Nie martw się z jej powodu — odezwała się wreszcie. — Biorę ją na siebie, sama z nią pogadam, żeby wszystko było dobrze, żeby nie przeklinała nas, ani mnie, ani ciebie.

Hryć spojrział na Nastkę, która stała tuż przy nim, nieomal go dotykając piersiami. Była znowu taka sama jak dawniej, dobra i życzliwa, znowu wiedziała, jak wszystkiemu zaradzić, kiedy on nie miał pojęcia, co należy zrobić. Nie zmieniła się. Mądra była, że wszystkim mądrze sobie poczyniała.

— Co z nią zrobisz? — zapytał w końcu nieśmiało, niemal pokornie.

Nastka roześmiała się. Potem zarzuciła mu obie ręce na szyję, wbiła w niego swoje błękitne, błyszczące teraz oczy, które tak lubił, i zapytała:

— Bardzo kochasz Turczynkę, Hryciu?

Hryć odepchnął ją.

— Daj mi spokój, Nastko — zachnął się, poirytowany jakoś tonem jej głosu. — Rób, co chcesz, ale zostaw mnie w spokoju. Skoro ci wszystko powiedziałem, daj mi teraz spokój...

— A Turczynka?

— Zabij ją, jeżeli stoi na twojej drodze. Ja jej nie zabiję.

— Ja też nie, Hryciu — odpowiedziała Nastka i roześmiała się, pokazując białe zęby. — Ja też nie, Hrycuniu!

— Rób, co chcesz. Obie jesteście jednakowe! Tylko zostaw mnie.

— Obie jesteśmy jednakowe, powiadasz — podchwyciła Nastka — więc ci wszystko jedno, do której posłać swaty. Od dawna jestem twoja... pierwszy dałeś mi słowo, a teraz już mnie nie porzucisz, mnie nie oszukasz...

— A Turczynka? — znowu przypomniał Hryć.

Usta Nastki wykrzywiły się szpetnie.

— Nie martw się — powiedziała krótko — nie zabiję jej.

— Ja też nie, Nastusiu. A co z nią zrobisz? — niespokojnie dopytywał się Hryć.

Oczy Nastki znowu się zaiskrzyły i aż pozieleniały, roześmiała się jak poprzednio.

Hryć się rozżłościł.

— Czego rechociesz? Wcale nie chce mi się śmiać.

— A mnie się chce — odpowiedziała Nastka. — Miej rozum, Hryciu — zaczęła mu teraz perswadować ze swoim zwykłym spokojem i rozważą, dzięki

której zawsze brała nad nim górę, nad jego rozdwojoną naturą. — Rzeczywiście myślisz, że jesteś jeden na świecie? Że jeżeli nie wyjdzie za ciebie, to nie znajdzie już innego? Uchowaj Boże przed takim rozumem jak twój!

Hryć umilkł.

— Wiem, że znajdzie — odezwał się po chwili — ale będzie przeklinać i narzekać...

— Kto, Hryciu? Turczynka? — pyta Nastka. — Rzeczywiście się jej boisz?... Kto będzie przeklinać? — powtarza wyzywająco i takim tonem, jakby z góry zaprzeczała wszystkiemu, co Hryć powie.

— Iwanycha Dubycha — odpowiada Hryć. — Ta żartów nie lubi...

— Niech tam — mówi lekceważąco Nastka. — Przed przekleństwami potrafię nas obronić. Opowiedz mi tylko o niej wszystko, co wiesz...

Hryć się zmieszał.

— Co opowiadać?... Ładna jest... i tyle...

— Czy rzeczywiście jest taka bogata?

— Tak ludzie uważają. Nie liczyłem jej trzód ani bydła do wodopoju nie pędziłem. Powiadają ludzie, że pierwsza we wsi bogaczka, więc pewnie tak jest.

— Tak, Hryciu, nie martw się — znowu uspokaja ją go Nastka. — Wyda się za męża.

— Wiem, że się wyda. Żal mi jej tylko.

Nastka wyprostowała się, a była wysoka.

— A mnie nie żałujesz? — powiedziała, a w głosie jej zadźwięczała nuta od dawna wzbierającej goryczy, słyhać było tłumione łkanie.

— Pewnie, że żałuję, zazulko. — uspokajał ją Hryć. — Nawet siebie też mi żal, że dwie was pokochałem, a żadnej nie mam. Jedną bym wziął i drugiej nie porzucił. Jedną bym kochał i drugą pieścił. Do jednej bym swaty posłał, z drugą poszedł do słu-

bu. — Mówiąc to jakoś dziwnie się roześmiał. — Cóż mam robić?

— Dwóch nie kochać.

— Nie kochajcie... wy! Rozstań się ze mną, Nastko! Czego mnie trzymasz? Jak się ze mną rozstaniesz, ożenię się z Dubiwną...

Nastka rozplakała się.

— Nie boisz się Boga? — zapytała przez łyzy. — Teraz tak mówisz? Jakie masz serce?...

— Staniemy kiedyś wszyscy przed Bogiem. Ja, Dubiwna i ty. Cicho, nie płacz. Słyszysz?... *Ja, Dubiwna i ty!* Bóg nas rozsądzi. Cicho, nie płacz — pociesza ją Hryć i znowu tuli dziewczynę. — Co jestem winien, że tak się stało? Czy tego chciałem? Tak było sądzone, a może ktoś czar na mnie rzucił — ostatnie słowa powiedział z uśmiechem, ale Nastka nie zwróciła na to uwagi.

— Czegoś chodził do Turczynki, kiedy już miałeś mnie? — zapytała.

— Bo czar na mnie rzuciła — odpowiada Hryć. — Pierwsza czarownica. Najładniejsza z całej wsi. Czarnymi brwiami i oczami mnie kusila, trzymała przy sobie czerwonymi makami, co je we włosy wpinała... I oślepiła mnie, rozum odebrała. Co chcesz? Chłopcem przecież jestem i po to mam serce... Cicho, nie płacz! — perswaduje jej. — Jeszcze nie umarłem, jak kiedyś umrę i zostaniesz wdową, wtedy lamentuj i rozpaczaj, a teraz śmieję się. A jak nie chcesz się śmiać, to kochaj mnie jak dawniej, bo inaczej rzucę cię i pójdę do Dubiwny. Ta nie płacze.

Zadrżała Nastka usłyszawszy te słowa, uspokoiła się i otarła łyzy.

— Kocham cię, Hryciu... mój przecież jesteś — powiedziała i zbliżywszy się, objęła go czule jak przed chwilą. — Jesteśmy po słowie, Hryciu... Słyszysz? —

pyta i prosi, ale jednocześnie grozi niespokojnie migoczącymi oczami. — Jesteśmy po słowie. Mnie nie oszukasz.

— Już słyszałem. Będzie temu koniec? — rozgniewał się nagle Hryć. — Powiedziałem ci całą prawdę, więc daj mi już teraz spokój. Czego chcesz? Żebyś poszedł w świat, zszedł ci z oczu? Nic trudnego. pójdę.

Nastka znów mu zarzuca ręce na szyję.

— Nie w świat pójdiesz, Hrycuniu, tylko do ślubu — uspokaja go i przemawia jak do chorego.

— Do ślubu pójdziemy... ale... — Hryć urwał nagle i odsunął od siebie dziewczynę. Wiedział, że potrafi się na wszystko odważyć i bał się tego.

— Nigdy więcej nie chodź do Turczynki — surowo i poważnie nakazuje mu dziewczyna wpatrując się w niego swymi jasnymi oczami, które w tej chwili aż pociemniały pod wpływem toczącej się w niej walki wewnętrznej, i dodaje: — Żebyśmy się przez nią nie pobrali?... Inny do niej pójdzie. Nie zginie Turczynka bez ciebie, jest bogata, Hryciu, a ja... — głos się jej załamał. Łzy napłynęły jej znowu do oczu, zasłoniła twarz rękami.

— Nie bój się, cicho! — uspokaja ją Hryć. — Alboż cię rzucam?... Nigdy więcej nie pójdę do Turczynki. Nie wierzysz? Może dlatego, bo powiedziałem, że jest najładniejsza z całej wsi? Rzeczywiście jest ładna, prawdy w zanadrzu nie ukryjesz — mówi Hryć uśmiechając się pod wąsem. — Nie bój się...

Nastce znowu oczy rozbłysły.

— Hry-ciu! — pogroziła mu ręką. — Nie oszukasz mnie, jeszcze raz ci powiadam, a do Dubiwny nie chodź.

Nic nie mówiąc Hryć odwrócił się, odszedł od niej i po kilku krokach zawołał:

— Bądź zdrowa!

Nastka nie odpowiedziała, ale rozmyśliwszy się nagle, w jednej chwili znalazła się przy nim.

— Nie pójdziesz?

Hryć się obejrzał.

— Nie pójdę!

— Trzeba z tym skończyć, Hryciu.

— Trzeba.

— Sama' zrobię koniec. Nie pokazuj się jej tylko na oczy, a o nic innego się nie martw.

— Nie martwię się! — odpowiedział Hryć. — Same się martwicie. Jesteście wszystkie jednakowe. Daj mi spokój... — i poszedł.

— Hryciu, szykuję ręczniki...

— Szykuj na jesień...

— Przecież jesień już za pasem...

— No to dobrze.

— Bo inaczej utopię się, Hryciu, zginę! — grozi Nastka.

— Nie bój się! — powiedział Hryć zatrzymując się. — Wy nie giniecie. Prędzej umrę ja...

— Nie dam ci umrzeć, Hrycuniu...

— Wielkie mi rzeczy! — wyrwało się niespodzianie Hryciowi, po czym umilkł od razu i odszedł...

*

Stary Andronati przywędrował do wsi, w której mieszkał Hryć z rodzicami, i obszedł wszystkie domy chyba już drugi raz prosząc o jałmużnę. Znowu jak zwykle obdarowała go najhojniej niebieskooka Nastka. Chętnie dawała mu jałmużnę, bo dziękował tak szczerze i wymownie, tak potrafił przemówić do serca, że nasłuchać się nie mogła, kiedy tak mówił.

Tak samo tym razem. Podziękowawszy i pobłogo-

sławiwszy ją chyba z dziesięć razy, kilkakrotnie ukłonił się jeszcze nisko młodej, żwawej dziewczynie, która nie tylko że miała hojną rękę, ale teraz nawet mu wrota otworzyła, żeby się nie trudził. I jakoś wciąż się koło niego uwija. Odprowadza go, mile rozmawia, radzi, żeby oszczędzał w górach stare nogi, bo ciężko chodzić po górach tym, co się tu nie urodzili...

Mówi tak i nagle przestaje. Stoi chwilę, a potem przysiada i prosi starego, żeby usiadł. Zdziwił się dziadek, nie usiadł, oparł się tylko na kiju i patrzy na nią. Jaka dobra i serdeczna jest ta dziewczyna, jaka miłosierna! — I nie od dzisiaj jest taka, odkąd ją zna, zawsze taka była. — Boże jej błogosław! Boże jej błogosław! — powtarza raz po raz i zamierza już iść dalej, ale Nastka wstaje i zatrzymuje go.

— Dziadku — mówi — chcę dziś z wami o czymś porozmawiać. Siadajcie albo postójcie, muszę to wam powiedzieć.

Zdziwił się stary.

— Mów, dziecinko — powiada — czego ci trzeba czy co chcesz wiedzieć, a ja lepiej już postoję. Przyzwyczałem się, wciąż jestem na nogach, nie trudno mi postać.

— Dziadku Andronati — zaczęła Nastka wodząc jasnymi oczami gdzieś po szczytach, jakby coś sobie przypominając i zbierając myśli. — Znacie mnie, dziadku. Mnie i Hrycia Donczuka, z którym nieraz rozmawialiście, znacie nie od dzisiaj. Wiecie, kim są moi rodzice i jego. Posłuchajcie więc, co powiem. A kiedy powiem, wtedy poproszę was o coś.

— Mów, duszko, mów, gołąbko — odpowiada stary i tylko się opiera na kiju patrząc na dziewczynę uważnie, żeby ani słowa nie puścić mimo uszu. Taka jest przecież miłosierna, taka błękitnooka. Dobre dziecko, co tu gadać. Nigdy go nie wypuściła z chaty z pusty-

mi rękoma, a często posłanie mu robiła na noc w kąciku, kiedy w innych chatach patrzono na niego nieufnie i nawet czasem do obejścia nie wpuszczano.

— Kochamy się od dawna, dziadku Andronati, jak się pewnie sami domyślacie, ja i Hryć Donczuk — spowiada się dziewczyna.

Stary uśmiechnął się.

— To mi nowina! — powiedział i dodał z ożywieniem i nutą serdeczności w głosie. — Któż by go nie kochał! Wiele chodziłem po świecie, ale takiego ładnego i dzielnego chłopca jak ten Hryć... Hryć Donczuk, jak mówisz, nigdzie nie widziałem. Kiedy jedzie na koniu, wygląda jak sam święty Jerzy. Ładny chłopak, postawny, Boże mu błogosław! A w dodatku dobry i rozumny, serce ma miękkie. — Stary jakby coś sobie nagle przypomniał, roześmiał się. — A biega pewnie za ładnymi dziewczuchami, prawda, gołąbko? — zapytał wciąż się śmiejąc.

— I tak, i nie bardzo — odpowiada Nastka trochę się ociągając.

— W tym właśnie cała sztuka, gołąbko moja biała...

— Hryć kocha naprawdę tylko mnie...

— A skąd wiesz, jak chłopcy kochają? — przerywa jej stary. — W dodatku tacy jak twój Hryć. Czy jedną, czy kilka?

— Sam mi mówił.

Stary aż gwizdnął przez zęby ze zdziwienia i znowu się śmieje.

— Więc czym się martwisz, jeżeli cię kocha? — zapytał. — A może przestał już kochać i chce swaty posłać do innej?

— E, nie, dziadku — niecierpliwie zaprzecza Nastka. — Hryć taki nie jest. Bieda tu z czymś innym, pomóżcie nam.

— Ja? Czymże wam pomóc? — zapytał. — A wasi ojciec i matka, czyż nie chcą, żebyście się pobrali?

— Chcą, dziadku, nie sprzeciwiają się. Pobrać się pobierzemy, byle tylko... — i urwała.

— Byle co? — natarczywiej dopytuje się stary. — Do czego wam tu jestem potrzebny? Stary jestem i biedny, sam na łasce ludzkiej, z tego żyję, co mi ludzie dadzą.

— Wiem, dziadku — mówi Nastka serdecznie. — Ale jak nas tym razem poratujecie, to kiedy się pobierzemy, weźmiemy was do siebie. Do końca życia będziecie u nas, będziemy was doglądać, póki Bóg wam żyć pozwoli.

Dziadek wybuchnął śmiechem.

— Mówisz tak tylko, dziewczyno — przekomarza się — mówisz tak tylko, że weźmiecie starego Cygana do siebie. A jak się wydasz za męża, nawet znać mnie nie zechcesz!

— Nie, dziadku — śmieje się Nastka z nieufności starego. — Nie jesteśmy tacy, dziadku. — Nie jestem taka zła i Hryć do takich ludzi nie należy. Samiście powiedzieli, że serce ma miękkie. Więc nam wierzcie!

— Mów, o co chodzi! — powiada stary już zaciekawiony. — Trzeba wam jakiegoś ziela. Nie mam nic przy sobie. Trzeba by dopiero nazbierać.

— Ech, nie, dziaduniu, nie trzeba ziela — zaprzecza Nastka — tylko waszego starego rozumu i mądrego słowa.

— Sło-wa? Aha! — przeciągnął stary ze zdziwieniem.

— Słowa, dziadku, i rozumu...

— Powiedz, niech się wreszcie dowiem.

— Dziadku — znowu zaczyna Nastka i głęboko wciąga powietrze, jakby zamierzała coś pchnąć z całej siły. — Dziadku — głos jej zadrzał. — Słuchaj-

cie: za górą Czabanycią, za Białym Kamieniem, jak się u nas mówi, mieszka pewna wdowa, młynarka, Iwanycha Dubycha. Bogobojna jest Iwanycha Dubycha. Najbogatsza we wsi, miłosierna dla biednych. Wiem to o niej. Ma stara córkę. Jedynaczkę, dziadku, wypieszczoną, ptaszynkę, nazywają ją ludzie Turczynką.

— A-ha! — znowu przeciągnął stary i nagle coś mu się chyba przypomniało. Nic jednak nie powiedział, czekał.

— A ta Turczynka, jak ją ludzie we wsi nazywają, jest czarownicą i zaczarowała Hrycia. Może mu złym zieleń serce zabrała, stanęła na naszej drodze, czarnymi brwiami ją przegrodziła. Swaty już u mnie byli, jesteśmy po słowie, ale nie ma jeszcze w sercu Hrycia spokoju. Mnie obejmuje, a Turczynkę kocha, mnie całuje, a do niej tęskni. Nie może jej zapomnieć, wciąż mu się śni, z czerwonymi kwiatami we włosach, z czułymi słowami na ustach. Ratuju, dziadku — błagała dziewczyna składając ręce jak do modlitwy. — Znasz przecież Hrycia, wiesz, jakie ma miękkie serce, będzie się wahać między nami. Ciężko mu będzie żyć u mnie w domu. A wszystko to przez nią, przez czarne brwi i złe ziele, przez jej zaklęcie. — Powiedziawszy to Nastka umilkła — wydawała się bliska omdlenia, ledwie się trzymała na nogach. Stary zamyslił się.

— Powiadasz, że bardzo ładna? — odezwał się po chwili.

— Ładna jak księżniczka. Mówi Hryć, że brwi ma czarne... Jak ta jasna gwiazda oczami wabi, kwiatami czaruje. Co robić, dziadku? Ratuju!

— I mówisz, że bogata?

— Ponoć najbogatsza we wsi.

— I matka jest pobożna?

— Jak zakonnica.

— Miłosierna dla biednych?

— Tego już nie wiem. Mówią ludzie, że bardzo dobra, ale bardzo surowa. Niczym jakaś wielka pani.

— A córka czaruje? — w głosie starego zadźwięczało niedowierzenie.

— Brwiami i zielem, i czerwonymi kwiatami, w które się wciąż stroi, wkłada we włosy... — Oj, dziadku! — niemal jęknęła dziewczyna z rozpaczą. — Ratuj!

— Cóż ci tu mogę poradzić, gołąbeczko? — zapytał dziadek i zamyślił się. Szkoda, by stracił Hryc miłość tej białej Nastki, i nie będzie dla Hrycia dobrze, jeżeli rozdwoi się jego serce. Tak samo jego Mawra — dwóch pokochała i w końcu złamała sobie życie.

Stary westchnął i chyba pochylił się jeszcze bardziej opierając się na kiju.

— Powiedz, co robić, a zrobię to dla ciebie. Ziela tylko nie mam, sił mi brak, żeby je zbierać. Może zamówię, to jedno jeszcze potrafię. Słowem Dubiwnę odstraszę, nic innego nie mogę, starość nie pozwala... Gdyby tu była Mawra...

Nastka ożywiła się. Jej błękitne jak niebo i zwykle dobre, wesołe oczy zamigotały nagle jakimś dziwnym, zielonkawym odblaskiem.

— Nauczę was, dziadku — powiedziała. — Już sobie obmyśliłam, jak ją przestraszyć, żeby zostawiła mego Hrycia w spokoju. Pomóżcie mi. Czyż wam nie żal Hrycia, żeby sobie życie zmarnował — ze mną się ożeni, a bez niej żyć nie potrafi! Wpierw pogrozę jej z waszą pomocą, a jeżeli nic to nie pomoże... wiem, dokąd pójdę... Mieszka na Czabanyci pewna wróżka, potrafi wszystkiemu zaradzić... Do niej właśnie pójdę. Ale wpierw idźcie wy i pogróżcie jej. Pójdziecie, dziadku? — dodała prosząco.

Dziad wciąż rozmyślał.

— A zaprosisz dziadka na wesele? — niby to się targował, ale myśli jego wciąż krążyły wokół Hrycia...

— Och, dziaduniu, przyjdźcie! — zawołała dziewczyna uradowana. — Powtórzcie tylko moje słowa Dubiwnie i dobrze ją postraszcicie, a potem jeszcze sami jej przymówcie.

— Więc mów, co chcesz, gołąbeczko — rzekł stary. — Wszystko zrobię dla szczęścia Hrycia. Jak powiem słowo, to będzie powiedziane, powiem zaklęcie, to będzie zaklęte. Niech Hryć ma wreszcie spokój!

— Tak, dziaduniu — podchwyciła Nastka i powtórzyła: — Niech Hryć ma wreszcie spokój!...

— Więc powiedz, gołąbeczko, co mam zrobić, co chcesz? — znowu zapytał stary.

Nastka wyprostowała się, odetchnęła pełną piersią i powiedziała:

— Znajdź, dziadku, Dubiwnę, poproś ją o jałmużnę, pobłogosław i tak jej powiedz:

— Słyszałem, Turczynko, że kochasz Hrycia, najładniejszego chłopca znad węgierskiej granicy, że czarujesz złymi kwiatami i słowem, że zło wyrządzasz i szczęście zabierasz.

I słyszałem, Turczynko, że Hryć cię nie kocha, bo już od dawna inną oblubował. Wybrał sobie niebieskooką Nastkę i już wkrótce ją poślubi.

Czego chcesz od niego, piękna Dubiwno? Żeby porzucił narzeczoną i z tobą się połączył? Przecież przeklnie cię nie tylko narzeczoną, przeklną cię wszyscy ludzie, co o tobie usłyszą. Pośmiewiskiem będziesz we wsi i będziesz chodziła smutna jak mara.

Słyszałem też, Turczynko, że bogata jesteś, więc znajdziesz chłopców bez Hrycia. Wiedz, że Hrycia narzeczoną przez ciebie płacze, ma żal do ciebie i strasznie cię przeklina. Jeszcze cię Hryć nie znał, a

już ją kochał, ciebie pieścił, a do niej już posłał swaty. Dlatego z nią się ożeni wcześniej, niż swaty do ciebie pośle.

A słyszałem to wszystko, co mówię, Turczynko, od tej dziewczyny, którą bierze Hryć za żonę. Sam się jej skarżył, że jesteś temu złemu winna, żeś go wabiła, otumaniła. Czarne brwi unosiłaś, niby to się dziwiłaś, a rozum mu przy tym odbierałaś. Niby to się stroiłaś w maki czerwone, ale z drugiej strony wabiłaś go nimi. Po lesie błędziłaś, z echem igrałaś, a z drugiej strony na pokuszenie go wodziłaś...

Opamiętał się teraz, odżegnuje się od ciebie, czarnych brwi się boi i jasne kocha. Nie przyjdzie już więcej do ciebie, nie czekaj, a jak go zobaczysz przypadkiem na czarnym koniu, odwróć się, żeby ludzie nie wiedzieli, żeś Hrycia kochała i odbierałaś go innej dziewczynie.

Hryć, mówię ci, chodzi z Nastką od dawna i ciebie, Turczynko, nawet nie wspomina. Przestał cię kochać, czarownico, i nie będzie więcej przychodzić do ciebie. Pożegnaj się z nim.

— Tak, dziadku! — skończyła wreszcie Nastka. Wszystko to mówiła jednym tchem i teraz odetchnęła z ulgą, jakby jej kamień spadł z serca. Odwróciła się.

Dziadek dłuższą chwilę milczał nad czymś się zastanawiając i wreszcie rzekł:

— Lepiej teraz, niż gdy będzie już za późno. — Przypomniała mu się znowu Mawra i zasepił się, zastanawiał się jeszcze chwilę, aż odezwał się znowu: — Nie teraz jej to powiem, córko, co każesz, lecz po waszej trzeciej zapowiedzi, żeby nie miała wiedźma czasu i nie mogła przeszkodzić weselu. Czarne brwi od dawna czynią zło, a kto nie wie, jak się przed nimi bronić, przepada jak topielec w głębinie. Chwała Bogu, córko, że jesteś błękitnooka, że zła nie czynisz

i dobrem ludzi darzysz. Powtórzę jej wszystkie twoje słowa i dodam jeszcze od siebie, co sam tylko wiem. Niech idzie swoją drogą i nie przegradza Hryciowi drogi do szczęścia. Modłę się za niego, od dawna już się modłę, jest dla mnie jak dziecko rodzone, wszystko dla niego zrobię. Już się niczym nie martwicie, moje dobre dzieci, chyba tym tylko, żebyście ładne wesela sprawili. Biednych też sprostcie. O dziadku nie zapomnijcie. Dziadek wam zaśpiewa, skąd Hryć pochodzi, czemu się tu znalazł podobnie jak dziadek. Szczęść wam, Boże, córko błękitnooka, a Hrycia pilnuj, broń go przed nią. Błyśnij oczami jak tamta czarownica, wiemy oboje, jaki jest miękki, pójdzie za tobą, a o *tamtej* zapomni. Dziadek zrobi swoje. Dubiwnę odstraszy, będzie stał na straży jego szczęścia — wszystko będzie dobrze.

Dziadek skinął dziewczynie głową i nie mówiąc już ani słowa odwrócił się i poszedł. Nastka pobiegła do domu, zabrała się do pracy. Pracuje i śpiewa...

*

Było to ze trzy-cztery tygodnie przed drugim jesiennym świętem Matki Boskiej. Na polecenie ojca Hryć wybrał się znowu do sąsiedniej wsi po zakupy i skierował konia tym razem na Białą Ścieżkę na Czabanyci. Już od kilku tygodni nie przyjeżdżał tu do Tetiany. Po pierwsze nie miał czasu, bo trzymał go ojciec przy pracy jak na łańcuchu, po drugie — bał się Nastusi. Mimo że taka dobra i pobłażliwa, od czasu gdy się dowiedziała o jego miłości do Tetiany, gotowa była teraz popędzić za nim aż tutaj, byle tylko nie dopuści do jego spotkania z Dubiwną...

Jadąc teraz stępa rozmyślał Hryć o obu dziewczętach. Jak się to skończy?

Z Nastką musi się ożenić, już swaty do niej posłał. Co będzie z Tetianą, sam jeszcze nie wie. Po drugim święcie Matki Boskiej odbędzie się jego wesele z Nastką, a tamta nic nie wie, oczekuje swatów.

Od dawna jej nie widział. Co prawda, kilka razy przyjeżdżał tu ukradkiem, ale tak się jakoś ostatnio składało, że kiedy Tetiana przychodziła do lasu, Hryć miał robotę w domu, kiedy zaś on przyjeżdżał ukradkiem w niedzielę na spotkanie, matka zatrzymywała dziewczynę w domu i Tetiana nie przychodziła. Tak oto rozchodziły się powoli ich drogi, mimo że się kochali. Bóg wie, czy to nie lepiej, jakkolwiek miła mu jest bardzo. Jeszcze jak jest miła jego sercu! Ale nadaremnie...

Zobaczyć się zobaczą, mimo że Nastka jest temu przeciwna. Dał co prawda Nastce słowo, że więcej nigdy nie pójdzie na spotkanie z Tetianą, ale wcale się z tego powodu nie martwił. Co będzie, to będzie, a kochać można. Z Nastką się żeni, a Tetiana?

Tetiana? — powtarzał natrętnie jakiś wewnętrzny głos przypominający mu chyba głos Nastki, ale milki niebawem.

Co z nią zrobić?

Nie sposób ożenić się z dwiema. Niech się same z sobą dogadają, skoro tak się złożyło. Niech zrobi coś Nastka, przecież powiedziała, że bierze tę sprawę na siebie. Ma rozum, na wszystko potrafi znaleźć radę, kocha go, wie o Turczynce, niech coś teraz zrobi. Zabić jej nie zabije... — A co Hryć tu pomoże? Żeby w krzyk uderzyły? Dziewczeta są wszystkie jednakowe, same źle robią, a potem płaczą i trapią się.

Co mu po nich? Dały mu może szczęście?

Hryć spoważniał, westchnął. Jakie tam szczęście? Że kocha dwie jednocześnie? Tyle tego szczęścia, że było mu w lesie z Turczynką jak w raju, że go szcze-

rze kochała. Ale czyż długo to trwało? Nagle stanęła między nimi Nastka i wszystko obróciła wniwecz — przyszedł kres. Dobra jest Nastka dla niego i serdeczna, nie masz od niej lepszej... I wcale mu nie obrzydła, nie dlatego pokochał Turczynkę. Nie, zapadła mu w duszę Dubiwna i nie jest w stanie jej zapomnieć...

Ale co z nią teraz począć? Z jej matką? Iwanycha Dubycha żartów nie lubi. Gdyby się bodaj zobaczyli, posłali sobie uśmiech, lżej by mu było na sercu, cokolwiek miałoby być, a tak...

A dalej? Co dalej? — zadał sobie pytanie Hryć, lecz odpowiedzieć nie potrafił.

Dalej... „Jakoś to będzie — powiedziała mądra Nastka. — Tetiana jest piękna i bogata, wyda się za mąż bez ciebie. Czego się martwisz?”

Bo rzeczywiście. Czego się martwi? Dziewczęta też mają rozum. Niechaj się same martwią. Kochały także. Kochała także Tetiana. Dlaczego się teraz schowała? Dowiedziała się o jego ślubie z Nastką? Może się dowiedziała...

Och, Turczynko, ptaszyno moja, jakie masz serce?...

Jedzie tak Hryć zastanawiając się nad sobą i dziewczętami, mija znajome miejsca przy Białej Ścieżce, spogląda to w lewo, w głąb przepaścistego jaru, to w prawo na Czabanyć z Białym Kamieniem, gdzie się z nią również spotykał. I jakoś się spodziewa, że skądś wyjdzie do niego Tetiana. Strojna, uśmiechnięta, z czerwonymi kwiatami we włosach i powie jak zwykle: To ja.

Cóż z tego, że się rozgląda, że tak bardzo pragnie zobaczyć ją i uspokoić swe serce, ona nie przychodzi. Nie przychodzi i głosu jej nie słyhać.

Wzdycha zasmucony Hryć, chmurzy się i ściąga brwi. Powinna była wyjść, pragnie tego jego serce,

przyszedł tutaj. Co prawda, swatów nie przysłał, jak obiecał, nie ożeni się z nią, pograży ją w smutku, ale któż tu jest winien? Czyż tylko on sam? Oboje są winni...

Więc niechby przyszła, niechby jeszcze kochała. Niechby tu była, była taka sama jak przedtem... bo-daj jeszcze raz... jeden...

— Tur-czyn-ko! — sam nie wiedział, jak wyrwało mu się z ust to wołanie.

Turczynko! — odpowiedziało echo z przeciwnej, zalesionej strony góry i przebrzmiało.

— Jesteś tu? — poniósł się znowu pełen tęsknoty okrzyk... — Hryć czekał.

Tu-u — powtórzyło słabe echo jego własnym głosem i umilkło... Nasłuchiwał ze wszystkich stron jakiegoś szelestu, pragnął go tak bardzo, ale nic się nie poruszyło...

Zadumał się Hryć — nie czekał już więcej. Wiedział. Już jej teraz nie zobaczy. Pewnie się dowiedziała, że Hryć się żeni z inną, więc nie przychodzi tu, płacze...

Szedł zamyślony i nawet nie zauważył, że niebo nad nim zasnuło się niepostrzeżenie chmurami. Niebawem zimny wiatr rozkołysał drzewa, złowrogo zagrzmiało, a po chwili zaczęło błyskać. Raz po raz i tak oslepiająco, że spłoszył się czarny koń Hrycia, zaczął stawać dęba.

Nic dobrego nie wróży ten jego niepokój — myśli Hryć i rozgląda się.

Niebo też nic dobrego nie wróży, pokryło się gęstymi czarnymi chmurami. W lesie ciemniej coraz bardziej, niebawem czuje Hryć na sobie duże krople deszczu, z początku pojedyncze, potem sypią się coraz rzęśściej. Popędza konia, który klusem pnie się po Białej Ścieżce w górę, a potężne grzmoty wstrząsają

całą Czabanycią, toczą się po wszystkich innych górach i gdzieś się zatrzymują, przebrzmiewają.

Hrycia smaga chyba podwójny deszcz, jeden z urwanej, jak się zdaje, chmury, i drugi — ze świerków. Jadąc kłusem rozgląda się chłopiec, gdzie by tu się ukryć bodaj na chwilę przed deszczem i uspokoić konia, który przestraszony błyskawicami i grzmotami już nie biegnie swoim zwykłym równym krokiem. Wąska Biała Ścieżka okalająca Czabanycię i prowadząca nad brzeg jaru rozmokła i chyży koń, co rwie się pod górę, ślizga się na niej niemal co chwila.

Niebezpiecznie było jechać nad samą przepaścią na płochliwym koniu. Hryć zeskakuje z konia, prowadzi go za sobą i ogląda się. W głębi jaru szumi i kotłuje się mocno wezbrany od ulewy, wzburzony potok, porywa za sobą i niesie wszystko, na co się natknie. Tu i ówdzie staczają się z góry drobne kamienie, które porozmywał i poodrywał deszcz, toną w dole w wodzie...

Hryć zatrzymuje się nagle. Na sterczącym z boku i jakby wyłonionym z wnętrza góry wzniesieniu, wśród gęsto tu rosnących rozłożystych świerków stoi, czy raczej kryje się między gałęziami, mała chatka-koleba. Stara i przechylona.

Biała Ścieżka, po której jedzie Hryć, przebiega koło chatki, nie dochodząc do samych jej drzwi biegnie dalej, może w dół Czabanyci, którą przy tym opasuje — zresztą, nie wie tego Hryć. W chatce można jednak znaleźć jakieś schronienie.

Stoi chatynka i jakby się sama pochyła nad przepaścią, ukazuje z jednej strony krzywe okienko i z drugiej tak samo skrzywione drzwi.

Hryć decyduje się od razu. Wejdzie do tej chatki,

przeczeką burzę, co rozpętała takie piekło nad lasem i górą, a potem pojedzie dalej.

Jak sobie postanowił, tak też zrobił. Przystaje, przywiązuje konia przed chatą z tej strony, gdzie mniej zacina deszczem, i podchodzi do drzwi.

Hryć musi się pochylić, bo rosły mężczyzna z trudem się mieści w małych, powykrzywianych drzwiach.

I od razu aż się cofnął przestraszony.

W tej samej chwili, gdy otworzył drzwi z zewnątrz, ktoś otworzył je od środka i Hryć nawet się nie spostrzegł, kiedy jakby spod ziemi wyrosła przed nim stara Cyganka, siwa, skudłaczona, z czarnymi, błyszczącymi oczami i uśmiechem na ustach.

— Wejdz, synu, wejdz — śmiała się wymuszenie, najwyraźniej pokrywając tym śmiechem strach i niepewność. — Wejdz do środka. Już przeszło rok na ciebie czekam. Karty mi cię zapowiedziały. — Ustupując mu z drogi przycisnęła się do czarnej, zakopczonej ściany, żeby mógł przejść.

Ujrawszy przed sobą tak niespodzianie straszną jak przywidzenie Cyganke, Hryć zawahał się w pierwszej chwili i rozejrzał dokoła. Nigdy jeszcze nie dojechał aż do tej chaty, mimo że tyle razy spotykał się z Tetianą w lesie. Dopiero dzisiaj, w burzę, coś go tu przywiodło! Jaka bieda, jaka nędza! Trochę barwnych, starych łachów, dwie cygańskie torby, kostur... Jakaś skrzyneczka zawalona świeżymi ziołami, na starej, zadymionej, niemal pustej półce — kawałek chleba, na żerdzi pod pułapem — stara czerwona chustka, jakich nie widać w okolicznych wsiach, i wianki suszonych grzybów, pod piecem ława, na piecu czarny jak cygańskie włosy kot, a jeszcze wyżej, na kominie — czarny oswojony kruk o grubym dziobie i błyszczących oczach. I tyle.

— Usiądz, synu, u biednej Cyganki, usiądz! — za-

prasza Mawra, do której zawędrował oto Hryć. — Siadaj, nie pogardź. Sama jestem w całym lesie, rzadko kiedy postanie tu ludzka noga. Żyję, jak widzisz, jak Bóg da. Dadzą mi coś dobrego ludzie, to mam. Nie dadzą, żywię się korzonkami jak wszyscy nasi biedni Cyganie. Tak, tak. Siadaj.

Nic nie mówiąc Hryć siada, nie odrywa wzroku od Cyganki, która pochyła się przed nim jakoś aż do ziemi przypominając mu trochę starego Andronatego. Po chwili wstaje i wygląda przez wprawione prosto w ścianę szkło bez okiennej ramy.

— Nie ma rady, deszcz jeszcze leje — tłumaczy mu Mawra. — Posiedź trochę u biednej Cyganki. Przecież sama jestem, samiuteńka na cały las i górę. Kiedy pójdzie ktoś po tej ścieżynie, to czasem widzę ludzką twarz, a jak nikt nie idzie — to nie. Posiedź, synku — mówiła z ożywieniem i wpatrywała się bacznie w jego oczy, przy czym jej oczy błyszczały dwakroć mocniej niż zwykle.

— Dawno nie widziałam takiego pięknego królewicza jak ty — powiedziała Mawra i znowu kłania się pokornie. — Dawno, dawno — westchnęła.

— Czy jesteś może tą Cyganką, o której mówią ludzie, że umie wróżyć i zna się na ziołach? — zapytał nagle Hryć, który również nie spuszczał z niej wzroku.

— Bo ja wiem? Wielu jest Cyganów na świecie — odrzekła Mawra. — Ale wróżyć umiem, jeszcze jak! Co mi przyjdzie do głowy, wszystkiego się dowiem. Jeszcze jak! — powtarzam. Nia ziołach też się znam. Trzeba ci jakiegoś? — zapytała przypochlebnie. — Żeby dobro czynić czy zło? Ech-che-che! — wykrzyknęła śpiewnie, jak zwykle. — Ech-che-che! — i wciąż patrzy badawczo na chłopca.

Hryć jakoś zmarnotniał pod spojrzeniem tych du-

zych, czarnych, pełnych smutku oczu, które jakby nie znajdowały teraz w chacie żadnego punktu oparcia poza jego twarzą, jakby się napawały jej urokiem.

— Bo słyszałem — odezwał się znowu Hryć — że ta wróżka, nie mieszka tu stale, że się przenosi z miejsca na miejsce. A ty, jak widzę, masz chatę.

Mawra się przełękła.

— Nie, synku — zapewniła go skwapliwie — to ja nią jestem, o mnie słyszałeś. Nie ma innej na wszystkie wsie w okolicy. Och, nie ma, nie ma takiej nieszczęsnej jak Mawra, co zmarnowała swoje młode lata na obczyźnie, co chora i nieprzytomna ocknęła się w lesie i żyła na łasce u dobrych ludzi. — Powiedziawszy to, wybuchnęła płaczem...

Hrycia zaciekawiała Cyganka. Na dworze lało bez przerwy, grzmoty wciąż dudniły groźnie i nie było mowy, żeby jechać dalej.

— Jak zmarnowałaś swoje młode lata? — zapytał i zaczął nabijać fajkę. Dał również Cygance odrobinę tytoniu, ta chwyciła go chciwie i od razu wyciągnęła swoją fajkę z popiołu w piecu.

— Zmarnowałam, synku, zmarnowałam — powiedziała i nabiwszy fajkę zapaliła.

— Kiedy patrzę na ciebie — mówiła — chce mi się i płakać, i śmiać się. Boże miłosierny! Dawno z nikim nie rozmawiałam o swoim nieszczęściu, bo rzadko kiedy ktoś do mnie przychodzi i chce posłuchać biednej Cyganki... Bo ludzie rzucą kawał chleba jak wygłodniałemu psu, dadzą odrobinę mąki lub parę groszy i — idź precz z chaty, żebyś czegoś nie ściągnęła. A gdybym nawet ściągnęła, synku — mówiła Mawra z goryczą — widzisz, jaka jestem biedna i opuszczona. Kto na mnie zapracuje? Mój kot? — wskazała na swego czarnego przyjaciela — Nie, nie zarobi. Ale gdyby nie mój grzech, byłabym dotąd

przy swoim mężu. Mój mąż był przywódcą Cyganów, synu, nazywał się Radu. A mój tato zarabiał na chleb skrzypcami. Byłam jedynaczką.

Mawra zaczęła znowu płakać.

— A moja mama, synu, moja mama — ciągnęła — jak umiała tańczyć w młodości! — Mówiąc to kręciła głową w podziwie. — Ja również, synku! W młodości... jeszcze w młodości. Tańczę czasem przed panami na Węgrzech i aż mi się w oczach ćmi. Najczęściej wokół ogniska. Przez ten przeklęty taniec za przepaściłam swoje życie.

— Przez jaki taniec? — zapytał Hryć nie rozumiejąc jej słów.

— Przez ten taniec, synu, co obok wróżenia niekiedy daje młodym Cyganom zarobek. Cóż to za taniec, synu. Poczekaj! — pokażę ci, żebyś wiedział, u kogo byłeś!... — Stara, siwa Mawra puściła się nagle w płas przed chłopakiem sunąc lekkim i pełnym wdzięku krokiem niemal wciąż na palcach, obracając się zwinnie i przeginając w talii; starała się jeszcze przy tym pogwizdywać sobie do tańca.

Szeroko otwartymi oczami Hryć nic nie mówiąc przyglądał się jakiś czas starej Cygance. Tak mu się nagle żal zrobiło biednej, samotnej kobiety, która starała się oto sprawić mu przyjemność swoim tańcem — nic przecież nie miała lepszego. Mocno już zadyszana wciąż mu jeszcze tłumaczyła, jak należy wykonywać ten taniec, który był widocznie kiedyś jej chlubą i nieszczęściem w jej biednym życiu...

Zmęczony w końcu Hryć odwrócił się do okienka, a Mawra, skończywszy swój taniec, zmordowana padła przed nim na ziemię.

— Oto taki taniec, synku! — powiedziała ciężko dysząc i po chwili wyprostowała się i usiadła. Hryć

wyjął pieniądz z za pasa i spojrzawszy na Mawrę współczująco, rzucił go jej w podolek.

— Tańczyłam ten taniec na puszczie i w miasteczkach. Dłużej niż teraz przed tobą, bo byłam młoda i silna. Nazywa się czardasz. A panowie, co przejeżdżali przez pusztę i koło naszych namiotów, wstępowali do nas i przyglądali się. Prócz mnie tańczyli także inni Cyganie i Cyganki. Potem posyłał mnie Radu do pobliskiego miasteczka, żebym tam zebrała i wróżyła — było to najgorsze. Raz poszłam... drugi... i trzeci, synku, aż się wszystko skończyło. Potem wywędrowaliśmy stamtąd. Dawno to było, synku... daw-no, daw-no, Mawra była wtedy młoda i ładna...

Hryć znowu nabił fajkę, a Cyganka dziwnie ożywiona jego obecnością mówiła dalej.

— Miałabym teraz takiego syna jak ty — patrzyła na niego serdecznie swoimi pięknymi, smutnymi oczami — gdyby nie ta potajemna miłość i grzech, do którego mnie przywiodła; przez ten grzech, synu, jestem teraz sama, sama na całą wieś, na całą górę, na cały las. Nie daj, Boże, nikomu takiego losu jak mój. Nikt się nie martwi, czy żyjesz, czy nie. Żyjesz z dzikimi zwierzętami w lesie i tyle. Mia'am rodziców — mówiła już teraz monotownie, jak by powtarzała znaną formułę — i straciłam ich. Miałam męża — wyrzekł się mnie, porzucił. Miałam dziecko, chłopiątko, zabili je czy ukradli, Bóg raczy wiedzieć. Sama zostałam. Sama, synusiu — mówiła, a oczy jej napełniły się łzami żalu. — Sama, jak mówię, na całą górę, sama na cały las, tyle że od czasu do czasu... — nagle urwała. Silny grzmot, który znowu zadudnił właśnie w lesie, kazał jej umilknąć, ostrzegł ją niejako i Mawra nic nie powiedziała o Tetianie, którą zamierzała wspomnieć jako swoją jedyną ra-

dość w życiu, lecz ciągnęła nadal opowieść o sobie samej. — Sama jestem, synusiu, sama — mówiła — chyba że raz w roku przyśle Pan Bóg jakiegoś anioła, jak na przykład ciebie, mój piękny królewiczu! — Mówiąc to skrzyżowała ręce na piersiach i ukłoniła mu się nisko i pokornie wkładając, rzekłbyś, w ten ukłon całą swoją nieszczęsną duszę... Chyba nigdy ta biedna dusza, co nie zaznała dotąd nic prócz poniżenia, nieszczęścia i bólu, nie rozkoszowała się bardziej jak w tej chwili, kiedy patrzyła Mawra w swej chacie na tego pięknego obcego chłopca o błękitnych jak niebo oczach. Ale gdzie już widziała kiedyś w życiu te oczy? Te oczy, całą tę postać i twarz? Gdzie? O-o-o! Boże, Boże! Coś dziwnego dzieje się w jej biednej duszy. Mawra zaczyna płakać i nie wie dlaczego. Zaczyna się śmiać i też nie wie dlaczego. Czuje tylko, że on jest przyczyną tego wszystkiego — jego wygląd obudził w jej duszy wspomnienia młodości i wszystkiego, co minęło. Dlatego Mawra musi i płakać, i śmiać się. — Przychodź do mnie, synu — w tych tylko słowach zdołała wyrazić dziwne uczucia, jakie w niej wezbrały. — Przychodź, królewiczu! — prosi z całego serca i znowu skrzyżowawszy ręce na piersiach, kłania mu się pokornie do ziemi. — Przychodź do biednej Cyganki. Będiesz dla niej aniołem z nieba. Od dawna już wróżą mi karty, że przyjdą do mego domu dwaj mężczyźni. Jeden już był raz zimą, ale nie wpuściłam go do chaty ze strachu. A drugi — to ty! Przychodź, synu! Nie zapominaj mnie biednej. Mój syn byłby już taki jak ty, a był także biały... — Mawra nagle urwała.

A Hryć patrzył na nią jakby w zapamiętaniu, jakby nie własnymi oczami — zobaczył, zda się, zjawę z tamtego świata i sam nie wie, co się z nim dzieje. Dlaczego wionie na niego jakimś ciepłem od słów i

głosu tej Cyganki, która tak się przeobraziła, gdy zaczęła mówić? Może sprawiło to pełne serdeczności spojrzenie jej oczu, w których czai się smutek i coś jeszcze, jakby ciepło...

Pewnie siedziałby tu długo i patrzył na tę kobietę, chłonał promieniujące od niej ciepło, słuchał jej dobrych i tkliwych słów, gdyby sama nie pokierowała wszystkim inaczej i gdyby nie zarżał na dworze jego koń.

— Chcesz, synu mój śliczny, gołąbku błękitnooki, żebym ci powróżyła, nim odejdziesz? — raczej poprosiła, niż zapytała Mawra i, nie czekając na jego odpowiedź, wyciągnęła ze skrzyni brudne, wytarte karty.

— Powróż! — rzekł Hryc niechętnie. — Tylko mów prawdę, wszystko jedno, czy wyjdzie dobrze, czy źle — nikt mi dotąd nie wróżył. A odgadniesz, co mnie czeka, to zaproszę cię na wesele, jak już zaprosiłem jednego z takich, jak ty. Nie wyjdiesz od nas z próżnymi rękoma. Więc rozkładaj swoje karty... i odgadnij.

Mawra uczyniła zadość jego życzeniu. Wielu już ludziom wróżyła z kart, wielu odsłaniała przyszłość, odgadywała, co ich czeka, ale dawno już nie widziała, żeby tak się wszystko wikłało w życiu i splatało jak u tego chłopca.

Oto, co mówiły karty.

— Synusiu — rzecze Mawra, niemal uroczyście i patrzy na Hrycia z powagą. — Dwie żyją w tobie duszyczki. Jedna biała jak pani, wyniosła i dumna, nie każdego chce znać, a druga — wietrzna, synu, ziemi się nie trzyma, niczego się nie trzyma. Błądzi i chwieje się. Coś ty za człowiek, synku? W kogo się wdałeś? Kto jest biały, tato czy mama? — pyta Mawra i coraz dłużej wpatruje się w chłopca swoimi du-

żymi i czarnymi, pełnymi smutku oczami. — Ktoś ty, synku? Królewicz? — nie spostrzegła się nawet, jak łzy przesłaniały jej wszystko. — Powiedz, gołąbku! Mój syn też byłby taki... — niemal jęknęła i urwała.

Zadrżał Hryc usłyszawszy te słowa, przypomniał sobie, że jest podrzutkiem, że nic mu nie wiadomo o jego prawdziwych rodzicach. Zamknął się w sobie. Niech wróży — pomyślał przy tym — może dowie się z kart, kim byli jego rodzice, bo gospodarze tylko przezywali „włóczęgą”, ale nic mu przecież nie wiadomo.

Nie odpowiedział Mawrze ani słowem.

— Bajki — rzekł tylko sucho i machnął lekceważąco ręką.

— I nietutejsi są twoi rodzice — ciągnie stara — z daleka są... z da-le-ka, synu, noga twoja tam nie powstała. Co to znaczy? Masz dwóch ojców, masz dwie mamy, ale jest przy tobie sieroctwo. Kim jesteś, synku? Kto cię tak rozdziwił? — pyta wbijając wzrok w jego ładną młodą twarz, w jego błękitne oczy i piękny, czarny wąs. — Ktoś ty?

Hryc milczy. Umiłkła również Mawra. Jakoś wciąż się jej zbiera na płacz, łzy cisną się do oczu...

Nigdzie go przecież nie widziała, nie spotykała, ale wydaje się jej, że go zna, jakby wyczuwa w nim coś swojego, bliskiego... O! Te oczy, te oczy, które już gdzieś widziała! Gdzie? Nie wie.

Ale widziała je kiedyś w życiu, widziała. Czuje teraz całą swą udręczoną duszą, że *widziała!* Nawet w nie patrzyła. Czuła ich spojrzenie na sobie. Kiedyś... kiedyś dawno, dawno... u niego! Tak, widziała je u *niego!* — niemal krzyczało jej serce, ale Mawra milczała. Hryc siedział spokojnie, patrzył raczej niechętnie, więc milczała chwilę.

— Nie kochaj, syneczku, czarnych oczu — odezwała się wreszcie stłumionym głosem i uniósłszy w ostrzegawczym geście palec ściągnęła surowo brwi. — Bo czarne z błękitnymi nie układają się w parę, wróżą smutek, budzą zamęt w sercu. Kochaj takie jak twoje, będziesz miał jasną dolę. Nie, poczekaj — dodała nagle i zamyśliła się. — Co to za dziewczyna, co cię kocha? Smutek jest przy niej i droga. Daleka, szeroka droga. A ty myślisz o weselu i także już jakbyś się w drogę wybierał. W daleką, szeroką. Czy nie kochasz dwóch? — pyta nagle zimnym głosem i patrzy na niego przenikliwie. — *Nie kochaj dwóch*, synu — znowu go ostrzega — rozbijesz swoje szczęście — urywa nagle i po chwili dodaje: — Strzeż się dziewcząt i jasnych, i czarnych. A twojej mamie, synu, wychodzi sieroctwo. Smutne i ciężkie sieroctwo, jakiego jeszcze nikt nie zaznał na świecie. Smutek tu wszystko zasłania, chociaż stoisz przy niej blisko. Szczęśliwy jesteś, ale... — nie dopowiedziała Mawra. — Dostyc na pierwszy raz, idź już — skończyła swe wróżby, a w głosie jej zadźwięczał smutek. Powiedziawszy to złożyła karty i wstała.

Hryć wstał również z takim uczuciem, jakby wrócił z jakiegoś innego świata. Wyciągnął pieniądze i z dumą rzucił je starej Cygance pod nogi.

Mawra nie patrzy na pieniądze, lecz znowu składa ręce na krzyż i kłania się w pokorze.

— Nie chcę twoich pieniędzy, synku — mówi — pozwól mi coś innego, pozwól, mój synu, biednej Cygance, żeby cię pobłogosławiła. Drugi raz już pewnie do mnie nie przyjdiesz, a miły mi jesteś. Mój syn byłby taki jak ty, gdyby żył. Biały był. Błogosławię cię, synku, gołąbku, niech nigdy nie opuszcza cię szczęście, jak słońce nie opuszcza ziemi. — Powiedziawszy to, nie prosząc o pozwolenie, wspięła się

nagle na palce, ujęła w dłonie jego głowę, przycisnęła do piersi — i puściła. — Idź, synu, pewnie nie zobaczymy się więcej...

— Przyjdźcie na moje wesele, matuś! — powiedział Hryc głęboko wzruszony niespodzianym przejawem jej dobroci i śpiesznie wyszedł z chaty...

Cicho jest w chacie Mawry.

Kim jest ten chłopiec?

W swojej wsi tam, w dolinie, znała wszystkich, wiedziała, że nie jest z jej wsi. Chwyciła się za głowę. Boże, jaki ładny i jaki... jakiś taki... O, i ile pieniędzy jej zostawił. Widać, że syn bogacza. Mawra nie może sobie poradzić z czymś, co nie było ani radością, ani smutkiem, lecz rozpięrało jej piersi. Nie wytrzymała długo w chacie. Wyszła.

Na dworze deszcz przestał padać. Nad kotlinkami i jarami wśród gór, nad leśną gęstwiną kłębiły się tumany mgły. Unoszą się i zbijają w siwe chmury, co suną nad lasem, między wierzchołkami stuletnich świerków jakby się z nimi żegnając, przeganiają się wzajem, zasepione spieszą gdzieś w dal.

Ciężko Mawrze na sercu. Ciężko i smutno. Przyszedł chłopiec, jakby księżyc wszedł w jej chacie i obudził w sercu Mawry ciężki smutek. Czemu jej smutno? Przecież to obcy chłopak, syn jakichś rodziców — tłumaczy sobie. — Ona zaś jest biedną Cyganką. Sama jedna na całą górę, na cały las sama, zawsze sama. Z nikim nie jest związana, nic nie ma, nie jest nikomu potrzebna. Dlaczego tęskni do niego? Czy zobaczy go jeszcze? Zaprosił ją na wesele. Z kim się żeni? W jakiej wsi mieszka? O, nawet nie zapytała. Dowie się jednak. Wtem zaświtała jej nie-

spodzianie pewna myśl w głowie. Może to Hryć jej Tetiany?

Ale nie, Hryć jeszcze nie przysłał swatów do Tetiany, dziewczyna nie wspominała o tym dotąd ani razu. Wyglądał jednak tak, jak go opisywała, i odjechał na czarnym koniu — mimo wszystko chyba to nie Hryć. Niech tam, jeżeli nie jest nawet Hryciem, Mawra pójdzie. Nie po jałmużnę, lecz żeby go jeszcze raz zobaczyć. Te oczy... te oczy... co przyszedł do niej skądciś aż tutaj do lasu, do jej pustelni.

Dokoła cisza... cisza..

Las milczy, lecz świerki coś szepczą.

Niesie się szum po lesie... coś mówi.

Kłusem zjeżdża Hryć po Białej Ścieżce z góry. Lada chwila ukaże się między drzwiami dolina. Długo nie będzie już teraz jechać po Białej Ścieżce. Wciąż myśli o spotkaniu z samotną Cyganką-wróżką, wraca do niej myślami. Jakoś mu ciężko na sercu, jakby tęskno do niej. Chociaż go nigdy w życiu nie widziała, od razu jakby mu duszę otuliła miękkim jedwabiem. Mimo że wrózkom nie wierzy, bo wszystkie tumanią tylko ludzi, jej jednak uwierzył. Sam nie wiedział dlaczego, ale robiło mu się szczególnie przykro, gdy wspominał jej pokorę. Czemu się tak przed nim korzyła? Zobaczyła go pierwszy raz w życiu i od razu rzuciła mu pod nogi całą swoją serdeczność... Jak ten dziadek Andronati, co już od dawna był zawsze taki dobry dla niego i prosił, żeby Hryć o nim nie zapominał. Opowie kiedyś dziadkowi o wróżce Mawrze, niech stary do niej pójdzie. Może będzie dobrze, jeżeli się oboje spotkają.

„Królewiczu mój śliczny! — wciąż mu dźwięczy w uszach jej łagodny, pokorny głos. — Gołąbku mój

niebieskooki!...” Nigdy nie mówiła tak do niego jego matka tam, na górze, mimo że nazywała się „matką”.

Jego matka! Co tam! — uśmiechnął się gorzko. — Kto wie, gdzie jest i kim jest jego matka. Podrzucano go jak szczenię pod cudzą strzechę, żeby się go pozbyć, pozostawiono na łasce obcych ludzi i nikt już po niego nie wrócił. Czyż nie jest sam jeden na świecie jak ta biedaczka, co powiedziała o sobie, że sama jest na cały las, na całą górę? Czyż jego los nie jest podobny do jej doli? „Mawro” — ścisnęło się nagle boleśnie jego młode serce, tak bardzo łaknące miłości. Czystej, macierzyńskiej miłości, jakiej nigdy nie zaznał w swym życiu w całej pełni, mimo że lubili go gospodarze, kochały dziewczęta, szanowali koledzy i znajomi. Szczerej, cieplej miłości macierzyńskiej nie zaznał nigdy. Ta Cyganka pierwsza przemówiła do niego z taką serdecznością, pobłogosławiła go z całego serca. Ze szczerego macierzyńskiego serca. Czuł, że prawdziwe były jej słowa i szczerze uczucia, nie zapomni jej...

Rozmyślając o starej, biednej Cygance przypomniał sobie raz po raz także jej prorocze słowa o jego losie. „Nie kochaj, syneczku, czarnych oczu... — ostrzegała go grożąc nawet palcem — bo czarne z błękitnymi nie układają się w parę. Kochaj takie jak twoje, będziesz miał jasną dolę” — słowa jej odbiły się echem w jego duszy.

Turczynka ma czarne oczy! — powiedział do siebie Hryc i nagle poczuł wyraźnie, jak chyba nigdy dotąd w życiu, jak bardzo drogie mu były te czarne oczy i ta dziewczyna o czarnych oczach. — Turczynko! — wołało gorąco jego wezbrane smutkiem serce, które wszystko zapominało, ale ją pamiętało. — Turczynko, przyjdź!

Sam nie wiedział, jak i kiedy napłynęły mu łzy do

oczu, ogarnął go smutek. Jedzie teraz Białą Ścieżką przez las, ale wie, że już niedługo będzie tędy jeździć. Niebawem zjedzie do wsi. Tam, w dole, szumi i huczy rzeka, Hryć słyszy ją. Wezbrała deszczową wodą z gór, rozhulała się, nie chce nikogo znać. Hryć się spieszy. Zasiedział się u starej Cyganki, więc musi się teraz pospieszyć... Koń jego mknie dobrym kłusem po białej, wypłukanej ścieżce, która biegnie tutaj równo. Tu i ówdzie Hryć zawadza kapeluszem o szerokie gałęzie świerkowe, które rzęsiście sypią na niego kroplami deszczu.

Jeszcze trochę, a zapadnie zmierzch. W gęstwinie mrok już się czai, tylko tu i ówdzie błysnie zachodzące słońce, co znowu wyjrzało zza chmur. Tak.

Ale kto to idzie w jego stronę? Czy to nie Turczynka? To ona — to Turczynka! Hryć woła uradowany:

— Tetiano, to ty? — I od razu milknie.

Rzeczywiście ona. Poznaje go i daje mu znak ręką, żeby milczał. Bo przecież niedaleko tu młyn. Hryć ściga koniowi lejce, zjeżdża w bok, Turczynka biegnie do niego, i oto jest już przy nim. Bosa, w podkaszanej spódnicy, bez chustki na głowie, jakby wymknęła się ukradkiem z chaty, z jakimś węzełkiem w ręku — uśmiechnęta, uszczęśliwiona!

Kto by się spodziewał! Oboje aż krzyknęli z radości spotkawszy się tak niespodzianie, oboje się uśmiechnęli.

— Nie krzycz! — ostrzega go dziewczyna i aż tchu jej brak z tej niespodzianej radości. — Nie krzycz, bo tam z tyłu idzie matka.

— Kochasz? — spiesznie pyta chłopiec i pochyla się do niej z konia, a ona, smukła jak sosenka, wspina się na palce, by być bliżej niego.

— Kocham — odpowiada dziewczyna z całym bezmiarem szczęścia w oczach. — Kiedyż nie kochałam?

Hryć przyciąga ją chciwie do piersi i przyciska tak mocno i serdecznie, jak chyba nigdy dotąd. Potem całuje...

— Nikt tu nas nie widzi — szepcze namiętnie — jeszcze raz.

— Jeszcze raz — posłusznie powtarza dziewczyna i odwzajemnia pocałunek.

— Nie, jeszcze, jeszcze raz — znowu całuje ją Hryć. — Spieszę, zazulko, tyle mam pracy. — I obejrzawszy się jak złodziej szybko dodaje: — Kiedyś w lesie — znowu jak teraz.

— Jak teraz — powtórzyła nie zastanawiając się Tetiana wciąż z wyrazem uszczęśliwienia na twarzy i jakby na coś jeszcze czeka.

— Spotkamy się — powiedział Hryć i spiesznie ruszył koniem.

— Spotkamy się — powiedziała Tetiana nie odrywając od niego spojrzenia, w którym była cała jej dusza. Wciąż ze zwróconą w jego stronę twarzą poszła w górę Białą Ścieżką, po której niedawno zjechał Hryć...

On zaś uderzył konia i obejrzawszy się za dziewczyną popędził jak wiatr, i wkrótce znikł jej z oczu.

Koń w pędzie zawadził o świerkowe gałęzie, które zakołysały się i drżały przez chwilę sypiąc dużymi kroplami deszczu. Słysząc było, jak padają rzęsiście na ziemię, potem już rzadziej, jedna po drugiej, aż wreszcie deszcz kropel ustał...

Niebawem cisza zaległa w lesie...

— *Hej, kupalnocka, kąpała, hej-hej-hej!* — rozbrzmiewa nagle gdzieś wysoko, już w lesie, pełen szczęścia głos Tetiany i nagle milknie.

— *Dziewczyna szczęścia szukała, hej-hej-hej!* —

śpiewa w duchu, z zamkniętymi ustami Iwanycha Dubycha, która powoli, statecznie idzie za córką na górę, do Mawry...

*

Pewnego dnia, w jakieś trzy tygodnie po spotkaniu Tetiany z Hryciem, Iwanycha Dubycha znów pomyślała Tetianę do Mawry dowiedzieć się, co u Cyganki słyhać, bo dawno już jej nie było w młynie i zanieść jej węzełek z prowiantem.

Tetiana jest zadowolona, że idzie do Mawry, wpiła we włosy kwiaty. Może właśnie dzisiaj spotka się z ukochanym, długo się już nie widzieli. Hryć ma dużo pracy. Już tak niekiedy bywało, że spotykali się niespodzianie na Białej Ścieżce... Na przykład ostatnim razem.

Dziewczyna idzie zadumana. Myślni jest przy Hryciu. Jak to będzie, kiedy do nich przyjedzie, jak potem przyśle swaty, jak matka sprawi wesela, jak będą żyli, jakie czeka ich szczęście i pomyślność. Jak Hryć obejmie młyn, zacznie gospodarować, jak wszyscy go polubią i będą szanowali, a matka przy nich odpocznie. Dobra matka, wciąż się modliła o szczęście dla niej, aż wyblagała Hrycia za zięcia. Albo pójdzie do klasztoru, dokąd ją ciągnęło od śmierci ojca. Albo będzie żyła przy nich i odpoczywała. Jak zechce. Jak sobie będzie życzyła, tak będzie.

Idzie pogrążona w swoich radosnych rozmyślaniach, od czasu do czasu przystaje, żeby niby to odpocząć, aż wreszcie staje i nasłuchuje. Zdaje się jej, że towarzyszą jej chyba od początku, z dołu, gdzie zaczyna się ścieżka, jakieś kroki, ciężkie i powolne.

Tetiana nasłuchuje i ogląda się. Czekaa. Może to Hryć?

Nie, zawsze przyjeżdża na koniu. Jakby się zrół ze swoim koniem, nigdy bez niego nie przybywa do niej. Jeden ten koń zna ich tajemnicę, i jeszcze las. Nie, to nie Hryć.

Tetiana czeka jeszcze chwilę i mimo wszystko woła jak zwykle, jakby zbliżał się Hryć:

— Jestem tutaj!

Rozbrzmiewa w lesie echo powtarzając jej wołanie i cichnie. Jeszcze raz. — Tutaj! — i nic już więcej.

Dziewczyna idzie dalej. Po jakimś czasie znowu przystaje i czeka chwilę. A wraz z nią wszystkie świerki po prawej i lewej stronie, jedne nad przepaścią, drugie na zboczu górskim, jakby też przystały. Kołyszą się lekko, szumią ostrożnie. Nasłuchują z nią razem i przy tym coś jakby szepczą...

Hryciu!

— To ty, Hryciu? — pyta jej wrażliwe serce i samo sobie odpowiada — Jestem tutaj!

Odruchowo sięga ręką do swoich czerwonych maków, które wkłada we włosy, bo podoba się w nich Hryciowi, przekonuje się, że są na miejscu i dobrze się trzymają.

Nie. To nie Hryć.

Z głębi lasu, za nią wyłania się jakiś straszny stary Cygan z białą głową i sunie za dziewczyną jak cień. Tetiana aż się cofnęła przestraszona. Nigdy nie widziała tego starego Cygana we wsi, mimo że dobrze знаła wszystkich biedaków, często bywających u jej miłośniej matki. A stary kłania się, uroczyście skrzyżowawszy ręce na piersiach, jak to robiła zwykle Mawra, kiedy ją ktoś obdarował, kiedy chciała podziękować i okazać ofiarodawcy szacunek. Nagle przystanął. Tetiana przełękła się go, ale że nie jest bojaźliwa, więc stara się ukryć ten strach. Cygan widzi to jednak i nagle pochyła się przed nią pokornie.

— Nie lękaj się, córko, starego dziadka — mówi. — Zbłądził tu w lesie, a idzie daleko i nikomu krzywdy nie robi. Dobrze, że cię tu zobaczył — powiedział, a w jego czarnych oczach pod białymi brwiami błysnęła jakaś szczególna złośliwość.

— Czego miałabym się lękać? — pyta Tetiana i schodzi staremu z drogi, żeby mógł ją swobodnie wyminąć na ścieżce i pójść dalej. Potem wyciąga coś spieszenie z przeznaczonego dla Mawry węzełka i daje dziadkowi: — Weźcie, tatuńciu, za dusze zmarłych — mówi pokornie — i powiedzcie, proszę was, dokąd idziecie? Czy z daleka? I czeka was jeszcze daleka droga?

— Nie, miła córeczko. Dzisiaj idę tylko z dołu, z waszej wsi — odpowiada Cygan i przypatruje się jakoś bacznie młodej dziewczynie, co ze swoimi kwiatami we włosach stoi przed nim jak rusałka.

— A zebraliście dość jałmużny w naszej wsi? — pyta Tetiana i uśmiecha się z przymusem. Najchętniej uciekłyby od starego jak najszybciej i jak najdalej.

— Dość. Dzięki niech będą wszystkim dobrym ludziom, co wspierają biednych. Hojnie mnie obdarowali. Potrafiłem im do serca przemówić. W dodatku jeszcze się dowiedziałem, co chciałem wiedzieć. Byłem w tej wsi po raz trzeci. Częściej zatrzymuję się w Tretiwce. Po raz pierwszy byłem dwadzieścia lat temu, lepiej tego nie wspominać, drugi raz przyszedłem zimą, a teraz jestem po raz trzeci i pewnie ostatni, nie wiem, jak los zrządzi. Musiałem przyjść. Podjąłem się czegoś, żeby ludziom dopomóc, więc przyszedłem. Ale kto wie, czy jeszcze kiedyś przyjdę.

— Dlaczego? — pyta zwyczajnie Tetiana.

— Starość nie pozwala już na wędrówki. A kto zechce trzymać starego Cygana? — odpowiada stary i

oparłszy się na swoim żebraczym kijku zamyśla się.

Patrzy przy tym z ukosa na dziewczynę, która czuje to i znowu ogarnia ją strach. Stary odzywa się wreszcie:

— Nie powiedziałaś mi, córko, czyjaś ty? Taka jesteś śliczna i powabna.

— Jestem córką wdowy — skromnie, z powagą mówi Tetiana.

— Wdo-wy? — niby to dziwi się dziad.

— Wdowy.

— A-ha! — przeciągnął stary i znowu zmierzył ją wzrokiem. Ją, jej czerwone kwiaty i złote półksiężycy, co chwieją się powoli w uszach przy każdym ruchu głowy. — A-a, jeżeli tak — przeciągłym głosem mówi dalej stary — może wyręczysz mnie w pewnej niewielkiej sprawie, żebym mógł wrócić do swojej wsi. Czeka ją tam na mnie, spieszno mi.

— Dlaczego nie? — mówi Tetiana z powagą i cieszy się w duchu, że może pozbędzie się niebawem starego Cygana. Unosi brwi, jak zwykle, kiedy się dziwi, ale jakoś znowu czuje lęk przed dziadem.

— Powiedz mi więc wpierw — mówi stary — czy znasz młynarkę Iwanychę Dubychę? Bogobojną panią, litościwą dla biednych?

— Znam, ojczulku, znam — wesoło odpowiada Tetiana patrząc na starego ufnie i szczerze.

— Co ma jedną jedyną córkę. Piękną, wypieszczoną, najładniejszą w całej wsi.

Tetiana spłoneęła rumieńcem.

— Znam, dziadku, znam — mówi unikając jego przenikliwego wzroku i uśmiecha się. — Znam je obie. Ale jaką masz do nich sprawę? Do Iwanychy Dubychy?

— Do matki nie mam żadnej, nie. Mam sprawę do córki — odpowiada dziad — do pięknej czarowni-

cy, co odbiera chłopcom rozum, kwiatami ich kusi i oczyma przykuwa.

Tetiana roześmiała się.

— Nazywa się Turczynka.

— Turczynka, dziadku — powtórzyła dziewczyna i coraz bardziej poważnie, chętnie by uciekła od starego. — Jaką macie sprawę do Turczynki, ojczulku? Mówcie prędzej — nie ceregieluje się już dłużej — bo muszę iść dalej. Idę do biednej, niosę dla niej jedzenie, czeka na mnie.

— Do biednej? — pyta stary i przygląda się nieufnie dziewczynie, a zwłaszcza jej czerwonym kwiatom.

— Do biednej.

— Niech cię Najświętsza Panna błogosławi za twoje dobre serce. Jednego biedaka obdarowałaś i niesiesz jeszcze biedaczce. Dobra jesteś, serdeczna. A czyjaś ty, córko, żebym cię zapamiętał? — znowu dopytuje się Cygan nie spuszczając z niej oka.

— To nieważne — zniecierpliwiła się Tetiana. — Powiedzcie mi lepiej, czego wam trzeba od Turczynki, która, jak mówicie, odbiera chłopcom rozum.

Dziadek wzdycha, prostuje się i, jakby ujrzał coś niezwykłego nad głową dziewczyny, mówi:

— Ciężko mi, córko, ranić czyjeś serce, ale skoro mnie proszono, skoro tak już trzeba i tak chcieli, to powtórzę:

— Kto prosił? — pyta Tetiana i cała drży przed tym czymś nieznanym.

— Niebieskooka Nastka.

— Nie znam jej — mówi Tetiana unosząc brwi.

— Nastka z Tretiwki, co za mąż wychodzi — odpowiada stary.

— Za kogo? — pyta Tetiana i aż się jej oczy rozszerzają, kiedy czeka na jego odpowiedź.

— Poczekaj, córko, nie przerywaj.

— A czego trzeba niebieskookiej Nastce od Turczynki?

— Prosiła mnie — mówi stary — powiedziała, że bym stanął przed Turczynką i rzekł jej:

„Słyszałem, Turczynko, że kochasz Hrycia, najładniejszego chłopca znad węgierskiej granicy, że czarujesz złymi kwiatami i słowem, że zło wyrządzasz i szczęście zabierasz.

I słyszałem, Turczynko, że Hryć cię nie kocha, bo już od dawna inną oblubował. Wybrał sobie niebieskooką Nastkę i już wkrótce ją poślubi.

Czego chcesz od niego, piękna Dubiwno? Żeby porzucił narzeczoną i z tobą się połączył? Przecież przeklnie cię nie tylko narzeczoną, przeklną cię wszyscy ludzie, co o tobie usłyszą. Pośmiewiskiem będziesz we wsi i będziesz chodziła smutna jak mara.

Słyszałem też, Turczynko, że bogata jesteś, więc znajdziesz chłopców i bez tego Hrycia. Wiedz, że narzeczoną Hrycia przez ciebie płacze, ma żal do ciebie i strasznie cię przeklina. Jeszcze cię Hryć nie znał, a już ją kochał, ciebie pieścił, a do niej już posłał swaty. Dlatego z nią się ożeni wcześniej, niż swaty do ciebie pośle.

A słyszałem to wszystko, co mówię, Turczynko, od tej dziewczyny, którą bierze Hryć za żonę. Sam się jej skarżył, że jesteś temu złemu winna, żeś go wabiła, otumaniała.

Czarne brwi unosiłaś, niby to się dziwiłaś, a rozdawałaś mu przy tym duszę. Po lesie błądziłaś, z echem igrałaś, a z drugiej strony na pokuszenie go wodziłaś...

Opamiętał się teraz, odżegnuje się od ciebie, czarnych brwi się boi i jasne kocha. Nie przyjdzie już więcej do ciebie, nie czekaj, a jak go zobaczysz przy-

padkiem na czarnym koniu, odwróć się, żeby ludzie nie wiedzieli, żeś Hrycia kochała i odbierałaś go innej dziewczynie.

A jak nie przestaniesz uroku na niego rzucać, wiedz, że ludzie też milczeć nie będą. Rozejdzie się niedobra sława o czarnobrewej, co Hrycia z Nastusią na zawsze poróżniła. Serce mu odebrała, duszę rozdwoiła i siłą swoją nieczystą utopiła w żalu...”

Tak.

Ja, stary, wszystko to poświadczam. Powiedz, córko, tamtej Turczynce, jeżeli znasz ją dobrze, że Hryć ma inną dziewczynę. Sprasza na wesele, ja też tam będę. — Dziad skończył i czekał.

Tetiana osunęła się u jego stóp na ziemię.

— Ja, dziadku... jestem Turczynką — wyjąkała i objawszy jego kolana umilkła, niemal odchodząc od zmysłów.

Stary drgnął.

— To rzeczywiście ty? Czemuś się od razu nie przyznała, że jesteś Dubiwna, może bym ci nie powtarzał wszystkiego. I brałem cię za nią, i nie wierzyłem. Ale prawdę mówili ci, co cię znają. I nawet tu cię spotkałem, gdzie mi powiedzieli, żeby cię szukać. Ładna jesteś, Turczynko, nikt nie skłamał. A za jałmużnę, coś mi dała przed chwilą, źle ci się dziad odplacił. Ale nie jestem winien. Nic nie wiedziałem. Opowiedziała mi Nastka, a jej powiedział on. Dwie was kocha, a z jedną się żeni. Co tu poradzę? Sama jesteś winna. Nie trzeba było rzucać uroku na Hrycia. Ani czarnymi brwiami, ani czerwonymi kwiatami, ani słodkim słowem, ani... sam nie wiem czym. Cóż tu wam jestem winien? Sama wiesz, żeś źle zrobiła. Dlatego mnie proszono, żeby ci to wszystko powtórzyć. Niechaj Hryć ma wreszcie spokój!

— Nie, ojczulku — odezwała się w końcu Tetiana

podnosząc swoją pobladłą, jakby martwą twarz i z niewypowiedzianą rozpaczą ściskając kolana starego. — Nie, ojczulku, uroku nie rzucałam i nic złego nie zrobiłam. Hrycia tylko kochałam... O-o-o! Nie — wprost jęczy Tetiana — to niemożliwe, że żeni się z inną, to niemożliwe! — niemal krzyczy i znowu pochyła głowę do nóg starego, znowu rozpaczliwie je ściska.

Stary wzruszył ramionami.

— Nie wiem, córko — powiedział sucho. — Tak mi powiedziano. Nie jestem tutejszy. Co wiedziałem, tom powiedział. Musiałem.

— O-o-o! — jęknęła Tetiana boleśnie, jakby przeszła kulą i wciąż klęcząc przycisnęła twarz do kolan starego. — O-o-o!...

— Tak jest, córko — potwierdza dziad. — Wszystko to prawda, co kazała ci powtórzyć niebieskooka Nastka. A Hryć mnie zaprosił, sam mnie zaprosił na wesele, idę do nich właśnie.

— Nie, ojczulku! — wciąż z tą samą rozpaczą i przekonaniem w głosie krzyczy Tetiana, zboląła i pokorna znowu obejmuje kolana starego, jakby niezdolna była do innego ruchu, jakby stał przed nią święty, do którego się modli. — To niemożliwe.. Jeszcze niedawno — załkała — spotkaliśmy się... tu w lesie — mówi zgaszona i całkowicie złamana. — Jeszcze mnie... całował. To niemożliwe, to nieprawda, że żeni się z inną... kocha mnie. Nie czarowałam!... — krzyknęła rozpaczliwie. — Kochałam tylko, kochałam, ojczulku. Daliśmy sobie słowo, wcześniej niż śnieg spadnie, będę w jego domu. Ojczulku! On mnie kocha. O, tu, w lesie... tyle razy — łkała — w lesie... — mówi bliska omdlenia.

Stary zarechotał.

— Mówisz, że cię kocha? — zapytał.

Patrząc na niego błagalnie dziewczyna podniosła głowę, którą odrzuciła w tył w geście rozpacz.

— O, kocha, ojczulku dobry, kocha! — powtarza i wciąż tuli, przyciska twarz do kolan starego. — Mnie jedną kocha, mnie jedną na świecie. Sam mi to powiedział i wierzę mu. Wcześniej niż śnieg spadnie, powiedział, będziesz w moim domu. Jestem jego Turczynką! — krzyknęła i rozpostarłszy ręce upadła twarzą do ziemi.

Dziad podniósł ją.

— Nie będziesz, Turczynko! — krzyknął surowo. — Będzie w jego domu niebieskooka Nastka i powiadam ci, że Hryć zaprasza na wesele. Idę do nich. Wstań, opamiętaj się, nie myśl o Hryciu, nie mąć jego szczęścia, grzechu się wystrzegaj, bo inaczej — zobaczysz!... Mówiąc to, jakby na jakiś tajny rozkaz pogroził jej pięścią. Tetiana wpatrywała się w niego chwilę rozszerzonymi oczami, ale zrozumiałwszy wreszcie jego słowa i ruch grożącej jej pięści, wykręciła się nagle jak żmija, zerwała się i stanęła na nogach.

— Idź precz! — krzyknęła dzikim głosem, wezbranym nagle nienawiścią, jakby wraz z ostatnimi słowami starego stanęło przed nią całe plugastwo świata. — Precz! — odepchnęła starego od siebie tak mocno, że upadł od razu. — Idź precz! Sam jesteś diabłem, co mi tu stanął na drodze. Hryciu! — zawołała nagle na całe gardło nieprzytomna z rozpacz i zaniósła się śmiechem. — Hryciu, jestem tutaj!

Strasznym gniewem błysnęły cygańskie oczy; podniósłszy się stary pogroził pięścią i kijem.

— Ech-che! — krzyknął zasapany i zaklął strasznie. — Najprawdziwsza z ciebie wiedźma, czarownica — dodał. — Sam teraz widzę, że Nastka prawdę powiedziała! Dowiedz się po pierwsze od niej, po

drugie ode mnie, że Hryć do niej posłał swaty, a ciebie porzuca.

— Nieprawda, kocha mnie! — rzuciła się na starego Tetiana broniąc się ze wszystkich sił przed jego strasznymi, zabójczymi słowami. Głos jej się załamywał ze wzburzenia, dziko patrzyły oczy.

— Tyle tylko twego! — krzyknął stary zanosząc się złym, okropnym śmiechem. — Tyle tylko twego. Tak jak jego ojciec kochał kiedyś jego matkę — dodał z niewypowiedzianą nienawiścią. — Tyle tylko twego!

Zrozumiawszy jedynie te ostatnie jego słowa, Tetiana znów rzuciła się na starego.

— Idź precz! — krzyknęła i unosząc wysoko brwi, podniosła rękę i wskazała na przepaść nie opodal. — Idź! — powtórzyła. — Skocz tam i więcej nie wracaj!

Stary przeląkł się, wybałuszył oczy, schylił się, by podnieść kij, co mu wypadł z rąk i uderzyć ją.

Nie było jej już jednak — zniknęła. Tylko z tej strony, w którą pobiegła, doleciało donośne, rozpaczliwe wołanie: — Hryciu, jestem tutaj. A po chwili — gorzki, długo rozbrzmiewający śmiech...

Zdyszana, bez kropli krwi w twarzy, z niemal błędnym wzrokiem i wykrzywionymi ustami wpada Tetiana do domu i rzuca się na pierś matki.

— Mamo! — krzyknęła zmatowiałym, obcym głosem. — Mamo, Hryć mnie porzucił, zdradził. Kochał mnie, a żeni się z inną. Mamo! — woła nieprzytomna nie pozwalając się matce opamiętać, trzęsie nią ze wszystkich sił. — Mamo! *Kochał od razu dwie, słyszycie, mamo!*

Iwanycha Dubycha, która siedziała na ławie, ujrzawszy na pół oszalałą córkę oparła się o ścianę.

— Co za Hryć? — zapytała głuchym głosem.

— Ten, mamó, co raz zimą przyjechał tu na koniu. Taki ładny. Spotykaliśmy się zawsze w lesie. Tak się kochaliśmy. Tylko las wszystko wiedział. Hryć, mamó! — i wybuchnęła śmiechem.

Stara uniosła się ciężko z ławy.

— Tak? — zapytała i dodała po chwili. — To on ci kazał szukać kwiatu paproci? — Powiedziawszy, to uśmiechnęła się jakby po raz ostatni w życiu.

— Mamó! — krzyk niewypowiedzianej rozpacz rozbrzmiał w całej chacie. — Mamó!

— Miałam ciebie jedną — odrzekła matka — jedną na całym świecie...

— Mamó!

Dubycha nic więcej nie odpowiedziała...

Tetiana padła przed nią na kolana, spowiadała się...

W godzinę później Tetiana jest znowu w lesie. Pędzi jak szalona, pędzi jak strzała do starej Mawry. — Mawro! — rozpaczliwe wołanie i jęk wyrywa się z jej piersi. — Mawro! — Dobiegła wreszcie.

Ujrzawszy dziewczynę stara Cyganka przełękała się, objęła ją serdecznie.

— Córeczko — powiedziała — córeczko! Co cię spotkało?

— Mawro! — wykrzyknęła Tetiana sztywniejąc w uścisku Cyganki.

Oczy Cyganki błysnęły złowrogo.

— On? — zapytała i usta jej wykrzywiły się boleśnie.

— Żeni się z inną. Zdradził mnie! — jęknęła Tetiana i umilkła.

— Widzisz? A myślałaś, córuś — rzekła Mawra — że będzie cię zawsze kochał.

— O, Mawro! — lamentowała Tetiana. — Kochał i hołubił, całował, przyrzekał, Mawro, jeszcze niedawno tutaj w lesie, a teraz...

Mawra roześmiała się nagle jakby ze słów małego dziecka.

— Ta-ak? — wycedziła ze złością. — Hołubił, całował?

— Hołubił, całował... ostatni raz z konia, po burzy, o, tak gorąco...

— Po burzy? — zdziwiła się stara. — To był *on*? — I z głębokim zalem trzęsie głową, coś sobie przypomina, szepcze: — Boże, Boże! — a potem, ocknąwszy się nagle, mówi twardo, z nienawiścią:

— Żebyś wiedziała, córko. Ten, co najwięcej kocha, najprędzej zdradza! Kiedy cię całuje, jego serce już się z tobą żegna. Kto z nich tak nie robił?

— O-o-o! Mawro! — jęknęła Tetiana i chwyciwszy się w rozpacz za głowę krzyknęła: — Oszaleję!

— Nie, córko, nie oszalejsz — uspokajała ją Mawra — ja też nie oszalałam. A przecież — ciągnęła spokojnie — nie tylko on, wszyscy się ode mnie odwrócili, wypędzili do lasu jak zwierzę, zabrali dziecko. Nie zwariujesz. Żyję po dziś dzień i nie oszalałam, sama jestem na świecie, na całą górę, na cały las, a wszystko to przez kochanie. Nie zgłupiałam. Ech-che-che! — zawodziła jak zwykle trzęsąc głową. — Nie zwariujesz.

— Oszaleję, Mawro — głuchym głosem powtarzała Tetiana. — Oszaleję, nie wytrzymam tego. Co robić, Mawro?

Mawra wzrusza bezradnie ramionami, lecz zastanowiwszy się, dodaje po chwili:

— Pójdę do niego i sama zapytam. Dowiem się, czy to prawda, co ci powiedziano. A skąd to wiesz?

— Powiedział mi jakiś stary Cygan, com go spotkała w lesie idąc do ciebie. Nie kłamał — i opowiedziała Mawrze o spotkaniu ze starym Andronatim.

— A on skąd wiedział? — zapytała niezwykle zaciekawiona Mawra.

— Hrycia narzeczona kazała mu wszystko to mi powtórzyć.

Stara Cyganka zaczęła kłąć, lecz po chwili uspokoiła się i powiedziała:

— Cicho, córuś, cicho, pójdę tam, dowiem się wszystkiego i powiem ci prawdę. Cicho, nie martw się. I wiedz, jeżeli to prawda, nic dobrego ich nie czeka. Ani jego, ani ją. Jestem ci jak matka, a kiedy matka przeklnie, szczęścia nie będzie.

Tetiana milczała, już się tak nie miotła po chacie.

— Spróbuję coś zrobić, żeby znów do ciebie wrócił — po chwili zastanowienia uspokajającym tonem powiedziała Mawra.

Usłyszawszy te słowa Tetiana zatrzęsła się cała jakby ją zmija ukąsiła, w odruchu urażonej dumy i pogardy odtrąciła Mawrę z taką siłą jak przedtem Andronatego, aż Cyganka zatoczyła się na ławę.

— Nie waż się! — krzyknęła prostując swoją smukłą postać i unosząc wysoko brwi. — Nie oszukałam go — mówiła załamującym się głosem — dwóch nie kochałam. Nie waż się! Kochałam go wiernie — ciągnęła, z trudem poruszając pobladłymi ustami — *jego jednego*. Zdradził mnie, więc po co go namawiać, żeby do mnie wrócił? Nie waż się.

— Masz teraz za swoją wierność — rozzłościła się urażona Mawra.

— Mam — twardym głosem powiedziała Tetiana ciężko dysząc ze wzburzenia i umilkła na chwilę.

— Ożeni się, będzie pierwszym we wsi gospodarzem, a ty?

Tetiana milczała, lecz twarz jej pokrywała się coraz straszniejszą bladością.

— Ożeni się, będzie pierwszym we wsi gospodarzem, a ty? — powtórzyła Mawra wciąż jeszcze z irytacją.

Tetiana spojrzała na Mawrę. Boże, jakie oczy miała w tej chwili! Jak patrzyła: spojrzenie jej prosiło, błagało. Dziewczyna odpowiedziała po chwili.

— Będę *Tetianą* — czym mogę być jeszcze? — umilkła, zacisnęła usta.

Mawra nie zrozumiała jej.

— I co mu zrobisz?

— A coś ty zrobiła, Mawro? — niemal syknęła Tetiana unosząc wysoko brwi.

Mawra umilkła, potem chwilę klęła, aż odezwała się wreszcie:

— Pogodziłam się z losem, uległam mu i żyję. Co mogłam zrobić?

Tetiana spojrzała na nią niemal błędnym wzrokiem.

— Ty, Mawro — powiedziała twardo — ty ule-głaś. Potrafiłaś.

— A ty co zrobisz, córko? Za żonę cię już nie weźmie.

— Nie weźmie. *Nigdy* nie weźmie — powiedziała dziewczyna jakimś obcym głosem.

— Przepadło twoje szczęście... marny twój los — lamentowała Mawra trzęsąc swoim zwyczajem głową.

— Wielkie mi rzeczy! — krzyknęła nagle dziewczyna i spojrzawszy na Mawrę dziwnie płonącym wzrokiem, wyszła spieszenie z chaty.

Zastanowiwszy się chwilę Mawra wybiegła za nią:

— Przyjdź za dwa dni — zawołała. — Pójdę jutro dowiedzieć się i powiem ci prawdę. Przyjdź, mówię ci, przyjdź...

Tetiana obejrzała się, ale nie odpowiedziała. Schodziła szybkim, nerwowym krokiem w dół po Białej Ścieżce i niebawem zniknęła starej z oczu.

Wróciwszy do izby Mawra uderzyła się pięścią w głowę. — Przecież to on, ten sam Hryc, mój królewicz — on! Powiedziała Tetiana, że jeździ na czarnym koniu, i do mnie też na nim przyjechał. Z Tretiwki jest, o tam, za Czabanycią. O Boże! — biadała — gdzie ja miałam głowę? Wróżyłam mu i nie domyśliłam się, że to on! Chłopiec Tetiany! Gdzież ja miałam głowę? Jak te gołąbki gruchali sobie w lesie, może niedaleko ode mnie, a ja jej nie ustrzegłam.

— Tetiano, serce moje! — jęczała głośno. — Tetiano moja, serce moje, co teraz będzie z tobą? Widzę, że nie jesteś Mawrą, widzę, że tego nie wytrzymasz. Szalejesz z żalu. Boże, zlituj się!

— Czego ci w dzieciństwie brakło? — mówiła. — Wszystko, co chciałaś, to miałaś. Zawsze było tak, jak sobie życzyłaś, a teraz... — w żalu i rozpaczycy Mawra chwytala się za głowę, ale opanowała się w końcu. Nie! Pójdzie do niego. Jutro. Z pierwszym brzaskiem, nim słońce wzejdzie, będzie już u niego. Teraz wie wszystko. Padnie mu do nóg i będzie prosić z całego serca: — Syneczku, królewiczu mój śliczny — będę go błagać. — Nie gub Tetiany. Wyniańczyłam ją, wypieściłam. Czyż ci się nie podoba? Z postawy ci się nie podoba, czy brwi ma nieładne albo złe serce? Nie gub jej, mój synu!

Może posłucha.

Chodziła Tetiana przez dwa dni i dwie noce, nawet się nie kładła. Nie jadła i nie piła, wciąż na coś czekała, snuła się jak we śnie, nikogo nie widziała i nie słyszała, wciąż chodziła po lesie i po Białej Ścieżce. To tam przystawała, gdzie ją pieścił, to znów tam się rozglądała, gdzie na nią czekał, lub wołała: „Jestem tutaj!” i wciąż bez chwili wytchnienia, jak w gorączce, aż opadła z sił i dokonała się w niej wielka zmiana.

Matka nie zatrzymuje jej, wie, że chorej duszy potrzebny jest teraz spokój. Niech sama przezwycięży swój ból, a potem — jak Bóg da.

Dobrze jest w lesie. Niczym w cerkwi. Spokój tu jest i Bóg; wyrosła w tym lesie i zmoże tu swój ból. Matka pilnuje jej tylko, chodzi za nią jak cień, żeby córka nie zrobiła sobie czegoś złego. Strzeże jej i modli się: — Boże, ulecz ją, Boże, daj jej sił, zeslij jej spokój.

Sama zmieniła się nie do poznania. W ciągu tego krótkiego czasu, czasu niedoli, posiwiiała jak gołąb, pochyliła się, życzy sobie śmierci...

Trzeciego dnia Tetiana wróciła z lasu i powiedziała matce:

— Idę do Mawry. Jest mi potrzebna. Przyjdę. Przyjdę...

Nic nie mówiąc matka przytuliła ją do siebie. Widzi, że dziewczyna ma rozpalone czoło, patrzy przed siebie szeroko otwartymi oczami, drży na całym ciele...

— Idź z Bogiem, córeczko, do Mawry i z Bogiem wracaj — pozwala jej iść biedaczka, ale ciężko jej wypuścić Tetianę z uścisku. Dziewczyna, jakby tylko czekała na te słowa matki, wyrwała się jej nagle gwałtownie i pobiegła do lasu jak szalona...

— Boże, ulecz ją, Boże, daj jej siłę, uchowaj przed śmiercią... — wyszeptaly znów matczyne usta. Iwanicha Dubycha wróciła do domu.

A Tetiana już stanęła u Mawry w drzwiach jej chaty.

— To prawda, Mawro? — brzmiały jej pierwsze słowa wyrzeczone obcym głosem, w którym nie grały już żadne struny, wszystkie były pęknięte.

— Prawda, córuś, prawda — odpowiada Mawra dziwiąc się w duchu, że dziewczyna tak strasznie się zmieniła. — Sama z nim mówiłam. To ten sam, co był u mnie raz. Powiedziałam ci już, że sama z nim mówiłam. — Mówiąc to nie spuszcza z dziewczyny wzroku. — Śmiał się córko, że go wyłajałam za ciebie. „Można chłopakowi kochać dwie dziewczyny” — powiedział. Kocha Dubiwnę. Kto by jej nie kochał? Za jej czarne brwi i wierne serce. Nikogo w życiu tak prawdziwie nie kochał jak Turczynkę. Ale tak się już stało, że Tetiana jest druga z kolei i musi ustąpić. Bo wprawdzie dwie dziewczyny kocha, ale z dwiema ożenić się nie może. Gdyby nawet chciał, pop nie da ślubu. Czego Tetiana chce od niego? Co mógłby tu pomóc? Porzucić Nastkę? Nastka nie ustąpi. Straszno mu ją porzucić. Łatwiej już Tetianę. Jest bogata, wyda się za innego i wszystko będzie dobrze. O nią się nie martwi. Jemu jest gorzej. Wciąż stoi mu czarnobrewa przed oczami, mimo że za tydzień jego wesele. Będzie się męczyć, póki jej nie zapomni. Dziewczęta same źle zrobiły, obie go pokochały, a teraz winien jest on. Dość, że Nastka się gniewa, a teraz jeszcze ona zaczyna. Jak może Hryć zaradzić złu? Gdyby wiedział jak, zaradziłby, nie wie jednak. Niech Mawra powie Turczynce, że

za tydzień jego wesele z Nastką, ale Turczynkę kocha...

— Oj — jęknęła Mawra bliska płaczu. — Żal mi tego twego Hrycia, córuś. Jakoś mi go żal i serce boli. Żal mi ciebie, bo jesteś moja, ale żal mi też jego, bo jakoś także *jest mój*. Boże, dlaczego tak się wszystko ułożyło? Taki jest ładny, tyś taka dobra, a złożyło się tak na opak. Tak samo jak kiedyś u mnie. Przebac mi, Boże, ja bodaj zgrzeszyłam, zdradziłam męża, ale ty... — urwała nagle Mawra.

Tetiana nie odpowiadała. Błada jak śmierć stała wciąż jeszcze przy drzwiach nie ruszając się z miejsca i ciężko dysząc, a jej oczy szukały czegoś na stole... A kiedy Mawra pełnym żalu głosem powiedziała: — Przepadło twoje szczęście, córeczko, przepadła twoja dola! — nie odezwawszy się ani słowem, Tetiana wypadła z chaty jak przedtem z domu matki i pobiegła przed siebie...

Biegnie po Białej Ścieżce nieutulona w swym żalu, chwije się na nogach, chce przewyciężyć ten ból w sercu i czuje, że nie potrafi. Ugina się pod jego brzemieniem, załamuje. Czuje tylko, że coś się musi *stać*. Z nią czy z nim — nie wie. Będzie to coś wielkiego i potężnego, czego dotąd nie było, ale być musi, żeby zabić to zło, co zniweczyło jej szczęście. To zło, takie wielkie i straszne. Boże, coś szaleje w jej tak bardzo udręczonym mózgu. Dlaczego zło tu jest? Czemu jest takie silne? A potem wyłania się znowu i bierze górę poprzednia myśl, że coś musi się *stać*, żeby zabić to zło, co zniszczyło jej szczęście. *Ona* je zabije. Czuje, że zabije. Jest w stanie. Ale jak? Ale co?... Nie wie nic... Znowu mąci się jej w głowie. Kto jest winien? — zadaje sobie pytanie. — Hryć? Nie, Hryć nie jest winien. Kocha ją, powiedział przecież Mawrze, że kocha. Nastka jest winna?

Nie. Nastka też nie jest winna. Nastka też nie ma szczęścia. Nie tak szczerze kocha ją Hryć. Tetiana przystaje nagle. — A może zresztą kocha? O, kocha, kocha! — jęknęło coś rozpaczliwie w jej duszy i przemaga, zagłusza wszystko inne. — Kocha! Inaczej by jej nie brał za żonę. *Kocha!* — i zanosi się nagle strasznym, szalonym śmiechem...

Potem znowu powraca, nasuwa się pierwsza myśl. Hryć jest winien? Nie, nie jest winien. Serce jej mówi, że Hryć nie jest winien. To *coś innego*. Winne jest zło, co się w nim ukryło i skrepowowało go. *Zło!!!* Ono jest winne, zabić trzeba zło. Zabije je. Ona, Tetiana... Stała nagle jak wryta, splotła ręce na karku i wodzi błędnym wzrokiem po lesie, po czubkach drzew... Kto jej powie, jak dotrzeć do zła? — rozbłysło w jej mózgu pytanie. — Kto jej powie? Nikt. Bo nikt nie wie. Ale ona sama... Tak! — odzywa się nagle jakiś głos wewnętrzny. Tetiana już wie. Kwiat paproci jej powie, żeby nikt nie wiedział i nie słyszał. Powie. Kto znajdzie kwiat paproci, powiedziały jej raz Hryć, ten wie wszystko na świecie i znajdzie szczęście. Więc Tetiana też będzie wiedziała. Dowie się, jak dotrzeć do zła, jak je zabić. Zabije je — kołtują się myśli w jej mózgu — żeby go *nigdzie* nie było, w żadnym zakątku na świecie. Ani w niej, ani w Hryciu, ani w Nastce... Żeby go nigdzie nie było. Wtedy będzie dobrze. Ale trzeba... trzeba się spieszyć, iść prędzej, żeby nie było za późno... Tetiana gwałtownie skręciła i popędziła w głąb lasu...

Tetiana milczała i wciąż milcząc wybiegła z chaty nawet nie spojrzawszy na Mawrę. Zaniepokoiło Mawrę to jej milczenie. — Co jej zamyka usta? — zastanawiała się zmartwiona. Strach ją ogarnął o

dziewczynę. Przez ten niedługi czas Tetiana schudła, pobraźniała, oczy jej płoną jakimś dziwnym blaskiem, a potem... Co będzie potem? Oby tylko, nie daj Boże, ciężko nie zachorowała. Albo... albo... jeszcze gorzej... aż strach pomyśleć — nie postradała rozumu... Bywa tak również.

Dotychczas w domu swojej mamy Tetiana nie wiedziała, co to nieszczęście i zmartwienie. Od dzieciństwa miała wszystko, czego pragnęła. Po raz pierwszy w życiu spadł na nią taki cios. Własny los Mawry powtarzał się w tak straszny sposób w życiu tego dziecka, które całym sercem swym ukochała. Powtarzał się w zakątku wśród gór, w cichym lesie, gdzie, jak się zdawało, nie mogło się wcisnąć nieszczęście... Od kogo wyszło zło? — zastanawiała się w duchu Mawra. Kto je zapoczątkował? A ten chłopiec, co jej tak przypadł do serca! Kiedy spojrzała na niego, przywidział się jej tamtem z puszczy, przez którego ma złamane życie. Między losem jej i Tetiany ta jest chyba różnica, że ją spotkało nieszczęście w puszczy, a dziewczynę tutaj, w lasach...

• Niekana myślami o własnej przeszłości i nieszczęściu Tetiany Mawra nie mogła wytrzymać w ciasnej izbie i wreszcie wyszła.

Był piękny, cichy i ciepły wieczór. Na niebie wprost rozkwitły niezliczone gwiazdy. Usiadłszy na progu swej chatki Mawra wpatruje się przez chwilę w księżyc. Jego krągła tarcza wyłoniła się właśnie naprzeciw niej, nad porośłą lasem ścianą sąsiedniej góry i jarem, w którym szumi potok, i jakby rozmyślnie zatrzymała się przed chatą.

W głębokiej ciszy dokoła jest jakaś święta tajemnica, co wszystko pogrąża w milczeniu. Mawra siedzi, patrzy i jakby modli się do tego księżycy, co rozplamiony jak rozżarzone węgle zawisł nieruchomo

nad górą. Gdziekolwiek rzuci okiem, otaczają ją wszędzie ciemne, porośnięte lasem góry, co w księżycowej poświacie zdają się sięgać niebios i zlewają się z nimi.

Mawra modli się do księżyca, pogrąża się całą duszą w tej modlitwie i nieszczęściu Tetiany. To ona, to Hryć stają jej przed oczami, nękają jej duszę, ranią w samo serce. Kraje się jej serce na wspomnienie straszego cierpienia biednej, zdradzonej dziewczyny, co zła nie zaznała i nigdy go nie czyniła i nagle spadła jakby z nieba na samo dno otchłani piekielnej. I wszystko to przez niego. I tu zaczyna drgać w jej duszy jakaś struna żalu i współczucia do Hrycia. Mówił jej przecież, że jest sierotą, bez ojca i matki, podrzutkiem. Skąd jest, jakich rodziców? Nie wiedział. Gospodarze znaleźli go owiniętego w łachmany na przyzbie pod swoją chatą, w „cygańskie” łachmany, jak przygadywała mu czasem gospodyni. Wzięli go na wychowanie.

Aż gorąco zrobiło się Mawrze na wspomnienie tych słów. Znikło dziecko, co leżało u jej boku, a u bogatych gospodarzy w trzeciej wsi pojawiło się skądś na przyzbie jakieś podrzucone w „cygańskich” łachmanach.

— Boże, Boże! — wzdycha Mawra i w niemej udręce podnosi w górę ręce do modlitwy, niemal traci zmysły na myśl, że... może... może... może — aż krzyknęło coś w jej duszy — *to jej syn!* Przecież taki jest podobny do jej ukochanego z puszy... i jej dziecko było *białe*, Boże mój, *białe!* Ale nie, nie, w swojej samotności, z żalu z powodu nieszczęścia Tetiany zupełnie już zwariowała, traci rozum. Och, Tetiana — bolesnym jękiem odezwało się jej serce. Złamana, zniszczona — przez niego.

Ale czy winien jest ten chłopiec?

Tłumacząc się przed nią i usprawiedliwiając ze

swego postępku mówił, że niekiedy coś go tak nieprzeparcie ciągnęło w inne dalekie strony, na koniec świata, że chyba szedłby tam bez wytchnienia. Wynajdywał sobie jakąś przyczynę, by dosiąść konia, i pędził przed siebie, byle tylko zmienić miejsce. W taką oto smutną, dobrą czy złą godzinę spotkał się w lesie z Tetianą. Pokochał ją szczerze, świata za nią nie widział. Stała mu przed oczami w dzień i w nocy, jej oczy, jej czarne brwi i czerwone maki, słyszał jej śmiech i tracił rozum. Wykradłby ją z domu jak złodziej i uciekłby z nią na zawsze w świat, gdyby go też nie pokochała. A kiedy pokochała, spotykali się już w lesie i wszystko było dobrze. Musi jednak ożenić się z Nastką. Taki już jest. Róbcie z nim, co chcecie, taki już jest. Co z nim począć?

— Samiście mnie przestrzegali, matulu — powiedział — żebym nie kochał czarnych oczu, bo — jak powiedzieliście — „nie układają się w parę z niebieskimi. Bierz takie jak twoje, mówiliście, będziesz miał jasną dolę”. I nie ułożyło mi się. Musi ożenić się z Nastką. Tylko jedna Nastka pomaga mu utrzymać się na miejscu, kocha go i przebacza, cokolwiek by zrobił. Zawsze jest dobra dla niego. Dlatego jest mu sądzona, nie porzuci jej. Tetiana jest jedynaczką u swojej matki, biedy nie zazna, popłacze, pomartwi się, a potem, po wszystkim... wyjdzie za innego. Hryć nie martwi się o nią, chociaż żal mu pięknej Turczynki, tak bardzo mu przypadła do serca. Ale cóż z tego, nie jest mu sądzona...

Powiedział jej to wszystko, kiedy była u niego, wiele jeszcze mówił.

Patrząc na góry, na usiane gwiazdami niebo i księżyc Mawra uśmiechnęła się gorzko. Podobnie jak nikt nie żałował Mawry, ani *tamten*, kiedy wszystko się między nimi skończyło, ani mąż, ani krewniacy, nie

żałuje teraz biednej Tetiany także ten. Taka oto jest miłość!...

Zatopiona w swoich rozmyślaniach Mawra nawet nie czuje, że z oczu jej toczą się łzy. Bóg wie, jak zniesie swoje nieszczęście biedna dziewczyna. A jej matka? Przez całe życie modliła się o swoje dziecko, ludziom robiła tyle dobrego, Mawrę uratowała od śmierci i głodu. Obie, Mawra i Iwanycha, jak jedna matka trzęsły się nad dziewczyną, pilnowały i koniec końcem nie ustrzegły przed smutkiem i nieszczęściem. Wyszła dziś od niej Tetiana jak ugodzona w samo serce, nie odezwawszy się ani słowem. O czym myślała? Co niosła w swym sercu? Tak bardzo się zmieniła z tego żalu i bólu, jakby mowy nawet zapomniała.

Przemysłliwa stara Mawra, ze wszystkich stron rozważa nieszczęście Tetiany i nic wymyślić nie potrafi. Dałaby Hryciowi lubczykowi, żeby nawrócić jego serce do dziewczyny, ale jak rzuciła się na nią Tetiana, kiedy jej o tym napomknęła. Oszalała dziewczyną. Przez chwilę mówi, jak należy, a potem... znowu jakby rozum postradała... Ale Mawrze żal także Hrycia... Nastki, z którą się chłopak żeni, nie zna, ale zna Tetianę. O, jej Tetiana! Dlaczego Hryć nie dorósł do tego szczęścia, by się z nią połączyć? Nie wytrwał w kochaniu? Wytrwał! Nie dość był piękny? Przecież piękny jest jak ten miesięczek na niebie. Może z jeszcze jakiegoś powodu? Nie wie Mawra. Czuje, że nie potrafi czegoś tu zrozumieć, że wszystko tu się płacze, że mąci się jej w głowie, nie poradzi tu ze swoim rozumem... Mimo wszystko żal jej Hrycia; nie wiadomo dlaczego, bo obca jest dla niego, jest tylko biedną Cyganką, której nie wspomni może Hryć już nigdy w życiu, jakoś go jej żal. Nie potrafi mu być wrogiem. Serce jej nie pozwala.

Było już koło północy, a Mawra wciąż siedziała zatopiona w swych rozmyślaniach. Sen się jej nie miał. Do księżycyca się modliła, do gwiazd, pogrążona w smutku. Czy jeszcze ktoś prócz niej spędził taką pełną palącego bólu, taką samotną noc w głębi lasu? — pomyślała.

Nie, nie jest samotna.

Otoczają ją stuletnie drzewa, świeci naprzeciw księżyc, w dolinie, w przepaścistym jarze toczy się i szumi w świętym spokoju nocy, połyskuje swym żywym srebrem w fantastycznej księżycowej poświacie potok, a na wysokościach płoną gwiazdy...

Nie jest samotna.

— Boże, zmiłuj się nad nami, odpuść nam grzechy nasze — wyszeptwała Mawra bijąc się w piersi i wróciła do chaty.

*

Świetlica w domu Iwanychy Dubychy tonie w półmroku.

Pali się tylko migotliwa lampka przed dużym obrazem Najświętszej Panny. Iwanycha Dubycha leży na pół rozebrana na łóżku i nasłuchuje, słyszy, że leżąca niedaleko od niej Tetiana obraca się z boku na bok i od czasu do czasu mówi coś niezrozumiale.

— Nie śpisz, córeczko? — pyta wreszcie matka, która nie zmrużyła dotąd oka, boleje nad nieszczęściem córki i śledzi każde jej poruszenie.

— Nie — odpowiada Tetiana i zrywa się z łóżka.
— Co tak szumi, mamó? — pyta.

— Przecież to nasza rzeka, córko.

— Rzeka?

— Tak. Stoi nad nią nasz młyn i nasza chata. Ale śpij, córuś, śpij. Bóg z tobą. Ma cię w swojej opiece. Matka ma cię jedną na świecie. Śpij...

— Idę, mamó, idę — odpowiada spiesznie Tetiana i stoi już przed matką, patrzy na nią obcymi, błyszczącymi oczami. — Idę.

Przerażona matka z bólu i niepokoju bliska jest omdlenia.

— Dokąd idziesz, rybko? — pyta łagodnie, półgłosem i ostrożnie ujmując w dłonie ręce córki.

— Szukać kwiatu paproci — odpowiada niecierpliwie dziewczyna. — Będę wszystko wiedzieć — powiedział Hryć — wszystko. Idę, mamó...

Lęk budzą w matce jej błędne czarne oczy na bladej, wychudłej twarzy.

— Nie idź teraz nocą, córuś — uspokaja ją połykając łzy — jest już północ. Pójdziemy jutro. Zostawisz mnie samą?

— Jutro — to nie północ — mówi Tetiana i jakby się nagle opamiętawszy siada posłusznie koło matki.

— Nie północ, córeczko. Jutro będzie niedziela.

— Niedziela. Tak, tak, niedziela — podchwytuje Tetiana i po chwili namysłu dodaje półgłosem: — Matka powiedziała: „W niedzielę o świcie”. — Urwała nagle, jakby coś sobie przypominając, lecz po chwili powtórzyła: — W niedzielę o świcie...

— W niedzielę o świcie — powtarza również matka i przytakuje córce. — Pójdiesz w niedzielę o świcie. Pójdziemy obie pomodlić się do Boga.

— Kwiatu szukać — Tetiana drgnęła niespokojnie i wodzi błędnym wzrokiem po izbie, jakby czegoś szukając.

— Kwiatu szukać — spokojnie, półgłosem powtarza matka i obejmuje chorą dziewczynę, tuli do siebie, a z jej oczu toczą się łzy. — Cicho, córuś, cicho. Śpij, córko, śpij! — uspokaja ją, głaszcze, tuli do piersi jak małe dziecko.

— Wszystko będę wiedzieć — śpiewnie, półgłosem

mówi Tetiana i mocno, ufnie tuli się do piersi matki przytykając oczy jak do snu. — Wszystko... będę wie-dzieć.

— Wszystko będziesz wiedzieć — potwierdza matka tak samo półgłosem.

— A jak śnieg spadnie, będę w twojej chacie — odzywa się znowu Tetiana.

— Będiesz w mojej chacie — ostrożnie szepcze matka zrozumiałwszy instynktownie, że córka rozmawia z Hryciem.

— Przyj-dę! — woła nagle Tetiana stłumionym, bezdźwięcznym głosem przycisnąwszy twarz do piersi matki. — Przyjdę.

— Przyjdź, zazułko, przyjdź — wciąż tak samo szepcze matka i wstrzymuje oddech, żeby nie przerywać jej obłądnych rojeń, nie zaszkodzić jej najbliższym ruchem. — Przyjdź.

— *Turczynka jestem.*

— Turczynko moja piękna.

— Twoja jedyna na świecie.

— Moja jedyna na świecie.

— Twoja... — szepcze Tetiana jak zasypiające dziecko.

— Moja...

Wreszcie chwila ciszy.

Tetiana oddycha niespokojnie, a po twarzy matki spływają coraz rzęśściej duże, palące łzy...

— Twoja — ledwie szepcze Tetiana.

— Moja.

Ucichła w końcu.

Iwanycha Dubycha znieruchomiała, wpatruje się jak w święty obraz w bladą twarz swojej nieszczęsnej córki, która co kilka chwil przytomnieje i znowu bredzi jak w gorączce.

Kilka długich, niemal martwych chwil trwa spokój...

Iwanycha Dubycha, cała drżąca, jeszcze raz pochyła się nad Tetianą, patrzy na nią przez łyzy.

Śpi Tetiana? Leży tak cichutko...

Tak. Chyba śpi.

Nie.

Nie śpi. Podnosi złożoną na piersiach matki głowę, otwiera swoje duże czarne oczy i znowu pyta:

— Co tak szumi, mamo?

— To nasza rzeka.

— Rzeka?

— Tak, córeczko. Stoi nad nią nasz młyn i nasza chata.

Tetiana znowu przymyka oczy i tuląc się tkliwie i ufnie do matczynej piersi uśmiecha się i nuci półgłosem:

Hej, kupałnocka, kupata... hej, hej, hej!...

Dziewczyzna szczęścia szukała — hej, hej, hej!...

— *Szczęścia szukała* — powtarza jeszcze raz Tetiana już zasypiając.

— *Szczęścia szukała* — szepczą ledwie się poruszające usta matki...

*

W niedzielę o świcie biegnie Tetiana do lasu. Matka jej nie zatrzymuje, widzi, że będzie jeszcze gorzej, jeżeli się jej sprzeciwi. Niech przeboleje w lesie — myśli — tam, gdzie sobie napytała tej biedy. Niech ma jakiś czas swobodę we wszystkim, czego jej serce pragnie, a potem — zobaczymy...

Nie jest w stanie uspokoić jej tu w domu, niech

więc już będzie, jak chce dziewczyna. Cisza leśna ukoi ją powoli. A potem... — może stara Mawra przyniesie jej ulgę dobrym słowem, jest dla niej drugą matką, a pierwsza, rodzona, jest na razie bezsilna.

Idzie Tetiana jakby nie na własnych nogach to w górę, to w dół po Białej Ścieżce, raz z szeroko otwartymi oczami, to znów z przymkniętymi, jakby drzemała, i wciąż kotłują się w jej głowie myśli, że jest zło, które trzeba zabić. Znalazła się wreszcie koło chaty Mawry.

Ale po co przyszła do Mawry? Chyba nie chciała do niej iść? Przyszła po kwiat paproci. — Aha! — przypomniała sobie nagle. — Chciała, żeby Mawra zapytała o Hrycia, żeby poradziła, co począć ze złem. Mawra? — Tetiana wybuchła śmiechem. — Mawra jej nie poradzi. Coś ją od Mawry odpycha. Boi się Mawry. Mawra już jej nie kocha... Kocha Nastkę.

Pogrążona w swojej rozpaczycy Tetiana nawet się nie spostrzegła, że znalazła się pod otwartym oknem Mawry...

Tak. Boi się Mawry. Schowa się więc pod jej oknem. Pod wpływem tej obłędnej myśli przykucnęła pod oknem na przyzbie, przycisnęła się do ściany, zatopiła ręce we włosy, dawno nie czesane, spadające czarnymi, jedwabistymi pasmami na plecy, przymknęła oczy i nie rusza się. Coś strasznego dzieje się w jej duszy. Nie wie w tej chwili, po co przyszła. Zapomniała, czego chce. Och, jak jej straszno! Może sobie przypomni... i wysilając pamięć bezwiednie szarpie włosy...

Czy słyszy cokolwiek dokoła?

Nie.

Miesza się w jej głowie i Mawra, i Hryć, i kwiat paproci, i wianek z kupalnocki, i to zło, które się w Hryciu ukryło i które powinna zabić... w końcu nic

już nie wie, tylko wciąż szarpie w zapamiętaniu swoje jedwabiste włosy.

Wtem... odrywa głowę od ściany i unosi wysoko swe czarne brwi. Co to? Że też dotychczas tego nie słyszała? Jakiś męski głos w chacie Mawry. Tetiana wyteża słuch... słucha. I jakby wraca przy tym do przytomności, a twarz jej blednie coraz bardziej.

W izbie u Mawry słyszy ten sam głos, głos człowieka, co przyniósł jej wiadomość, że Hryć żeni się z Nastką, że kochał od razu dwie. Mówi ów człowiek, że oni oboje, Mawra i on, nie powinni teraz iść do Hrycia i przyznać się do niego, opowiedzieć mu czym jest synem, bo Hryć Cyganów nie lubi — i gospodarze mogą się od niego odwrócić, kiedy się dowiedzą, że jest... synem biednej Cyganki i wnukiem Cygana. Lepiej, doradza ów starczy głos, poczekać. aż się już odbędzie jego wesele z Nastką. Od dziś za tydzień, w niedzielę będzie ich wesele. Poczekają i pójdą do niego dopiero po weselu, wszystko mu opowiedzą. Tetiana znowu straciła odzyskaną na chwilę równowagę ducha. Usłyszawszy o weselu Hrycia i Nastki, krzyknęła rozdzierająco i zerwała się błyskawicznie z miejsca. Kiedy Mawra wyszła na ten straszny krzyk i stanęła na progu, a za nią stary Andronati, Tetiana znowu biegła już przez las...

Znowu ten okropny staruch, co chyba z piekła się wynurzył, ten sam i mówi to samo. Znowu o Hryciu i Nastce. O-o-o! Znowu, znowu i znowu!... Znowu sama nie wie, co się z nią dzieje. Biegła, póki starczyło jej sił, wspinała się pod górę, jakby ją ktoś gonił, aż w końcu osunęła się bezsilnie na ziemię i widzi, że znalazła się pod Białym Kamieniem. Tak. Tu się z nim spotykała i Hryć zaraz tu przyjdzie.

— Hryciu! Jestem tutaj! — zawołała, a jej wezwanie niesie się daleko w las. Tetiana czekała. Ale już

po chwili nasunęła się jej nowa myśl: Czy Hryć przyjdzie? I od razu po niej — inna: Kto jest winien? Niebieskooka Nastka? O; nie, Nastka nie jest winna. Hryć? O, nie, Tetiana go kocha i Hryć nie jest niczemu winen. On nie. Zło jest winne. Zło się w nim ukryło, żeby go nikt nie znalazł, to zło nie pozwala Hryciowi przyjść do niej, zabiło jej szczęście. Ono jest winne. Tetiana je zabije. Znalazła je w Hryciu i w nim je zabije. Tak, w nim. Potem już go nie będzie nigdzie. Nigdzie, nigdzie na całym świecie. Pójdzie teraz Tetiana do Hrycia i wszystko mu opowie. Niech wie również. Idzie do Hrycia... Unosi się na rękach z ziemi i spojrzenie jej szeroko otwartych oczu pada nagle na ziele o szerokich liściach rosnące pod Białym Kamieniem...

— Och, ile go tutaj! Pełno tu tego ziele! Hej, Mawro! — woła Tetiana zdyszczanym głosem, z jakimś dzikim rozradowaniem. — Pełno tu twego ziele! Aha, Mawra! — coś sobie nagle przypomniała o starej Cygance i znowu mąci się jej w głowie. — Co mówiła Mawra o ziele spod Białego Kamienia? Tetiana zastanawia się chwilę. Już wie. *Jest od wszelkiego zła* — uczyła ją Mawra. — *W niedzielę o świcie* — mówiła — *trzeba ziele wykopać, w poniedziałek płukać, we wtorek warzyć, a w środę...* W środę — jeszcze się kotłują myśli w jej głowie i wreszcie jakby się rozpraszają...

Usiadła znowu na ziemi, gdzie rosło ziele, i uniósłszy wysoko brwi wyteża pamięć. W środę? W środę... — coś Mawra mówiła. Ha, teraz już wie — przemknęło jej nagle przez myśl. — W środę, powiedziała Mawra, wypić i sen całe zło pochłonie. A w niedzielę wesele!

Tak. W niedzielę, powiedział stary, w niedzielę wesele. Znowu patrzy na ziele. Pełno go tutaj. Aż samo

się prosi w ręce, trzeba je rwać. Mawra się ucieszy, a Tetiana zabije nim zło, co się w Hryciu ukryło. Tylko... prędeż... prędeż... żeby nie uciekło... I trzęsącymi się jak w febrze palcami, w szalonym wprost pośpiechu, jakby ktoś za nią stał i przynaglał, Tetiana kopie i wyrywa ziele, zbiera do podółka. Narwawszy go pełno, wstaje, prostuje się, odchyła głowę do tyłu, aż jej długie włosy niemal dotykają ziemi, i woła z całej siły: — Przyjdę! — I od razu, nasładowując dzwonienie skowronka, woła uszczęśliwiona: — Ko-cham!... — Wreszcie milknie, unosi w górę brwi i patrzy swoimi dużymi oczami gdzieś w dal, nasłuchuje. Od skały po przeciwległej stronie, jakby dopiero teraz tam doleciało, wraca ponad przepaścią i od razu milknie: Kocham!

W środę przed weselem nastał już wieczór.

Mawra stoi koło ławy i przy świetle świecy przebiera zioła zastanawiając się, które dać Tetianie, żeby ukoić jej cierpienia. Mawra była dziś u Iwanychy Dubychy, widziała, jak ta przez ten krótki czas osiwiła.

Przebrała wreszcie zioła. Da Tetianie ziele spod Białego Kamienia. Dobre to ziele, lecznicze. Kiedy zażyje go człek odrobinę, będzie dobrze spał, jeżeli dać z niego wywar i wypowiedzieć odpowiednie zaklęcie, ziele przyniesie spokój głowie i sercu, ale jeżeli dać go zbyt wiele, może nawet do śmierci doprowadzić.

Przypomina sobie jednak nagle, że dzisiaj nie będzie mogła dać ziela Tetianie. Jest już późno i Tetiany nie ma w domu. Chyba jutro. Już trzeci dzień nieszczęsna dziewczyna błąka się po lesie, widziano ją nawet aż w sąsiedniej wsi, gdzie przenocowała. Poza tym obiecał ojciec, że dziś do niej przyjdzie, może nadejść lada chwila, więc nie sposób wyjść z domu.

Rozmyślała tak Mawra przebierając i układając różne swoje zioła.

Na te wszystkie góry, co się wznoszą dokoła, nie ma szczęśliwszego od Mawry człowieka. Znalazła swego ojca, o którym myślała, że umarł, wie, że Hryć znad węgierskiej granicy, wychowanek Mychajła Donczuka, jest jej własnym synem. Kiedy się dowiedziała o tym wszystkim, omal nie oszalała z radości. Ona, wynędzniała, biedna Cyganka, sama na całą górę, na cały las, jest matką pięknego chłopca, a jej ojciec, Andronati, żyje. Był tutaj. Dowiedział się przypadkiem od Hrycia i Nastki, że na Czabanyńcy mieszka samotnie wróżka-Cyganka, i od razu ją odnalazł.

O, Boże! Płakała Mawra z powodu nieszczęścia, biedy, trosk i zmartwień, ale płakała też z radości, kiedy wszedł ojciec do jej chaty, kiedy się poznali. Ojciec ledwie ją poznał, bo tak się Mawra postarzała, ona zaś aż się przelekła jego długiej, białej brody i przygarbionych pleców. A potem przeproszała go Mawra. Bo był już tutaj pod jej chatą, był głęboką zimą. Prosił, błagał, a Mawra go nie wpuściła. Byliby się odnaleźli już wtedy, pozostałby siwy starzec przy niej i nie wracał mroźną zimą na Węgry. Żałowała Mawra, gorzko płakała. A już wtedy przepowiadały jej karty, że przyjdą do jej chaty dwaj mężczyźni. Stary i młody. Z jednym przyjdzie szczęście, z drugim ból.

— Z wami szczęście, tato — od razu powiedziała Mawra — z wami szczęście, z kim właściwie ból?

Pytał stary, czy był u niej jakiś mężczyzna od czasu, kiedy ojca nie przyjęła.

— Trzeba było zapamiętać — mówił. — Przypomnij sobie.

Zastanawiała się Mawra, wspominała i przypominała sobie. Był tylko jeden śliczny chłopiec na czarnym koniu. Wróżyła mu z kart, próbowała odgadnąć,

jaki los go czeka. Przestrzegająca go, żeby dwóch dziewcząt nie kochał, przepowiadała daleką drogę; wychodziło mu szczęście, ale gubiło się w drodze, zresztą nie powiedziała mu wszystkiego. Dobrze jej zapłacił.

Słuchał jej opowiadania stary Andronati i oczy błysnęły mu radośnie.

— Nie pytałaś go o imię? — zainteresował się.

Nie, nie pytała. Wiedziała tylko, że obudził ją w jej sercu, bo taki jak on był ten jeden, którego ona, grzesznica, kochała i przez którego spotkało ją nieszczęście. Młody i piękny. Zupełnie tak samo wyglądał.

Opowiedział jej wtedy stary ojciec, co zrobił, żeby uratować jej życie, na które nastawał Radu. Spoił wszystkich gorzałką zaprawioną ziołami, spoił także Mawrę, żeby ją spokojnie wynieść. Chwała Bogu, wszystko się udało. A dziecko musiał podrzucić bogatym ludziom, żeby go nie zabił Radu, a także, by nie zginęło przy chorej matce w lesie, żeby miało lepsze życie niż cygańskie... Spodziewał się, że Mawra nie zginie, że znajdzie przytułek u dobrych ludzi i że uda mu się ją kiedyś odnaleźć. Do wnuka się nie przyznawał, żeby nie zaszkodzić mu zdradzając jego cygańskie pochodzenie, ale mimo to zaglądał od czasu do czasu, żeby się przekonać, jak się chłopcu powodzi. Przekonał się, że podrzucił dziecko w szczęśliwą godzinę, bo znalazł się chłopiec w dobrych rękach. A teraz prosi Mawrę na wszystkie świętości, żeby na razie nie przyznawać się jeszcze do niego, póki mu gospodarz nie odda części gruntu, póki chłopiec nie będzie gospodarzem we własnym domu. Jego gospodarze to ludzie zamożni i dumni, mogliby i dziadka, i matkę wyrzucić z domu i chłopcu nie dać ziemi. Niech Mawra jeszcze zaczeka, niechaj milczy jak on,

a wszystko się dobrze skończy! Dla chłopca i dla nich. Andronati milczał tyle lat jak kamień i dobrze się stało. Hryć ożeni się wkrótce, pójdzie na własne gospodarstwo, a jego narzeczona, dobra białolica dziewczyna, jest zamożna i obiecała staremu, że go weźmie do siebie. Wyświadczył jej pewną przysługę i najbardziej liczy na jej pomoc. A kiedy stary już u nich zamieszka, Hryć nie wyprze się matki. Teraz niech jednak milczy i nie psuje chłopcu szczęścia. Pójdą na wesele i jak biedacy będą się przyglądać z daleka: na wesele ich zaprosił, a potem... niech Mawra czeka. Wybije godzina i wtedy mu powiedzą. Mawra się sprzeciwiała, płakała, chciała biec do syna, ale ojciec krzyczał na nią i kłął, nawet w złości uderzył ją swoim zwyczajem kilka razy. Dopiero wtedy posłuchała Mawra jego rozkazu i zgodziła się zrobić, jak radził...

Teraz jedno tylko mąci jej szczęście, jedno ciąży jej jak kamień. Wielki ból Tetiany, który sprawił dziewczynie jej syn, i zmartwienie dobrej Iwanychy Dubychy. Dlaczego nie kochał Hryć Tetiany do końca? Do końca? — pytała z rozpaczą chyba po raz setny. Jaki wzięłoby wszystko obrót i dla nich obojga, dla biednej matki Tetiany i dla samej Mawry! Czemu mój synu, czemu tak rozdwoiłeś swoją duszę? A w dodatku Mawra sama się przyczyniła do nieszczęścia Tetiany wróżąc mu, żeby się wystrzegał... czarnych oczu!...

Z żalu i bólu z powodu Tetiany Mawra nie może ani spać, ani jeść. Może dziewczyna straciła rozum na zawsze? Może go nigdy nie odzyska! Mówiła Mawrze Iwanycha Dubycha, że chwilami Tetiana odzyskuje rozum, a czasami traci zmysły, nikogo nie poznaje i nie widzi, wciąż mówi o Hryciu i o złu. Jak się to skończy? Boże, czemu tak trudno ludziom zdobyć szczęście? Bodaj teraz — sama Mawra. Syna odnała-

zła, ale traci Tetianę. Sama teraz nie wie, kto jest bliższy jej sercu. On czy ona? Jedno idzie teraz do ślubu, a drugie jest unieszczęśliwione, ma złamane życie...

Czemu nie zwierzyła się jej Tetiana? Od razu, na samym początku? Czemu tak się ukrywała, żeby nic nie wiedziała matka? Jak ją teraz ratować? Jak usunąć zło? Straszne zło. Rozpłakała się Mawra na wspomnienie młodej, pięknej dziewczyny, którą zgubił jej własny syn.

A potem uśmiechnęła się gorzko. Jak wdał się syn w ojca! Ma dwie dusze. Lgnął do Nastki, a kochał jej Tetianę. O, gdyby Tetiana wyznała od razu wszystko... Ba... Gdyby! Gdyby wiedziała wtedy Mawra, że jej syn żyje. Wtedy! Ale ojciec... — urwały się nagle jej myśli. Sama jest winna. Jedna jedyna ona. Pukał do jej drzwi ojciec, błagał, a Mawra go nie wpuściła. Przeklął ją wtedy. A kłął strasznie. Czy nie przeklął wtedy jej szczęścia i nie ściągnął niedoli?

Nie jest tu winien Hryć, nie jest winna Tetiana, a winien jest... winien jest... kto? — pyta w duchu Mawra i płacze. Czemu nie w matkę... i znowu urywają się jej myśli. Czyż ona, jego matka była lepsza? Miała przecież męża i zdradziła go. O-o-o! — jęknęła nagle i z żalu zaczęła się bić pięściami po głowie. Grzech, grzech, grzech! — łkało jej serce. — Jaki straszny, wielki, niezmierny. Grzech jest wszystkiemu winien, on jeden!...

Uratuje jednak Tetianę. Niech się stanie, co się stać musi, ale Tetianę uratuje. Byle tylko do niedzieli, byle było już po weselu, weźmie się do niej, uleczy ją, przywróci jej rozum. W niedzielę o samym świcie pójdzie pod Biały Kamień, wykopie ziele i spróbuje. Wpierw będzie ją tym zielem usypiała, potem zamawiać będzie chorobę, a po siedmiu tygod-

niach pomodli się do księżycy na nowiu, aż się dziewczyna w końcu uspokoi. A później... z czasem zapomni Hrycia i wyjdzie za innego.

Rozmyśla tak Mawra przebierając i porządkując swoje zioła w zależności od takiego czy innego ich przeznaczenia i wtem... słyszy pukanie do drzwi.

Ocknęła się.

Kto to może być o takiej późnej godzinie? Jest już dobrze po północy. Jeszcze się nie kładła, bo czekała na ojca. Poszedł prosić o jałmużnę w pobliskim miasteczku. A Mawra zasiedziała się do późna, zatopiona w swoich smutnych rozmyślaniach i zajęta ziołami.

Czy to nie Tetiana?

— Kto tam? — pyta, ostrożna jak zwykle, i nasłuchuje.

— To ja! — słyhać jakiś głos.

— Tetianka? — pyta Mawra i znowu nadstawia ucha. Może nieszczęsna dziewczyna błądziła po lesie i przyszła tu ujrawszy w chacie światło.

— Nie, to ja! — rozbrzmiewa ten sam głos.

Mawra otworzyła.

Stała przed nią dziewczyna, młoda, wysoka, o bardzo białej twarzy, z zapłakanymi oczami. Ciekawie przygląda się jej Mawra i doznaje przy tym jakiegoś przykrego uczucia.

— Czego chcesz, córko, o tak późnej porze? — pyta. — Już jest porządnie po północy. Twoje oczy płaczą? Czy serce też płacze? Kto ma chore serce, niech przyjdzie do Mawry — mamrocze jak słowa pacierza przeszywając dziewczynę swymi błyszczącymi oczami.

— O, ratujcie, matulu! — woła z rozpaczą dziewczyna i pada na ławę. — Mój narzeczony jest chory, może nawet umrze. Mówi przez sen, nikt go nie rozumie. Och, matulu, ratujcie! — załkała, po czym

osunąwszy się na podłogę wyciąga w górę ręce, lamentuje i prosi: — Święty Boże, czym zawiniłam? Czemu mnie karzesz? Przecież nie jestem winna. Wiernie go kochałam, oddałam ciało i duszę, to... ona... ona...! — i kończąc znowu zalała się łzami.

— Cicho, córko, cicho — uspokajała ją Mawra i podniosła dziewczynę z ziemi. — Powiedz, co dolega twemu narzeczonemu i coś ty za jedna, a może potrafię wam pomóc, nie opuszczę was w biedzie.

— Nastka jestem, narzeczona Hrycia! — woła dziewczyna pełnym niewypowiedzianego żalu głosem i znowu wyciąga do Mawry ręce w błagalnym geście: — Coś mu zadano. Rano zjadł śniadanie, a potem zapadł w sen i tak już śpi, wciąż śpi. Jak zabity. Z początku mówił we śnie, że ktoś tam szedł i że on sam zaraz pójdzie, a potem umilkł...

— Jesteś narzeczoną Hrycia? — krzyknęła nagle Mawra i trzęsie dziewczyną jak szalona.

— Hrycia, Hrycia! Jestem jego narzeczoną, a w niedzielę, matulu, ma być nasze wesele...

— Hryciu! — rozdzierająco, z rozpaczą krzyknęła Mawra i osunęła się na ziemię. — Synu! Synu mój, synu! Oto już ginie, już odchodzi, a dopiero co go znalazłam! Hryciu, czekaj na swoją matkę, matka już idzie. Czekaj, nie umieraj! — Wykrzykując te ostatnie słowa rozkazująco, z jakąś nadludzką wprost siłą, sama dziwnie się przeobraża. Zerwała się na równe nogi, chwyciła kobiałkę ze swoimi ziołami, porwała dziewczynę za rękę i obie popędziły...

Biegnie stara Mawra pod górę, pod wiatr, jakby ją same nogi niosły, ciężko dyszy, jęczy. Biegnie, dotrzymuje jej kroku Nastka, ale chyba lada chwila zwali się z nóg. Jedno ją jeszcze podtrzymuje — wiara w moc Mawry. Gdyby nie to, nie byłaby w stanie biec dłużej.

— Coś mu zadano, otruto go! — powtarza raz po raz. — Pod oknem znaleziono flaszkę, a nasz pastuch widział dziewczynę, co biegła przez las, jakaś czarnobrewa...

— Tetiana — krzyczy Mawra i zatrzymuje się. Czuje przejmujący chłód, kreśli znak krzyża. — Oto, co znaczy grzech, co znaczy grzech! — jęczy i zwalnia kroku — nie jest w stanie iść dalej... (...)

Był czwartek z rana, kiedy przyszedł na miejsce. Było już po wszystkim. Hryć już odszedł...

Wokół chaty Hrycia — smutna, uroczysta cisza. Pochylili głowy wszyscy starzy gospodarze, co znali Hrycia, pochyliłi głowy w smutku i czekają w milczeniu. Mdleje w izbie białolica Nastka, płaczą kobiety, przechodzą parobcy, koledzy Hrycia, wycierają łzy, a matki szepczą z sobą, kreślą znaki krzyża i modlą się...

Przed chatą rozegrała się przed chwilą straszna i smutna scena. Cyganka Mawra w przystępie niebywałej rozpaczycy rzucała się jak wilczyca na swego staroego ojca. Zabrał jej syna — zawodziła — podrzucił bogaczom, żeby miał lepsze życie niż cygańskie, i taki oto los mu przypadł w udziale w tym bogactwie...

Nikt dotąd nie widział, by ktoś tak łkał i rozpaczał jak ta biedna Cyganka. Padała twarzą do ziemi, rwała na sobie odzież, w rozpaczliwym, błagalnym geście wznosiła do góry ręce, wciąż coś mówiła, zawodziła i łkała, aż opadła wreszcie z sił.

Stary Andronati bronił się początkowo, a potem umilkł. Oparł się całym ciężarem swego starczego ciała na żebraczym kosturze i milczał. Sam nie zauważył, jak umilkło zawodzenie jego zrozpaczonej cór-

ki i żałobne dźwięki trembity popłynęły górą, gdzieś nie opodał chaty.

Przypomniały mu te smutne dźwięki coś, co było dawno temu.

Tak, dawno, bardzo dawno temu tak samo smutnie grała tremibta — przypomniał sobie stary.

Stał wtedy o wschodzie słońca wysoko na górze, koło tej wsi i trzymał na rękach białego wnuka... W siwej mgłę poranku wypatrywał dla dziecięcia szczęścia. Mgła się nie rozpraszała. Nie widział wtedy słońca przez mgłę, ale słońce było! I miał jego wnuk szczęście. Czekają na niego jak wtedy to słońce za mgłą — czemuż go nie osiągnął?

Wśród zgromadzonych w chacie ludzi jest również Iwanycha Dubycha. Oczekuje Tetiany. Może pojawi się bodaj tutaj. Do domu nie wróciła, nigdzie jej nie było, nikt jej nie widział. Chodzi i chodzi po lasach, ludzi unika.

Przybywszy tu Iwanycha Dubycha jakby oniemiała. Nikt nie usłyszał od niej słowa, jakby postradała mowę. Od czasu do czasu drżącą ręką podsuwa swoje białe włosy z powrotem pod czarną chustkę. Czeki. Może doczeka się w końcu...

Ludzie oglądają się na nią, szepczą między sobą, ale nic to ją nie obchodzi. Oczy nie płaczą, usta się zacisnęły, a dusza drętwieje coraz bardziej.

Jakiś ruch koło drzwi. Może to Tetiana? Nie, do izby weszła Mawra ze swoim ojcem, wpatruje się w syna. Wtem — co to? O, Chryste! Ze dworu, pod oknem słyhać śpiew, urywany, dziwny. Iwanycha Dubycha blednie, nogi się pod nią uginają; tym razem to Tetiana.

Tak. to ona.

Wysoka, chuda, blada, z rozwianymi włosami, w

których tkwią czerwone maki, z oczami, co nikogo nie widzą, to — ona.

Nikt się nie poruszył.

Wchodzi, unosi wysoko brwi, przykładą palec do ust, jakby nakazując milczenie, i na pół mówi, na pół śpiewa:

— *W niedzielę o świecie ziele kopałam, w poniedziałek rano płukałam...* cicho, Mawro — dodaje prosząco — *we wtorek, Mawro* — dodaje przytykając oczy, jakby sobie coś przypominając — *ziele warzyłam, a w środę z rana...* — nagle urywa... — Cicho bądź, Mawro — prosi z nieopisaną tkliwością w głosie i wodzi zupełnie błędnym wzrokiem — *cicho, zabiłam zło... twoim ziele, Mawro, spod Białego Kamienia. A on się prześpi. Cicho. A w niedzielę wesele. Cicho!* — umilkła i czeka chwilę, jakby bardzo zmęczona, odrzuca mocno do tyłu głowę i przytyka oczy...

Ludzie stoją jak skamieniały.

Nie, nie wszyscy. Nic nie mówiąc, bezszelestnie jak zmięta przysuwa się do niej Mawra.

— Suko! — krzyknęła nagle jakimś obcym głosem. — Tyś otruła mego syna. Ty, ty, ty,! Zgiń! — od jednego uderzenia jej pięści dziewczyna pada na ziemię. Przy córce znalazła się od razu Iwanycha Dubycha.

— Stój! — krzyknęła, aż strach wszystkich ogarła. — Mnie dobij. Ona już umiera, mnie dobij!

Potem podnosi dziewczynę, która ścisnęła kurczowo swoje kwiaty, i pyta pobladyłymi ustami:

— Córko moja miła, jedyna na świecie — tyś otruła Hrycia?

Tetiana uśmiecha się.

— Cicho, Mawro — szepcze unosząc wysoko czarne brwi — zło się w nim ukryło... cicho! Nigdzie już nie będzie zła...

— Córko! — znowu prosi matka z jakąś niemal nadludzką siłą wyrazu i przytula do siebie córkę tkliwie, jak małe dziecko. — Ty? Powiedz wszystkim prawdę, ty? Powiedz jak przed Panem Bogiem...

Tetiana długo patrzy matce w oczy, jakby sobie coś przypominając, potem czule, jak dziecko tuli się do piersi matki, to znów chwyta kurczowo swoje maki, wreszcie półgłosem, słodko, jakby zwierając się z jakiejś tajemnicy, śpiewa:

Hej, kupałnocka, kąpała... hej, hej, hej!...

Dziewczynna szczęścia szukała — hej, hej, hej!...

Wyrzekłszy ostatnie słowa niespodzianie wrywa się obłąkańczo z objęć matki i wybiega jak szalona z chaty...

Cicho, nie mówiąc ani słowa, Iwanycha Dubycha osunęła się na ziemię...

Pochowano Hrycia, ludzie się rozeszli.

— Chodźmy, Mawro — powiedział po skończonym obrzędzie stary Andronati do swojej córki. — Chodźmy do Cyganów. Teraz znowu jesteśmy tu zwykłymi żebrakami...

— Chodźmy, tato — powiedziała Mawra twardo, z kamienną twarzą i podała staremu jego długi kostur. — Skończył się już tutaj mój grzech.

Poszli.

Z lekka kołyszą się tylko sosny i świerki, o które niekiedy zawadzają idąc po Białej Ścieżce, niesie się szum po lesie kojąc rany w sercach. Aż wyszli z lasu, oddalili się od niego, a wtedy znikł im z oczu i zawiśła nad nim noc...

Iwanycha Dubycha przetrząsnęła wraz z ludźmi niemal cały las, wszystkie zakątki, w których bywała Tetiana. Nie znaleziono jej, przepadła bez śladu. Zbliża się już północ, Iwanycha Dubycha leży wyczerpana na swoim posłaniu i nasłuchuje. Serce jej mówi, że Tetiana przyjdzie. Jest już północ. Słyszy jakiś szelest. Tetiana sama wróci, jak już nieraz wracała. Oto już pierwszy brzask. Oby prędzej świtało... Kiedy Tetiana wróci, matka zabierze ją ze sobą do klasztoru i odda pod opiekę Bogu. Jeden Bóg ją uleczy i pokrzepi. Jeden Bóg i niech się nadal dzieje Jego wola...

Cicho jest w chacie jak w świątyni, lekko niekiedy potrzaskując migocze tylko nikły płomycek lampki przed obrazem Najświętszej Panny — Iwanycha Dubycha czeka i nasłuchuje, z jej przymkniętych oczu wciąż toczą się łzy.

O, znowu jakiś szelest. Nie, to rzeka, której szum nie milknie ani na chwilę. Kiedy Iwanycha Dubycha otrząsa się ze swego półsnu, wciąż słyszy ten denerwujący szum, jakby rzeka domagała się czegoś.

Wtem... teraz się nie myli. Słyszy. Słyszy wyraźnie, nie rozróżnia tylko, co to jest. Czy brzęczenie pszczoł, czy dźwięki delikatnych strun, czy głosy anielskie? Nie wie. Ale słyszy, nie myli się.

Lekko jak senne marzenie, jak brzęczenie pszczoł, jak jedwab przesuwający się po strunach muska jej uszy dziwnie tkliwy i melodyjny głos, wraz z którym dusza jej zdaje się wzlatywać ku obłokom:

Hej, kupałnocka, kąpała... hej, hej, hej!

Dziewczyna szczęścia szukała — hej, hej, hej!...

Iwanycha Dubycha ocknęła się, zerwała. Boże, to Tetiana! Tak. To był głos Tetiany. Słyszała wyraźnie ten miły głos. Dziewczyna chodzi pod oknem, szuka drzwi i śpiewa...

Iwanycha Dubycha wstaje czym prędzej, podchodzi chwiejnym krokiem do drzwi, otwiera je i patrzy.

Widocznie spała. Na dworze jest jasny dzień, uśmiecha się słońce, oświetla wszystko dokoła, nie ma tylko Tetiany. Oblała się zimnym potem. Czy śpiew Tetiany tylko się jej przyśnił? Czy rzeczywiście go słyszała? Straszna myśl przyszła jej nagle do głowy, Iwanycha Dubycha idzie spieszenie do swoich ludzi...

Idą wszyscy nad rzekę, szukają jeszcze tam. Może znajdą tu bodaj jakieś ślady.

Idą.

Szli niedługo...

Tam, gdzie królowała głębina, gdzie olbrzymi głaz, stojąc nad nią spokojnie, wskazywał bezdenny, nieruchomy odmęt, gdzie utonął niegdyś wianek Tetiany, sterczał nad połyskującym lustrem wody przytulony do kamienia duży, czerwony mak. Drugi, dotarłszy do brzegu rzeki, czekał nieruchomo jak tamten...

Stoi Iwanycha Dubycha i patrzy w milczeniu na te dwa kwiaty, a wraz z nią stoi i patrzy jej czeladź.

Długo na nie patrzy, długo, aż odwraca się wreszcie...

Odprawdzili ludzie Iwanychę Dubychę.

Redaktor
JADWIGA BIAŁOWAŚ

Redaktor techniczny
MAREK ŁOŚ

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1981

Wydanie I. Nakład 20 000+272 egz. Ark. wyd. 12,6. Ark. druk. 14,75. Papier druk. sat. kl. IV, 71 g, 82×104 cm. Oddano do składania 30 września 1980 r. Podpisano do druku w maju 1981 r. Druk ukończono w sierpniu 1981 r. Cena zł 25,—

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne, Rzeszów,
ul. Marchlewskiego 19. Zam. 2682/80; R-4-26

Olha Kobyłanska (1863—1942), wybitna ukraińska pisarka, autorka m. in. takich powieści, jak: *Ziemia*, *Carówna*, *Apostoł czerni*.

W niedzielę rano ziele zbierała... (1908) jest romansem, w którym główny wątek stanowi miłość „fatalna” zamężnej Cyganki do bojara i tragiczne następstwa tego związku. Baśniowa, poetycka fabuła na motywach dumki ukraińskiej *Nie chodź, Hryciu, och, na wieczornice...* została ubarwiona cygańskim folklorem ze wszystkimi typowymi, „egzotycznymi” akcesoriami i zawiera sporo elementów ludowej mądrości (grzech i kara, dobro i zło).